

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 1 (24)

tom VII 2021

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
A. Bernat
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
K. Choiński
A. Dąbrówka
J. Durski
A. Dutka-Mańkowska
J. Jagiello
E. Kasjanowicz
A.T. Kijowski
D. Koman
A. Książek
A.W. Kulik
G. Kurylewicz
W. Mandryka-
-Bukowiński
J. Marciniak
K. Młynarska

P. Müldner-Nieckowski
M. Olbromski
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
K.S. Schreyer
J. Seipp
J. Sendlak
K. Słomiński
B. Sochańska
M. Strękowska-Zaremba
K. Sutarski
J. Śleszyński
K. Świegocki
Z. Zarębianka
W. Żyszkiewicz



Stanisław Barańczak



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**
<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok VII Nr 1 (24) 2021
Adres Redakcji
<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Nadzieja3

Anna Bańkowska

Konrad Rafał Fiałkowski5

Zofia Zarębianka7

BOŻE NARODZENIE 2020 – HASŁO BOMBKA

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Eksplozja8

Anna Dutka-Mańkowska

Bombki od cioci Anielci9

Joanna Jagiełło

Bombka10

Andrzej Tadeusz Kijowski

Kolęda krajowa...11

Piotr Müldner-Nieckowski

Po uzbrojeniu choinki..... 12

Alicja Patey-Grabowska

Bomb-ka13

Maria Jolanta Piasecka

Zaczarowana bombka14

Krzysztof Saturnin Schreyer

Choinkowe bombki15

DRAMAT

Tamara Bołdak-Janowska

Fioletowy umysł16

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Eugeniusz Kasjanowicz

Jaś na spacerze, Kim będę?,
Mamo... 30

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Biała plama33

ESEJ

Alicja Patey-Grabowska

Z rozważań o poezji. 39

Kazimierz Świądecki

O czasie41

KRYTYKA

Anna Bańkowska

O duńskiej poezji w przekładach
Bogusławy Sochańskiej..... 45

Kinga Młynarska

I jakby mimochodem
– Dorota Koman 49

Piotr Müldner-Nieckowski Andrzej Dąbrowka: szaleństwo rozbiegania świata53	Maria Jolanta Piasecka Wiersze113
Alicja Patey-Grabowska Tajemnia (Janusz Andrzejczak) ... 59	Jan Krzysztof Piasecki Trzy wiersze z Ludomirowa114
Alicja Patey-Grabowska O dwóch zbiorach wierszy Krzysztofa Saturnina Schreyera ... 60	Krzysztof Saturnin Schreyer Błękit nieba i inne wiersze117
Kazimierz Słomiński Ciepła pułapka serca (o Jerzym Binkowskim) 63	Jerzy Śleszyński List do ciebie121
Kazimierz Świątkowski O Konradzie Sutarskim 68	Konrad Sutarski Jakże skarłałeś świecie i inne wiersze 123
Waldemar Żyszkiewicz Müldneriada74	Zofia Zarębianka Wiersze 129
POEZJA	
Janusz Andrzejczak Gruda cudnia, Pyk! 83	PROZA
Anna Bernat Gdy wszyscy wzięmięwzięci. 84	Janusz Andrzejczak Ktoś 132
Jerzy Binkowski Wiersze 89	Krzysztof Choiński Przygoda kolejowa Stanisława Altmana 135
Andrzej Książek Aforyzmy, Wiersze91	Jacek Durski Okno I141
Adam W. Kulik Wiersze 94	Joanna Jagiełło Żółte gruszki 144
Gabriela Kurylewicz Wieczór Trzech Króli... i inne wiersze 97	Jerzy Marciniak Wzgórze białych brzoź151
Wiesław Mandryka-Bukowiński Jutro101	Wiesława Oramus Ocalenie przyjaźni 157
Piotr Müldner-Nieckowski Ból. 104	Maria Jolanta Piasecka Ragnarök162
Mariusz Olbromski Wiersze wyszogrodzkie 105	Jerzy Seipp Miniatury optymistyczne 2021 ... 166
Alicja Patey-Grabowska Nirwana i inne wiersze 109	Joanna Sendłak Vivo170
	PRZEKŁADY
	Katarzyna Boruń-Jagodzińska Patrick Cotter174



Małgorzata Karolina Piekarska

Nadzieja

Otrzymujemy kolejny numer, który powstał w czasie pandemii COVID-19, w okresie, w którym pociesza nas nadzieja. Jej definicją i funkcją zajmowali się dawni filozofowie i duchowni, a i dziś nie brakuje refleksji w tej sprawie. Święty Augustyn pisał:

*Jest obecność rzeczy przeszłych i to nazywa się pamięć.
Obecność rzeczy teraźniejszych i to jest postrzeganie.
I wreszcie – obecność rzeczy przyszłych, czyli nadzieja.*

Ksiądz Jerzy Popiełuszko mówił:

*Tylko ludzie silni nadzieją
są zdolni przetrwać wszelkie trudności.*

Ksiądz i poeta Jan Twardowski, nasz śp. kolega z SPP, konstatował, że:

*Nadzieja to cierpliwość czekania na to,
że spełnią się wszystkie Boże obietnice.*

Zajmował się nią niedoszły duchowny, niemiecki poeta Friedrich Hölderlin:

*Czym byłoby życie bez nadziei?
Iskrą odrywającą się od rozpalonego węgla i gasnącą natychmiast.*

Gdy pandemia się zaczynała, cytowałam naszą nieżyjącą już koleżankę ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i noblistkę Wisławę Szymborską, a konkretnie fragment jej wiersza *Nic dwa razy*, w którym poetka mówi o chwili, która kiedyś minie. Inny zmarły kolega z SPP, także noblista, Czesław Miłosz nadziei poświęcił cały wiersz:

*Nadzieja bywa, jeżeli ktoś wierzy,
Że ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem,
I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamie.
A wszystkie rzeczy, które tutaj znałem,
Są niby ogród, kiedy stoisz w bramie.*

*Wejść tam nie można. Ale jest na pewno.
Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli,
Jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną
W ogrodzie świata byśmy zobaczyli.
Niektórzy mówią, że nas oko łudzi
I że nic nie ma, tylko się wydaje,
Ale ci właśnie nie mają nadziei.
Myślą, że kiedy człowiek się odwróci,
Cały świat za nim zaraz być przestaje,
Jakby porwały go ręce złodziei.*

W chrześcijaństwie funkcjonują trzy łącznie postrzegane cnoty teologiczne: wiara, nadzieja i miłość. W języku rosyjskim są imionami kobiet. W polskim funkcjonuje tylko imię Nadzieja. Przywiązałam się do niej, wciąż ją mam. A czytając wiersz Miłosza, pomyślałam, że chciałabym, byśmy wszyscy lepiej i mądrzej patrzyli.

Małgorzata Karolina Piekarska

Rys. Katarzyna
Borut-Jagodzińska



Anna Bańkowska**Konrad Rafał Fiałkowski (1939-2020)**

Konrada znałam przez prawie całe swoje dorosłe życie. Był najbliższym i właściwie jedynym przyjacielem mojego Męża, a z czasem całej naszej rodziny. Panowie poznali się w r. 1957 na finale Olimpiady Fizycznej i jako jej laureaci razem rozpoczęli studia na Wydziale Łączności Politechniki Warszawskiej. Tak powstał tandem naukowy, który trwał aż do śmierci mojego Męża w r. 2019. W dwa lata po dyplomach prawie jednocześnie zrobili doktoraty, po kolejnych dwóch obronili prace habilitacyjne, a w wieku 33 lat w niewielkim odstępie czasu zostali profesorami w dziedzinie, którą od niedawna zaczęto nazywać informatyką. Wspólnie opracowali kilka ważnych wynalazków, za które odebrali prestiżowe nagrody, wypromowali też wielu przyszłych naukowców. W latach 70. razem odeszli z Politechniki do Instytutu Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej, gdzie Konrad objął stanowisko dyrektora, a mój Mąż Jacek jego zastępcy.

Na początku lat 80. Konradowi zaproponowano pracę w wiedeńskiej centrali UNIDO i tam pracował do samej emerytury, pozostawiwszy dyrekcję IINTE Jackowi. Wyjazd do Wiednia nie przerwał współpracy naukowej obu profesorów ani bynajmniej nie wpłynął na ich przyjaźń. Konrad z początku często bywał w Warszawie, a każda Jego wizyta była u nas małym świętem. To dzięki niemu w trudnych latach osiemdziesiątych nigdy w naszym domu nie brakowało whisky dla dorosłych ani czekolady dla dziecka, że nie wspomnę o licznych prezentach-niespodziankach. Tradycyjnie już lepiłam wtedy ogromne ilości Jego ulubionych ruskich pierogów, a w całym domu unosił się aromat dobrego tytoniu fajkowego (tylko Konradowi wolno było u nas palić). Był człowiekiem z krwi i kości, mimo niełatwego charakteru, bardzo towarzyskim i gościnnym, lubił dobre alkohole, w młodości nie gardził partyjką pokera, a mocno zakrapiane „spędy”, jakie u siebie urządzał, nieliczni żyjący do dziś uczestnicy zapewne wspominają z sentymentem.

Już w latach studenckich zaczął współpracować jako dziennikarz z takimi pismami, jak „Dokoła świata”, „Wiedza i Życie” i „Problemy”. Oprócz licznych książek naukowych, opublikował kilka tomów opowiadań SF (debiutował tytułem „Wróble galaktyki”), a później także powieści, jak

„Homo divisus” czy „Adam, jeden z nas”, które cieszyły się dużym powodzeniem. To on wymyślił określenie *biohazard* (tytuł jednego z Jego opowiadań), które stało się później nazwą znanego zespołu muzycznego. Kiedy ja sama zaczęłam tłumaczyć książki, kibicował mi i podnosił na duchu, podobnie jak Jego żona, jedna z moich najwierniejszych czytelniczek.

Przez wiele lat – dopóki pozwalało im zdrowie – odbywali z moim Mężem regularne konferencje na Skypie, a z okazji różnych uroczystości i świąt wznosiliśmy wspólnie toasty przed komputerem.

Prof. dr hab Konrad Rafał Fiałkowski – informatyk, pisarz, dziennikarz, członek-współzałożyciel SPP – zmarł w Wiedniu po długiej i ciężkiej chorobie 23 listopada 2020 r. (prawie dokładnie rok po moim Mężu). Pozostanie w mojej pamięci jako wspaniały Przyjaciel, na którego zawsze mogliśmy liczyć.

Anna Bańkowska

Nasza nowa (dawna) Koleżanka przedstawia się...

Zofia Zarębianka

Nie wiem, chyba nie umiem się przedstawić... Jestem od 26 lat członkiem SPP, przez 24 lata starałam się aktywnie działać w Zarządzie Oddziału Krakowskiego (również jako przewodnicząca Komisji Rewizyjnej), wydawało mi się, że jesteśmy bardzo zintegrowani, aż nagle się okazało, że praktycznie nie ma dla mnie z krakowskim oddziałem miejsca, takie się porobiły nagle zawirowania i animozje. Odeszłam.

Tak, czuję żal, ale nie będę rozpaczać. To jest też wyzwanie, by wejść w nowe środowisko, poznać nowych ludzi, zrobić coś dla innych w innej przestrzeni i innej konfiguracji.

Przychodzę do Oddziału Warszawskiego z nadzieją na NOWE relacje, nowe doświadczenia, nowe działania. Jako pisarka czuję się przede wszystkim poetką, i choć więcej miejsca w moim dorobku zajmują książki eseistyczno-naukowe, to na pierwszym miejscu jest jednak poezja, i to ona chyba najbardziej określa moją samoświadomość twórczą.

Z.Z.

Boże Narodzenie 2020

hasło: **Bombka**

W minionym roku nie było spotkania opłatkowego. Opłakiwaliśmy czasową utratę wolności poruszania się i bywania. W lutym 2020 świat został opanowany przez chorobę COVID-19 wywoływaną przez koronawirus SARS-CoV-2. W czasie tworzenia niniejszego zeszytu „Podglądu” zaraza osiągała trzecie apogeum. Dom Literatury w Warszawie został zamknięty – nie mogliśmy się więc zebrać, uściskać i bezpośrednio życzyć sobie szczęścia i pomyślności. Ale koledzy nie zapomnieli o naszej tradycyjnej SPP-owskiej choince. Tym razem pod hasłem „Bombka”. Oto nadesłane utwory.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

(okolicznościowo na bombkę, Boże Narodzenie 2020)

Eksplzja

Dla jednych całkiem bezgłośnie,
zaledwie przy wtórze dzwoneczków
kryształków żyrandoli,
dla innych z hukiem i dymem,
zapadaniem się stropów i podłóg
rozbila się bania.

Bomba
na szczycie świata,
zielonym drzewie Ziemi zawieszona,
kusząca srebrem, złotem i barwami.

Rozprysła się
na okruchy szkła, lusterka wklęsłe.
Fałszywy brokat wpada do oczu,
w zębach piaskiem zgrzyta,

w trybach codzienności.
 Popsuły nam świat i nas.
 Staął świat na głowie
 W każdym lusterku
 zniekształcone oczy i usta,
 nie wiadomo, czy uśmiechy
 czy małpie grymasy,
 czy płacz czy szyderstwo.
 Ostre krawędzie ranią
 niemal niezauważalnie.
 Boli? Nie boli?
 Specjaliści ocenią, a nie ten zbolały.

Choćby jedną garść śniegu na opuchnięte oczy,
 na twarze rozognione,
 a i śniegu brak, wyparował.
 Jak wielu.

Anna Dutka-Mańkowska

Bombki od cioci Anielci

Świta wigilijny poranek
 dzwonek do drzwi jak zwykle
 skrzyp schodów
 wiem: to kroki cioci Anielci

tulę się do korpulentnej sylwetki
 w króliczym futerku pachnącym mrozem
 zimy z lat sześćdziesiątych

już trzymam pudełko jak rok temu
 w środku wielkie bombki
 rarytas eksportowy z fabryki

bombki jak kolorowe planety
w gwiazdozbiorze Anieli
na choince są bliżej nieba
odbijają światło latarni
kuszą.

26.12.2020

Joanna Jagiełło

Bombka

Małą złocistą kulkę do prezentu dołączył
dział kadr. Bomboniera i wino, całkiem z ich strony
miło, tylko bombka, ta bombka jak żart.
Adnotacja: odwołane spektakle, prób brak.
Wieszam ją na drzewku szczęścia, nieszczęsną.
Chcecie blagi? Nigdy zbyt wiele blag.

Mała bombo o złym imieniu, twarzy lśniącej
jak tłustej dziewczki, a nie, to przecież moja twarz,
bombko z niepodpalonym lontem, i bez anielskich
włosów, wystrojona, a w środku pusta, pozbawiona
głosu, nietłukąca się nawet, bez choinki, jak
aktorka w pustym teatrze, ja.

Potrzebna tylko raz w roku, przez kilka dni, jak znicz,
fidrygałka, drobiażdżek, duperelka, kicz.
No i co? – mówię do szyb, nieba pozbawionego
gwiazd jak stawy bez ryb, pustych talerzy. A potem
odwracam się w stronę bombki, szukając pociechy.
Światła, brzęknięcia, czegokolwiek. *Milcz.*

Andrzej Tadeusz Kijowski

Kolęda krajowa Rzecznika Wolności Słowa A.D. 2019¹

Podnieś, Boże Dziecię, rękę.
Użyj mowy nienawiści.
Skróć przewlekłych sądów mękę.
Niech się Księga Praw Twych ziści.

Nie cenzuruj gniewnych treści.
Cnotę wynieś na ołtarze.
Politycznej poprawności
Niech Zbawiciel zniknąć każe.

Patriotom daj wytrwanie.
Oligarchię przegnaj precz.
Słowo niech się Ciałem stanie.
Polską – Pospolita Rzecz!

Wygnań z kraju Narodzony
Sygnałistów z donosami.
Warczą werble, biją dzwony.
Jest Syn Boży między nami.

Media i Internet cały,
Wszystkie konta i domeny,
Boże sieci zgodnie chwalą.
Wolność modłów wyznajemy.

¹ Zastrzeżenie: Publikacja wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Piotr Müldner-Nieckowski

Po uzbrojeniu choinki

(na Boże Narodzenie 2020)

Ktoś słusznie projektował
dla nazwy „bomba” kulę
Geometrycznie ma w sobie
wielką krótkość zbiegu
jakże oszczędną w słowach i stopach
oddech też nie napotka oporu
A wkoło żadnych krawędzi!
Jeszcze raz i w poprzek
aż równik się zgrzeje
od tupotu i potu tancerzy!

A wewnątrz jak w kielichu Ziemi
wessij się przez rurkę nóżki
stojącej po męsku do góry
i usiądź koło mnie połóż głowę
pod moją nad moją jak zechcesz
i nie myśl

Jesteśmy już tak zmęczeni
że aby odzyskać szesnastoletniość
musimy się wyspać
w specjalnej przestrzeni
na drzewie specjalnym
w urodziny Tego
na którym nam zależy

Alicja Patey-Grabowska

Bomb-ka

Wystarczy do bomb
dodać ka
I mamy choinkowe cacko

Bomba symbolem
śmierci i zła
a bombka?
Na niebie gwiazdka.



Rys.: Katarzyna Boruń-Jagodźńska

Maria Jolanta Piasecka

Zaczarowana bombka

małej Zosi

noc – nad Zosią błyszczy bombka
kolęduje złota trąbka
kotek musnął bombkę wąsem
w rytm melodii ruszył płasem
dołączyła się choinka
piernikowy łoś i świnka
która rykiem Zosię trąca
mruży oczy Zosia śpiąca
zakręciło jej się w głowie
resztę bombka niech opowie...

Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska



Krzysztof Saturnin Schreyer

Choinkowe bombki

Gwiazd na niebie miliardy i wiedzą uczeni,
że każda z nich inaczej błyszczy się i mieni.
Wielość tych słońc w kosmosie zdumiewa i trwoży,
a mnie zachwyca sezam, który człowiek stworzył –

błyskotki, dziwne bombki jak kosmiczne światy.
Każdy inny, niezwykły, w kolory bogaty,
które w mędrkach wzbudzają naiwne olśnienie,
zmywając kurze z książek czarodziejskim tchnieniem.

I oto jądro duszy ukrytej, dziecinnej
cieszy się błyskotkami proveniencji innej
niżli dzieła współczesne, trudne, dziwne, gorzkie,
szokujące conceptem (omijane troszkę).

Tu też wiele conceptów i mnóstwo kolorów,
także miliard kosmicznych, rwących oczy wzorów,
które geniusz dawnego bombek wyrobnika
zagarnęła współczesna, magiczna fabryka.

Na zieleni, wśród której myśliwy się skradał
i wzrokiem zachwyconym gwiazdne niebo badał,
na polanach, gdzie w niebo szły ogniska iskry,
blask uderzał w człowieka pierwotnego zmysły.

Dziś jasne, złote bombki i szyszki u szczytu –
artysta się nie broni, bliski jest zachwytu.
Rozgrzesza go tradycja, nie ma pytań w głowie,
cieszy się tak jak dziecko i tak jak przodkowie.

21 XII 2020

Tamara Bołdak-Janowska

Fioletowy umysł

Minispektakl Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

Tolo: Dziś spektakl mini Nr 4.

BeJot: 4A.

Tolo: Jak to cztery a?

BeJot: Bo już mieliśmy w Amfiteatrze, na naszym Placu Rybnym podczas spaceru Półkowniczek po mieście. Zapomniałeś?

Tolo: No tak... zdążyliśmy z kilkoma spektaklami. Są filmy i fotografie. Dobrze. Mamy spektakl 4A.

BeJot: Będę czytać to, czego jeszcze nie czytałam. A ty graj rekwizytami, najpierw okiem i drabiną. Czerwona drabina, którą wykonałeś, pomalowałeś, i duże oko, które wyciąłeś z dykty, a ja je pomalowałam w stylu Miró. Graj tymi rekwizytami, wchodząc w moje słowo. Włóż białą maskę i wędruj okiem po drabinie.

Tolo: Fioletowy umysł to inaczej zagęszczenie. Opisywać nie trzeba. Fiolet to fiolet. Fioletowy umysł to wyobrażenie wzmocnione. Intensywność ostrość.

BeJot: Fioletowy umysł napisałam w 2004 i zrobiłam z tego liberaturę, czyli tomiki-obrazy, ilustrowane wewnątrz i zewnątrz. Nawet mają ISBN, a to czasu, kiedy z Piotrem Siweckim stworzyliśmy grupę literacką – Grupa 68plus. Piotr też własnoręcznie wykonywał wspaniałą liberaturę i do niej mieliśmy ISBN. Wsunęłam w kąt, zapomniałam, a dziś widzę, że teksty wcale się nie zużyły, a wręcz nabrały mocy. Tytuł wziął mi się z kleksa. Tekstami tworzę karambol kleksów. Metafory, myśli to też karambol kleksów. Uczucia też są karambolem kleksów. No więc teksty wzięły mi się z autentyku – fioletowego kleksa. Czytam, a ty graj rekwizytami. Nie zawsze chce mi się grać, czytać. To jak z wolą życia, raz mam, raz nie mam. Dziś mam wolę życia przez *Fioletowy umysł*. Niech te teksty ożyją tu i teraz. Ja będę nieruchomo stać i czytać. Ruch robisz ty. Włóż czarny płaszcz. Gramy. Czytam. Stoisz z drabiną i okiem za mną, i grasz. Czytam:

Proces

Zakwitła czerwona jaskółka
na oponie, czyniąc ją głęboko szarą: poczuj kolor:
wirujące gęste głuche szczeknięcie.
To chyba dwuskrzydła – wreszcie dorosła – iskra z klonu
składa tu pocałunek, malowany na oba policzki,
jakby istniały.
Moja tęsknota opowiada to:
całującą jaskółkę czerwoną.
Tęsknota do widzialności chwili,
nawet tej bez życia.
Obraz.
Żywy obraz chwili
bez ludzkiego życia.
Do tego tęsknota.
Staje się obraz *jaskółczenia*,
dla nikogo,
ale dla mnie i mną,
i każdemu oku chce mi się go dodać.
Mną: stać mnie na „ujrzyć” i na „patrzeć”,
długo – jak za ciężkie pieniądze.
O. Ucieka.
Tępo dźwięczy o guzy jezdni.
Wraca. Na chrzęszczącej łyżwie,
która jej kręgosłupem jest – w organizm wnizanym widzialnie
i ma zadarty ogon.
I wzwyż – po wzgórzach karoserii.
I w dół. Teraz chrzęst z pauzowaniem, jak z płuca palacza,
tylko bez świstu.
Nie porysowała, nie.
Bo cóż to za ciężar.
W sam raz dla oka i włoska słuchu.
Ta sama waga mniej więcej.
(Przez przypadek dla kogoś.
Ja to widzę, ja to opowiem,
Wiem.
To nie jest ważne).

Tolo: Do wiersza „Koniec.” Na długim sprężystym wędzisku mam dużą, powiewną, nieco złowieszczą ważkę. Chodzę z nią za tobą i łapię nią wiatr, i tak od czasu do czasu zarzucam wędziskiem, jakbym chciał na tę ważkę złowić dużą rybę.

BeJot: A do następnych tekstów znowu drabina i oko. Czyta:

Koniec.

Może być tak, że czytasz czyjeś mądre zdanie
w otwartej jak powietrze książce.

I **koniec.** Znikasz.

Więcej miejsca nie masz.

Przyciskasz oburącz

jeszcze nazbyt ruchomą kulkę serca
(nie dław).

Donikąd znikasz.

A tam

już mowy nie ma,

twojej ludzkiej,

ludzkiej żadnej.

Sprawy ściskają się jak sardynki w puszcze,

a jeszcze wyjmujesz

sprawę, pilną,

te i tę,

i jeszcze,

i widzisz sardynki ściśnięte jak banknoty,

a jeszcze sprawa, najpilniejsza,

i widzisz sardynki ściśnięte w sztabkę żelaza,

i od początku: widzisz sardynki spraw w puszcze,

na wirze, na dziurze.

Krzyczysz: mało miejsca!

Nie chcesz dziury ani bycia daniem wokół.

Na nic siła sprzeciwu.

Krzyczysz: moja sprawa!

Krzyk to tyle, co wystawione w upał – jak nagłe oko –

kolano świeczki,

przytomne w nieprzytomnym miejscu.

Mało.

!



Nagle przypominasz poetyckie słowa kuzynki:
„Było za mało dzieciństwa”.

Kulfoniczność

Życie, nawleka. Na biel, czern, kolor.

Wywleka

z

kolorów, czujesz przenicowywanie: *wórolok* z.

Wydycha w bój ostatni.

W pierwszy, po którym żyjesz.

Wpycha w nory, splecione z wielu pustek

i dokładnych kierunkowskazów, lecz z wychyloną, pochyloną,

powieszoną, podduszoną główką,

udręczoną świadomością pustości kierunku w ciasnym

warkoczu dróg

i zadaniem swej spiczastości: wskazuj kierunek.

Rozdrabnia cię to życie

w labirynt wewnątrz ślepej prowincji kubka

i szklanki z wiecznie oglądającym się oknem z okiem.

Rzuca wysoko w uciążliwe ścieżki po gzymsach,

w zygzaki ścieżek, biegnących po linie,

i od początku napiętą linką

ciągnie za bezboleśnie złapane oko, jednak czujesz,

pchnięcie obrazem –

ciągnie za chętne oko

z wstrzelonymi jak zwinny okoń drzazgami,

czujesz ten rozprysk,

i jednak zachwyt –

prosto w *Oblicze* wiecznej zupy,
 nawiniętej na jabłko globu,
 gęstej i *kulfonicznej*.
 Moja i twoja zupa ładna.
 Nabądź się w niej, posmakuj zmysłami –
 ona je ostrzy – one ją oświetlają.
 W niej i (chwilowo nad nią) moja i twoja twarz,
powłoczność znikoma –
 liść z dwiema dziurami.
 Natrysk kulfonów, szmacianych igieł, świetlistych rozdrapań.
 Wrotnie stopy jak śmiałe końcówki świerkowych gałęzi.
 A pod stopą – mapa krwiobiegu, w kawałkach na kwiatach,
 jak zdjęta z milionów przekrwionych oczu,
Kulfoniczność, tak, ale bardzo staranna i zgrabna.
 Dopełniasz ją sobą, gdy nic nie zamierzasz,
 a tylko jesteś pośród tych kształtów,
 uproszczonych jak na rysunku dziecka.

Świeżość

Wychodzisz z domu, aby iść i płakać.
 Tak myślisz, wychodząc z domu, bez celu, tylko aby wyjść.
 I rzeczywiście przez chwile płaczesz. Potem się śmiejiesz,
 Bo smagnął banał. Jednak – smagnął i trwa.
 Trwasz i trwasz poprzez zamierzchłą chłostę jakąś,
 podobną do tej, co ją widzisz w kwiatach i liściach
 znaczonych ciekłą wiśnią pręg:
 pręgi wyrzucone na brzeg,
 pręgi zebrane na wierzchu,
 pręgi na kopczykach,
 albo brutalniej, jak po deszczu
 i poprzez burą marmoladę –
 w rozmiękłych progach, bruzdach i koleinach.
 Najbardziej jesteś jak świeżo zbity kopczyk,
 ociekasz, rozmiękasz, sączysz się, ściekasz.
 Myślisz: może forma, w której można płakać,
 to forma najdoskonalsza na Ziemi?
 Boże, jak się sobą męczysz.

I to z powodu smagnięcia
przez jedno głupie własne zdanie.

Ciągniesz męczącą myśl:
cios spada z góry, która nas wcale nie ogląda,
rozwarstwia, rujnuje,
integruje z ruiną.
Człowiek nie jest odnawialny jak pałac (ręką)
albo trawa (niebem).
Myślisz: góra.
Zawsze myślisz: to góra.
Pod nogi wiecznie rzucasz myśl: to wszystko wina góry.
Podśpiewujesz,
bezmysłnie, jednolitym sprzeciwem,
z kwitującym uśmiechem:
ty ozdabiasz, ty rujnujesz,
i bez mego chcenia mnie wykonujesz.

Wiersz dla Marcela

Wyjść z ludzkości,
nie wikłać się więcej w jej sprawy,
znaleźć skrawek wolnej Ziemi,
znaleźć Boga wolnego od ludzi,
albo polegać na Chrystusie prastarym,
który już ludzi raz z ludzkości wyrzywał.

Nie potrzebować książek, aby zacząć dzień.

Nie potrzebować książek skontrolowanych.

Potrzebować książek,
które obsypią wolnością jak sierścią –
dobrze zakamuflują,
będą lekarstwem,
pożywieniem, snem, dniami,
brakiem policji każdego rodzaju,

partii, wojsk, urzędów, obozów,
i mieć w nich blisko stały pożar,
który tylko grzeje,
który powoduje coroczne owocowanie
kilku bliskich drzew.

Ożywać.
Czuć, że się uśmiechają kości.
Uśmiechniętymi kośćmi zatańczyć coś.

Wszystko uśmiechniętymi kośćmi tańczyć.

Teraz ty, Tolo, graj innymi rekwizytami.

Tolo: Bierze kukłę i huśtawkę. Kukła buja się na huśtawce w rytm końcówki powyższego wiersza. BeJot z zadartą głową powtarza końcówkę wiersza.

BeJot: Czytam dalej.

Tolo: Jak wiesz, zrobiłem, uszyłem sobie sobowtóra. Będzie do wiersza „Komentarz do skóry...”. Bierze sobowtóra, swego wzrostu, tak samo ubranego i zarzuca sobie na plecy, a ręce sobowtóra związuje pod brodą. Zaczyna chodzić, powoli, dookoła Tamary BeJot, za nią.

BeJot: Potem drabina i oko. Czyta:

Komentarz do skóry, opisaney przez Rainera

Dzięki, dzięki za dwuwiersz:

„mój kolorowy przyjaciel
to się rumieni to blednie”.

Zatem skóra,

która wyraża stosunek do świata
i określa rasę?

Zatem wewnętrzna skóra strachu i wstydu –
wewnętrzna rasa?

Estetyka braku spokojnego kąta,
spokojnego skrawka ziemi?

Wytrzymać chlastanie w mordę,
gdy po jednej stronie przez chwilę tamta ręka odpoczywa
zwijając się w pięść?
Schlastany?

Ten, który przysposobi się do odwetu?
 Czy dosłowność tego, który się tylko dręczy?
 Czy – dwa olbrzymiejące stopy ludzkich spraw i sprawek
 po obu stronach drogi? Twarzy? Wolności? Duszy?
 I nieprzytomna utrata zmysłu równowagi na samym dnie?
 Nieprzytomny człowiek dna?
 Bardzo przytomny?
 Na szczęście?

Coś jest, znak wodny,
 jak ten chwiejny zarys
 fal na skorupie małży – na półce z książkami.
 Zwykle się nie pamięta, skąd się coś takiego ma.
 Podobną zleżałość widać w brzegach starych grubych ksiąg,

i w płowych włosach, ciężkim kosmyku
 przesączonym ciekłą perłą, która już zastygła,
 a trącona koniuszkiem palca
 rozpada się,
 a tak się rozpada, jak się myśl rozpada (ta dobrze
 ułożona, ciesząca): na nic istotnego.
 Jest głębsza rysa: ziemia pęka i człowiek pęka.

Spokój zamkniętego oka, powiek obu.
 Ogromna ciemność na twarzy jest lekka.
 Co zostało skwitowane i nie jest raną
 też tak leży – na sobie, mile obojętnie.
 Jest dobra para kluzy dla podróżującej twarzy:
 maska otwiera oczy i twarz otwiera oczy.

Dziś nic się nie stało, oko przepłynęło po ścianie,
 a za nim oko duszy, potwierdzające mocniej.
 Oba nagle, niemal jednocześnie otwarte,
 bo zabłądzone w głupi kąt,
 który obdarza niespodzianką – świątecznym nastrojem.

Tolo: Do wiersza „Żart” muszę stworzyć coś zabawnego. Bierze dwie poduszeczki i klaszcze nimi – poklaskuje to tu, to tam. Wystarczą cztery

kłaśnięcia – w różnych miejscach za Tamarą BeJot. Na poduszeczkach narysowane są kogut i kura.

BeJot: Czyta:

Żart

Pan Cogito ma bardzo mądrego koguta
o szyi ze złotych klocków,
jak te, które koń wydała,
tylko bliżej ciała i rozwichrzonych.
Czasami pieją razem i kogut go poprawia.
Pan Cogito mówi o sobie: jestem *Pankoguto*.
Tak. Lubię się pośmiać. Tak, jestem może głupi,
ale wiem, co to głos i w ogóle ludzki kurnik albo
polityka, baby klną jak szewcy, w Polsce nie ma schronów,
ale do twarzy mi z moim kogutem, prawda?
Pan Cogito często twarz w dłonie upuszcza,
gdy się wstydzi interpretacji nazwiska. Mówi, że ostatnio
rozumy źle pieją i fałszują fakty, na przykład stale uchodzi
ich uwadze fakt wypiania się wszystkich kogutów zaufania.
Pan Cogito, gdy twarz w dłonie upuści, koguta przytula
pachą do kolana. Bo ostał mu się tylko kogut,
wszystkie kury zjedzone przez lisy, i w ogóle trzeba coś jeść,
nie, nie boi się śmierci, chyba że długiej agonii bez lekarstw,
Polska gnębi humorystów, rolników, rencistów i w ogóle,
jego mózg jest na polskiej rencie, na działce, blisko koguta.
Tak. Można z tym żyć.
Tak. Polskę kocha na ślepo.
Nie szarpie na kawałki jak kurę jastrzęb.
Tylko całość, nawet kura, jest pięknem.
A jego kogut, o, proszę bardzo,
pieni się jak tęczą, co wpadła do wodospadu
na zawsze,
albo jak rąbany pieniek: żywicznymi drzazgami się stroszy.
A pieczona kura na półmisku
to jak korona na kołnierzu była, nisko,
i człowiek myślał: król stracił głowę, i masz rumiany obiad.
Ech, i bez kury żyje się.

Tolo: Do wiersza „Po tamtej stronie” biorę dwie jednakowe marionetki, twarzami do siebie. Zbliżam je, oddalam, zbliżam i imituję ich taniec, okręcanie się, a po chwili sam zaczynam tak tańczyć. To podwójny taniec, bo marionetki przez cały czas tańczą.

BeJot: Czyta:

Po tamtej stronie

Jest dokładnie to samo,
przynajmniej poprzez współdodanie,
to samo drzewo, jeśli go nie ścięto,
jeśli nie zwała wichura, zielona ręka,
ci sami ludzie, jak długo będą żyć,
żółknijąca ręka,
ludzie nowi,
podobnie zależni od ojczyzn,
które ich pomniejszą lub powiększą,
ręka, która bada, prosi,
ręka pana, ręka litości, współręka.
Ale dokonasz czegoś zupełnie nowego:
będziesz milczeniem,
które okrąża Ziemię.
najzupełniej bezkarnie,
bez licencji, bez nadajników.
Tłumnie – z wieloma milczącymi podobnie.
splątany – nie do odgadnięcia.
Z tymi, co już przysporzyli ciałom
nowych zimnych ciężkich budowli
w najniższych miastach świata.

Splątani – nie do odgadnięcia?
To niech będzie w pierwszej chwili,

ale zaraz – niech każda dusza zna imię i o twoje spyta.

To niech będzie rozmowa mnogiego milczenia.
Niech się staje rozmowa (milczenie) pełnych światów.
Niech się dzieje wprost rozmawianie (milczenie)
świata ze światem.

Niech się dokonuje udział w drugiej pamięci przez dotyk.

I nikt nic nie kupuje ani nie sprzedaje,
 a imię ważniejsze od nazwiska,
 i ktoś do kogoś jest dodany
 i do wszystkich,
 a myśl do słowo, obraz, melodia, taniec (wszystko),
 a ciekawość
 tego, co będzie, nie potrzebuje ciała,
 a co będzie, nie zabija,
 i nic nie jest ogryzkiem
 – wszystko dojrzeć: nieskończenie.

I to, co wokół było, zielona ręka, ojczyzna, nowi ludzie,
 i tak dalej.
 Trwa, jak trwało, teraz poprzez przenikanie:
 bez potrzeby, bez zadania.

Człowiek
 jak ośmielony motyl, który się poruszy
 w otwartym pośrodku jabłku,
 ten lewy, i ten prawy,
 dwa, sobie równe –
 można je

jeszcze

złożyć
 i będą pasować.
 I stworzy się trzeci, wolny od brzegów.
 Tak nawet rękawiczki nie pasują ani dłonie,
 żeby tak dokładnie stworzyć schemat wnętrza
 i obustronne rozstanie z sobą.
 Złożyć, rozłożyć i nie składać więcej.
 Zatrzaśnij rozarty owoc, scałuj brzegi.
 Złóż dwie zaniedbane srebrne łyżki
 bez trzonka, wypełnione też srebrem,
 przyklepanym równo, mokrym i chwilowo słodkim.
 Już.

Nie ty do nich, lecz oni do ciebie – – –
 Niech będzie wola moja.

Oni do ciebie – – – – Całe to ogromne powietrze.
 Witaj, człowieku zewnętrzny.
 Może jesteście?
 A wszystkie detale ważne jak zęby?

BeJot: Tolo, ty teraz znikasz gdzieś w oddali, krokami w lewo, w prawo,
 a zostaję ja i czytam ostatni wiersz o zegarze. Czyta:

Stary

Stary ścienny zegar
 z wtyczką krawata z nadzianym słońcem, w regularnym
 przewiewie,
 albo pracujący pępek –
 wyjęty, wypieszczony,
 jak lekko wzdęte biszkoptowe ciastko
 z oszczędnym lukrem –
 i okazane zezowi twemu,
 i śledzić musisz badawczo –
 przez chwilę, żeby rzecz
 przeinaczyć:

to jest niemal człękoksztaltny

stary zegar ścienny, duży,
 rozmiata metodycznie delikatnie przód czasu.
 Czas wszędzie ma tylko przód.
 Też tak samo się ściera,
 bębniąc śliską pieczętką – – – –
 I jest to wykonalne.
 Nie tylko w głębi zwabionego słowa.
 I nie chodzi o oryginalność.
 O prawdziwość chodzi.
 O rzeczowość słowa.
 (Julio: „Język znika i staje się obecnością rzeczy”;
 ależ tak – grabie frazesu rzędną, gubiąc zęby).
 Stary zegar ścienny został
 w starym domu.
 Nie odwiedzacie się już.

stary ścienny zegar, nieelektroniczny,
to jedno to drugie zaświeca oko,
w spokojnym tik-tak,
sugestywnym:
potem te gałki (szczypane falą, marszczone
jak pismo arabskie) słyszysz:
słyszysz:
przecież tylko widząc –
słyszysz
w rzece.

PODGLAD — Kwartalnik literacki OW.



i dzikość atramentu, fioletowego kleksa,
i dzikość odręcznego rysunku i pisma,
i dzikie nagłe spojrzenie księżycy –
ta nagła żywa chrząstka oczodołu
w zamazanym obłupionym kartoflu:
ogłuszające przez dzienną szybę –
śmieszące tyk!
z Joyce’a
i nieelektronicznego kosmosu.

Tekst i ilustracje: Tamara Bołdak-Janowska

Eugeniusz Kasjanowicz

Jaś na spacerze

Kochanemu wnuczkowi

Przyszła pani Jesień
wyszedł Jaś na spacer
i biega po lesie
tak szybko jak wiewiórka
a babcia Maryla
nie może Jasia dogonić
Dokąd Jasiu biegiesz?
Chcę zobaczyć dzika
jak zajada żołędzie
robi dziury w ziemi
i szybko gdzieś znika
nie widać go!
Więc Jaś szuka dalej
zbiera kolorowe liście
kładzie pod świerkami
orzechy dla wiewiórki
i ma tyle uciechy
z biegania po lesie
aż wiatr jesienny
jego śmiech radosny
niesie daleko
do dzika wiewiórki...
a do domu
dla mamy taty i Antosia
przyniósł Jaś
uśmiechnięty bukiet
kolorowych liści

Kim będę?

Czasem myślę wieczorami,
kim będę w przyszłości.
Czy będę sławnym piłkarzem,
czy zostanę marynarzem,
a może będę pilotem,
by latać tam i z powrotem,
albo zostanę kominiarzem,
wtedy po dachach położę,
a może będę listonoszem,
co nosi listów trzy kosze...
Trudne jest moje życie,
chciałbym być każdym po trochu.
Już wiem – będę na pewno aktorem,
za wszystkich się przebiorę
i będę raz piłkarzem,
drugi raz marynarzem,
a trzeci raz pilotem,
czwarty raz kominiarzem...
będę miał różne twarze,
lecz dobrze posłuchajcie:
Serca swego nie zmienię
nawet na wielkiej scenie!

Mamo...

Jesteś dla nas dniem i nocą
kiedy złe sny nas obudzą
pierwsze słowa pierwsze kroki
powtarzałaś z nami długo
nigdy nie jesteś zmęczona
nawet kiedy nie dosypiasz
jesteś z nami w domu w szkole
w dniu tak długim jak korytarz
na wycieczce za górami za lasami...

bo nosimy Ciebie w sercu
oczy Twoje pamiętamy
kiedy wiatr nam włosy czesze
dłońmi Twymi
jak aksamit

Eugeniusz Kasjanowicz

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Biała plama

(fragment powieści dla młodzieży)

Prolog

Marta Firlej patrzyła na przyjaciółkę oczami zrozpaczonej matki. Trzymała w drżącej ręce notatnik córki. Czytała jej zapiski, które wyszukiwała, przerzucając roztrzęsionymi rękami rzeczy dziewczyny po tym, jak zaginęła.

– A to, posłuchaj, proszę.

Anna jednym okiem zerkała w ekran komputera, na którym zdążyła zapisać ledwie dwa akapity, zanim dzwonek do drzwi oderwał ją od pilnej pracy. Westchnęła w duchu. Znowu spóźni się z oddaniem artykułu do druku, mimo to nie mogła Marty zbyć. Były najlepszymi przyjaciółkami od dzieciństwa. Szczerze jej współczuła. Skinęła głową na znak zgody, zdjęła okulary i wyłączyła komputer.

Zapłakana kobieta wytarła oczy trzęsącą się ręką i wróciła do czytania.

– *Kiedyś zasnąłam na skarpie nad Narwią. Miałam wtedy chyba trzynaście lat. I usłyszałam głos „Obudź się”. Otworzyłam oczy i wstałam. Przedarłam się przez kłujące zarośla na ścieżkę. Ziemia dudnieniem dała znać, co się stało. Gdy odwróciłam głowę, wir wchłaniał oderwaną od brzegu skarpe. Takiego szaleństwa wody nie widziałam nigdy wcześniej. Głodna rzeka – pomyślałam. Woda miała paszczę potwora. Z gulgotaniem przełykała skrawek ziemi, na którym dopiero co spałam. Wtedy po raz pierwszy poczułam, jak kruche jest życie. Zrozumiałam też, że nie ode mnie zależy, co się ze mną stanie. Zostałam uratowana nie wiadomo przez kogo ani dlaczego. Jakiś głos przeniknął przez powłoki nieba, żeby mnie ocalić... Ale po co?*

Marta podniosła wzrok znad kartki.

– Jak to: po co?

Zapytała siebie? Annę? Męża siedzącego w kącie pokoju, zastygłego w bólu niczym posąg? Raczej nikt nie był adresatem pytania. Po prostu zawiesiła je w powietrzu i przypięła klipssem nad głową przyjaciółki.

– Dzieci nie powinny zadawać takich pytań – znów wytarła zaszkłone oczy.

– To nastolatka, nie dziw się. A co mówi policja? – spytała Anna, żeby sprowadzić rozmowę do konkretów.

Marta wykrzywiła się z niesmakiem, jakby rozgryzła pieprz.

– Co oni mogą? Uważają, że skorzystała z okazji i urwała się spod opieki zbyt troskliwych rodziców. Wróci, jak się nachapie wolności. Tak ujął to śledczy: „nachapie się”. Dobrze, że nie naćpa się! – prychnęła, zamieniając bezradność w złość. – Chcą konkretów. A tu nie ma konkretów, rozumiesz? Tu jest jakaś otchłań bez dna. Przesłuchują dzieci z jej klasy. Szukają hejterów. Hełę, jej koleżankę, tę z wypadku, zaszczerli na fejsie, to i Olę policja wrzuca do tego samego worka.

– Dobry trop. W tym wieku opinia rówieśników jest najważniejsza. Może zabić.

– Zabija. Ale Olki nikt nie hejtował. Sama się wyautowała z życia, zanim to wszystko się wydarzyło.

Anna Gut wsunęła niesforny kosmyk czarnych włosów za ucho. Potarganej fryzurze i tak niewiele to pomogło, ale w tym momencie nie myślała o splątanych włosach. Nie była pewna, czy Marta nie wyolbrzymia problemu. Może rzeczywiście dziewczyna uciekła spod opieki rodziców, żeby nabrać tchu. Życie w złotej klatce może się znudzić. Szczególnie nastolatce. A poza tym, wypadek Heleny musiał nią wstrząsnąć.

– Czuje się winna...? Boi się wrócić...? Rozmawialiście z jej chłopakiem?

Marta wzruszyła ramionami.

– Nie miała żadnego chłopaka. Tu napisała – wskazała notatnik – o „chłopaku z mostu”, że mogłaby się w nim zakochać. Ale ani Tomek, ani Maciek nic o nim nie wiedzą. Byli razem z nią na tym moście, i jeszcze Hela i dwóch dorosłych rowerzystów, nikt więcej – rozłożyła bezradnie ręce. – Rozumiesz coś z tego?

– Ja? – Anna uniosła ciemne brwi. Jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem przyjaciółki.

Marta wyglądała okropnie: włosy związane byle jak gumką recepturką, sine pręgi pod oczami, opuchnięte powieki, czerwony nos, ceglaste plamy na policzkach. Wydawało się, że każdy skrawek jej ciała cierpiał z osobna. Dawna Marta – zadbana, wysportowana, pewna siebie – znikła pod ciężarem lęku o córkę. Przyszła do Anny nie po to jednak, by się wypłakać,

uroiła sobie, że przyjaciółka wyczyta z zapisków Olki coś więcej niż policja. Gdy były w liceum, Anna balansowała na granicy depresji, jednak przeświadczenie, że dzięki przykrym doświadczeniom z okresu dojrzewania uda się jej rozszyfrować współczesną nastolatkę, było, zdaniem Anny, niedorzeczne. To prawda, znała Olę, ale tylko na tyle, na ile można znać dziecko dobrej przyjaciółki. Fajna z niej dziewczyna, zawsze uśmiechnięta, gotowa do pomocy, a do tego ładna. Wysoka blondynka z długimi włosami i oczami błękitnymi jak suknie niepokalanej Maryi. Śliczna nastolatka zamożnych rodziców. Nie rozpuszczona, poukładana. Super dziewczyna.

– No wiesz, w tym wieku wszystko się wyolbrzymia. Musiała być w szoku, pobiegła do chłopaka... czy do kogoś bliskiego, zabrał ją gdzieś, żeby się wyciszyła. Wróć prędzej czy później. Zazwyczaj rodzice wiedzą najmniej o swoich dzieciach...

– Nie gadaj! – Schrypnięty głos Marty zarysował powietrze niczym tępy nóż.

– Marta, proszę. – Adam Firlej zsunął okulary na czubek nosa i masował palcami czoło. Wyglądał nie lepiej od żony. Gęste włosy, dotąd tylko szpakowate, były teraz całkiem siwe. Wychudł tak, że kosztowny garnitur Hugo Bossa wisiał na nim niczym na szkielecie.

– Znam swoje dziecko! Uczyla się z taką pasją! – ciągnęła Marta, nie reagując na prośbę męża. – Przecież wiesz... Miała hobby, uwielbiała pływanie, niczego jej nie zabranialiśmy, chodziła na imprezy. I nagle straciła ochotę na wszystko. I znikła. Przecież po wypadku Heleny powinna przybiec do nas. Jeśli była w szoku – tym bardziej. U kogo miałaby szukać pomocy jak nie u własnej matki... ojca...? Mówiłam już, że nie miała chłopaka. Była przecież szczęśliwa. Helenę wyśmiewali, no wiesz, mówiłam ci, jak z nią było. Olka zawsze ją wspierała. Tak została wychowana. Nigdy nie kłamała. Nigdy!

Może nie kłamała, ale nie mówiła wszystkiego – pomyślała Anna.

– To nie jest żadna ucieczka przed odpowiedzialnością ani tym bardziej wynik buntu nastolatki – podkreśliła Marta. – Coś się z nią działo już wcześniej, co przeoczyliśmy, zbagatelizowaliśmy, sama nie wiem.

Przysunęła się z krzesłem do biurka, przy którym siedziała przyjaciółka, i położyła notatnik Oli.

– Proszę. Przeczytaj jej zapiski, są pokręcone na maksa. Jeśli ktoś miałby zrozumieć, o co w nich chodzi, to tylko ty. Działasz w fundacji, masz kontakt z dziećmi, piszesz książki. Ja tego nie pojmuję, nie mam

takiej wyobraźni. Wiesz, jak to jest, gdy odkrywasz, że nie znasz własnego dziecka? Nagle widzisz, że to *terra incognita*. I że cię okłamywało. Że zmagало się z czymś strasznym, a ty nie dostrzegłaś, nie pomogłaś, nie wspierałaś.

Przeczyła sobie, przed chwilą mówiła, że Ola nigdy nie kłamała, że zna ją jak własną kieszeń.

Głośno wysmarkała nos w chusteczkę.

– Przepraszam. – Położyła dłoń na notatniku. – W tej pisaninie nie ma sensu, ale jest w niej Ola, której nie znamy. Nie wiemy, skąd u niej wzięty się myśli o śmierci. Jedno ptasie truchło i zawałił się jej świat. To możliwe? Nie wierzę. Z tobą też tak było? – Potarła ręką czoło.

Anna mimowolnie przygryzła górną wargę. Nie chciała wracać do bolesnych wspomnień z przeszłości.

– To się zdarza. Dziewczyna dorosła do krytycznego myślenia, przyszła pora, żeby wszystko przewartościować – powiedziała akademickim tonem.

Marta popatrzyła na przyjaciółkę przez łzy.

– Pieprzysz. Nie chcesz mi pomóc, co? – zaatakowała, jakby Anna była jej wrogiem.

– Chcę, bardzo, nie wiem tylko, czy umiem. Pomagam maluchom z rodzin alkoholików, niewiele wiem o młodzieży.

– Spróbuj, proszę... Te zapiski ukrywała przed nami. Myślałam, że wszystko nam mówi.

Gospodyni stłumiła westchnienie. Nastolatka, która zwierza się rodzicom ze wszystkiego to raczej wyjątek.

– W jej wieku zdrowo mieć kilka tajemnic. To naturalne.

– Nie mów! – sarknęła Marta. – Jakiś alkohol na imprezie, wypalenie skręta, obściskiwanie się z chłopakiem, no, nawet seks – to są tajemnice nastolatek. A tu – przesunęła dłoń po czarnej okładce notatnika – nie to jest ważne. Zresztą Ola, Maciek i Helena trzymali się z daleka od używek. A Tomek... trudno powiedzieć, ale jego ojciec to taki szanowany lekarz, utytułowany. Policja nic nam nie mówi, nabrała wody w usta i każe czekać.

– Ale co, koledzy Oli nic nie wiedzą o jej planach?

– Jak mają wiedzieć?! Przecież niczego nie planowała! Zniknęła! Jasne?!

– Marto... – Adam podniósł chusteczkę, która spadła żonie z kolan.

Kobieta zaczerpnęła powietrza niczym tonący.

– Przepraszam.

Sięgnęła do dużej torby z logo Chanel opartej o nogę krzesła. Wyjęła zeszyty, książki i pękaty blok rysunkowy związany czarną wstążką.

– Nie liczę na to, że odnajdziesz nam córkę, proszę tylko, żebyś pomogła mi ją zrozumieć. Ja widzę jedynie konkrety, jak policja. Adam nic nie robi, tylko się obwinia. Nie rozumiem Oli bez twojej pomocy. Chcę poznać moje dziecko. Proszę... – Patrzyła na przyjaciółkę błagalnie.

– Zrozumieć nastolatkę, to karkołomne zadanie – westchnęła Anna Gut.

Szkoda czasu – dodała w myślach. – Dziewczyny w wieku Oli zachowują się ślepo i bez pamięci, potem się tną albo robią inne głupoty. A te współczesne nastolatki wychowane w dostatku są zupełnie z innej planety. Nie wiem, skąd wśród nich biorą się takie normalne okazy jak Olka.

– Odnajdzie się – powiedziała, bo coś trzeba było powiedzieć.

Marta nie zamierzała ustąpić.

– Zobacz tylko... – Kilкома szarpnięciami rozwiązała czarną tasiemkę spinającą okładki bloku. Luźne kartki wyfrunęły spod jej rąk jak białe gołębie i przykryły podłogę dywanem w przypadkowe wzory.

Anna podniosła kilka. Na każdej był szkic: ołówkiem, długopisem, mazakiem.

– To... dzwony?

– Jeden dzwon. Rysunki są w jej książkach, zeszytach, na świstkach. Musiała rysować jak opętana, a my nic nie zauważyliśmy. Siedziała przy biurku, odrabiała lekcje, uczyła się. Coś gryzmoliła. Nie mogłam przypuszczać, że wciąż to samo. Tego nie da się objąć rozumem. Takie klimaty lubisz, prawda? – kusiła Marta.

Wypakowała torbę do końca.

* * *

Anna Gut niczego nie obiecała. Przyniesione przez Martę i Adama książki, zeszyty, kartki i notatnik leżały nietknięte aż do północy. Gdy zmęczona pracą wyłączyła komputer, sięgnęła po notatnik. Była przekonana, że ma przed sobą zapiski egzaltowanej nastolatki, która bazgrała coś ot, tak sobie, to jednak postanowiła je przejrzeć. Przynajmniej z czystym sumieniem spojrzy przyjaciółce w oczy.

Godziny mijały, a Anna składała w głowie historię nastoletniej Oli i jej przyjaciół: Heleny, Tomka i Maćka. Potem zaczęła ją spisywać, wypełniając puste miejsca domysłami. Nie miała pewności, czy sprostą zadaniu. Uważała jednak, że tę historię musi opowiedzieć nie tylko Marcie i Adamowi,

sobie również. Nie знаła jej zakończenia, ono się jeszcze nie wydarzyło. Mogła się mylić w domysłach. Olka nie prowadziła dziennika, nad uporządkowanymi opisami dominowały impulsywnie notowane przemyślenia skupione głównie na odczuciach, nie na działaniu. Jednak z każdym zdaniem rozumiała dziewczynę coraz bardziej. Szła ze swoją opowieścią tuż za nią, niczym po własnych śladach. Kiedy się urwały, zdała się na wyobrażenie. Jeśli się pomyli w domysłach, będzie żałować.

Małgorzata Strękowska-Zaremba



Zrealizowano w ramach
stypendium Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Alicja Patey-Grabowska

Z rozważań o poezji

(fragment)

Poezja to świat wykreowany przez poetę, gdzie to, co niemożliwe, staje się realne, a umożliwienie niemożliwego jest w zasięgu języka poezji, języka metafor, w którym różne jakościowo desygnaty utożsamiają się, są jednoznaczne.

Ot, choćby banalna przenośnia: śnieg kredy.

Ile w tym zestawieniu semantycznym tajemnego misterium!

Kreda-minerał, jednoznaczna z zamrożoną wodą.

A jeśli dodać symbolikę kolorów i obrazy ze snu, ukazuje się nam świat jak z baśni, pejzaż naszego „ja”, wydobytego z mroku podświadomości. Wyobraźnia poety jest jak soczewka mikroskopu, jak powiększające szkło, w którym rzeczywistość zaznaczona jest jako ostrzejsza, a przyszłość nabiera cech teraźniejszości.

Poeta, widząc dalej i głębiej, często w wierszach bije na alarm. Ostrzega.

Nawet przedmioty, jak w sztuce conceptualnej, nabierają specyficznego znaczenia. Stają się postaciami dramatycznego spektaklu, jak np. w wierszach Mirona Białoszewskiego. Piec może być „szarą-nagą-jamą”, krzesło może być zamknięte, a wtedy pełni rolę nekrologu, cztery kąty krzyczą.

Ale aby być poetą, trzeba mieć nasiloną wyobraźnię, „słuch, węch i wzrok”, a więc zmysły, lecz również uczucia. Trzeba mieć serce i umieć patrzeć w serce, umieć wpatrzeć się w drugiego człowieka, znać smak radości, ale i rozpaczy, umieć wejrzeć też w siebie.

Jednak przede wszystkim zachować swoją poetycką tożsamość w konglomeracie różnorodnych trendów, kierunków, mód, nie zapominając, że siostrą bliźniaczą poezji jest muzyka, która nadaje przestrzeni słownej specyficzny rytm. Tak podana wersyfikacja łatwiej dociera do czytelnika, bo przecież poeta nie pisze sobie a muzom.

Hasło „sztuka dla sztuki” odrzuca odbiorcę, a przecież nawet zwolennicy tego stylu choćby podświadomie myślą o czytelniku, o jego reakcji, uznaniu czy odrzuceniu. W dobie performansu czy konstrukttywizmu, kiedy liczy się tylko idea i forma, często zapomina się o tym anonimowym, ale jakże ważnym odbiorcy, który nauczony w szkole o misyjnej roli poetów

romantycznych może czeka na jakieś przesłanie, może chce być uwiedziony pięknem melodii i obrazów wiersza.

A może uwiedzie go prostota w przekazie, który go poruszy i zmusi do refleksji?

Rola poety jest trudna. Ale nie zapominajmy, że wszyscy nieomal filozofowie, począwszy od starożytnych, np. Platon, Arystoteles, po współczesnych, jak M. Heidegger, W. Tatarkiewicz, L. Kołakowski, czy osiemnastowieczni F. Hegel, E. Kant, uhonorowali poezję mianem królowej literatury.

Czy ich opinia potwierdza się we współczesnych czasach?

Alicja Patey-Grabowska

Kazimierz Świągocki

O czasie

[Rzeczy] ani nie istnieją w sposób zupełny,
 ani nie można powiedzieć,
 żeby w sposób zupełny nie istniały.
 To bowiem naprawdę istnieje,
 co niezmiennie trwa
 św. Augustyn, Con. VII, 7

Nigdy chyba nie wyzbęde się uczucia zdziwienia, że to, co kiedyś przeżywaliśmy jako najbardziej realne, żywe i konkretne – dziś jest już dotykalne tylko pamięcią. Żyje jakoś w dalszym ciągu, jest w nas obecne, ale stajemy bezradni, gdy przyjdzie nam chęć określenia istoty tego życia. Życie to i nieżycie, istnieje ono i nie istnieje.

Czymże jest to, co minęło, i czym to, co powoduje mijanie? Pierwsze nazywamy przeszłością, drugie czasem. Ale tylko naiwni prostaczkowie albo zarozumiali uczeni mogą żywić przekonanie, że skoro znaleźli nazwę, to zrozumieli zjawisko i rozwiązali problem. Święty Augustyn na pytanie o czas odpowiadał: wiem, czym jest, póki o to nie pytasz, nie wiem, gdy pytasz. Ta odpowiedź może być uznana za wyraz bezradnej ludzkiej mądrości. Bo mądrość ludzka to mądrość niewiedzy, to Sokratejskie wiem, że nic nie wiem.

Może ona jednak sugerować również istnienie innej wiedzy niż ta, która da się ująć w słowa, pojęcia i definicje, wiedzy przedślowej, przedracjonalnej. Bo Augustyn najpierw mówi przecież: wiem, gdy o to nie pytasz. A zatem – wiem.

Lecz jest to taka wiedza, że nie można jej wyrazić. Wielki filozof wcale tu nie żartuje, ani nie wykręca się od odpowiedzi. Wszystko jednak wskazuje na to, że wiedza, o której mówi, że ją posiada, nie należy do porządku poznawczego filozofii i nauki. Może więc do poezji?

Ale czy poezja daje nam wiedzę? Raczej nie. Czy daje jakiegokolwiek poznanie? Z pewnością jakieś tak. Ale to nie naukowe, ani filozoficzne

poznanie obiektywne, lecz wyłącznie pewien rodzaj samopoznania oparty na wsobnej wizji, na wewnętrznym samooglądzie i samoprzeżywaniu. Poezja jest działaniem, jak na to wskazuje grecki źródłosłów jej nazwy (*poiein* – działać). Poemat, czyli rezultat owego działania, zawiera treści tego specyficznego doświadczenia egzystencjalnego, które się w nas dzieje nieustannie, gdy tylko byt swój staramy się uczynić jakoś przejrzystym, pojętym i przyswajalnym dla niego samego, tak aby niczym Bóg mógł o sobie powiedzieć: jestem tym, kim jestem. Doświadczenie to jednak uczy nas, że te boskie słowa są nam odmówione pod groźbą pogwałcenia prawdy.

Byt nasz bowiem z natury swojej jest niepełny i nienasycony. Jest nie tym, czym jest, ale tym, czym się staje. On nigdy nie jest u siebie, nigdy cały w sobie, lecz zawsze poszukujący siebie, wychylony poza swoje granice, które zresztą bardziej podobne są do zmiennych i oddalających się linii horyzontu, niż stałych brzegów morza. Ten byt nasz wiecznie poszukuje siebie samego, swojej pełni, skończonego dosytu swego istnienia, tak jak ziarno rzucone w głębę nie spocznie w swoim rozroście, póki nie stanie się spełnioną rośliną dojrzałą, entelechią. Kres wzrastania ludzkiego bytu i stan jego całkowitej dojrzałości byłby realny wówczas jedynie, gdyby mógł on o sobie powiedzieć te boskie słowa: jestem tym, kim jestem.

Może zresztą słowa z Księgi Rodzaju o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo Boga skrywają w swej tajemniczej głębi tę prawdę i zarazem metafizyczno-eschatologiczną nadzieję. Jest to nadzieja na wyjście z istnienia w czasie. Na wypłynięcie z Heraklitejskiej rzeki zmienności do Parmenidejskiego morza trwania. Wtedy nie będzie już nam potrzebna pamięć, to marne narzędzie spajania tego, co ulotne, w złudną postać rozsypującej się wiecznie całości. I nie będzie potrzebna żadna filozofia i najbardziej nawet metafizyczna poezja, bo nic już nie będzie wymagało szukania, nawoływania, ani scalania. Wszystko będzie na miejscu i scalone. Nie będzie ani nieszczęśliwej świadomości, ni szczęśliwych rzeczy, ani ich wzajemnego oddalenia i sporu. Będzie tylko tożsame z sobą ISTNIEĆ. Ono powie: jestem tym, czym jestem. Ale to wszystko nastąpi wtedy, kiedy nas nie będzie i rzeka czasu pogrąży się całkowicie w oceanie wieczności.

Tymczasem jednak mówi się, że sztuka i literatura po to są, aby utrwałać to, co przemija, aby unieśmiertelnić to, co śmiertelne, uwiecznić chwilę. Twierdzenia te, choć popularne i wchodzą do repertuaru obiegowej mądrości eseistów i różnych myślicieli, głoszą treści wewnętrznie sprzeczne. Bo jakżeż można uczynić trwałym to, co z istoty swej jest nietrwałe? Trzeba

by zmienić jego istotę, naturę. A to by znaczyło jednak, że artysta jest nie tylko twórcą, lecz i stwórcą, więc Bogiem. Lecz to już czyste szaleństwo.

Któż z nas może zmienić naturę czasu, skoro go nawet zrozumieć nie jesteśmy w stanie? Czas bowiem jest doskonale irracjonalny. I jest też doskonale ironiczny. Daje nam jedną ręką to, co zabiera drugą. Daje bogactwa świata i życia, mówi do nas: patrzcie, to wszystko co widzicie, istnieje naprawdę. Istniejecie wy sami. Wasze dążenia i wszelkie nadzieje nie są fikcją, lecz żyzną treścią waszego życia. Mówi dalej: głęboki sens ma wasza praca, owoce jej wysiłków nie ulegną roztrwonieniu. Pracujcie więc, dążcie do celu, bierzcie świat w swoje posiadanie. I mówiąc to, czas, aby nie być gołosłownym, odsłania przed nami coraz to nowe obszary rzeczywistości, nowe ziemie, nowych ludzi, przyjaciół, wrogów, nowe przeżycia, radości i smutki, które bez jego udziału byłyby dla nas na zawsze zakryte. I tak jak wiatr przypędza do brzegu morza lub wielkiego jeziora coraz to nowe fale z drugiego krańca horyzontu, którego linia, ginąc we mgle, nasuwa nam myśl o nieskończoności, myśl o tym, co pewien grecki filozof nazwał pięknie i tajemniczo dziś dla nas brzmiącym słowem *apeiron*, tak czas napędza nam przed oczy i uszy coraz to nowe fale wrażeń i wydaje się, jak ów boski *apeiron*, niewyczerpanym dawcą tego, co istnieje.

Ale jego wspaniałomyślność ma nazbyt wiele z istoty pozorów, aby można cieszyć się jej blaskiem naprawdę. Oto bowiem czas nie daje nam niczego za darmo. Otrzymujesz nowe, ale tylko pod warunkiem że oddajesz stare. Jeśli oglądasz piękne drzewo z jednej strony, a chciałbyś je obejrzeć z innej, musisz porzucić poprzedni punkt widzenia. Nie możesz bowiem widzieć drzewa ze wszystkich stron jednocześnie. Tak jak nie możesz żyć jednocześnie we wszystkich porach dnia i roku i we wszystkich fazach swojego życia. Wszelkie przemieszczanie się jest zawsze utratą tego, co się aktualnie posiada i zdobywaniem nowego. I tak tylko istniejemy w przemijaniu, czyli w czasie. Tyle od czasu otrzymujesz, ile mu oddajesz. Bilans zatem wydaje się tu być doskonale zerowy. Ukoronowaniem tej metafizycznej buchalterii jest ostateczne rozliczenie z życia: Otrzymałeś je za darmo, boś przecież wyłonił się z nicości do bytu, z nieżycia do życia, a więc jak gdyby dostałeś coś za nic. Ale tak jest tylko na początku. Na końcu zaś odwrotnie: umierając, oddajesz życie i przyjmujesz nieżycie, zabrano ci byt, dano niebyt, a więc oddałeś coś za nic, jakkolwiek by to *nic* rozumieć.

I tak ostatecznie czas wymierza doskonałą sprawiedliwość, dając nam tyleż życia, co śmierci, tyle bytu, co niebytu. Misterium życia i śmierci

widziane w kategoriach czasu znajduje swoje rozwiązanie w stanie metafizycznego zera bezwzględnego. Musi zatem ostatecznie być tak, że jeżeli życie, istnienie jest prawdą, to czas jest pozorem, a jeśli czas jest prawdą, to życie pozorem. Taka wydaje się stąd wynikać logika. Jednakże logika ta nie daje nam żadnego pocieszenia, gdyż sama nie wskazuje wyjścia z zamkniętego kręgu wzajemnie znoszących się członów tego wniosku-twierdzenia. Stoimy przed paradoksem, jeśli nie przed absurdem. Ani bowiem nie jesteśmy w stanie umysłem swoim pojąć tego, iż czas jest nie-realny, ani tego, że życie nie jest prawdą. Wszak istniejemy jednak jakoś i naprawdę doznajemy czasu i nawet poznajemy go, skoro jesteśmy w stanie pomyśleć o bezczasie, czyli o czymś, co jest czasowi przeciwne.

Tak więc wracamy do sytuacji wyjściowej, czyli do kłopotu świętego Augustyna. Spróbujmy jednak jakoś sobie odpowiedzieć: Czas, tak jak życie, jest niepoznawalny w swojej istocie. Wiemy, że jest, poznajemy jego przejawy i skutki, ale on sam w pełni swego majestatu, w swej najgłębszej istocie, tak jak życie jest tajemnicą. Znamy go jako przyczynę różnych następstw, ale nie znamy przyczyny jego samego. Słyszymy głos, lecz nie widzimy wołającego. A zatem rozważania prowadzone w duchu logiki empirycznej, nie dając ukojenia naszemu myśleniu, zdają się odsyłać je i skłaniać do przyjęcia jakiegoś irracjonalnego wymiaru, czy wręcz podłoża rzeczywistości. Wydaje się, że to, co racjonalne, jest tylko powierzchnią, głębia zaś jest irracjonalnej natury. I właśnie w tej tajemniczej głębi, w przestrzeniach irracjonalnego znajduje się klucz do ostatecznego wytłumaczenia wszystkiego. Ostateczna racja czasu i naszego istnienia w czasie, jak również racja wszystkiego, co racjonalne. Bo to, co racjonalne, ma swe korzenie w tym, co irracjonalne.

A z tym, co irracjonalne, najbardziej spokrewniona jest poezja. I ona to, być może, jest jedynym naszym głosem, na który odpowiada ze swojej niepojętej głębi Byt. Bo on ma naturę poetycką – zaczyna się słowem, a kończy milczeniem i tak jak wielka poezja, mieszka w nieogarnionej ciszy, która jest nim samym, i która jest także odpowiedzią na nasze pytanie: Czym w istocie jest czas, i czym jest to, co się w nim rodzi i w nim umiera?

Kazimierz Świątkowski

Anna Bańkowska

O duńskiej poezji w przekładach Bogusławy Sochańskiej

Bogusława Sochańska, wybitna tłumaczka literatury, znana przede wszystkim z przekładu wszystkich baśni Andersena, podarowała polskiemu czytelnikowi w ciągu ostatniej dekady także trzy tomy wierszy duńskich poetów, obsypanych licznymi nagrodami zarówno we własnym, jak i w naszym kraju.

Najwcześniej, bo w 2011 r., ukazał się zbiór wierszy wybranych Janiny Katz (1939-2013), urodzonej w Krakowie pisarki polskiej i duńskiej. Na pięknie wydaną przez Bibliotekę Śląską książkę *Powrót do jabłek* składa się wybór z jedenastu tomików, w którym znajdziemy wątki z całej twórczości poetyckiej autorki, uhonorowanej w r. 1996 nagrodą Duńskiej Akademii Literatury za całokształt pracy literackiej.

Janina Katz opuściła Polskę w r. 1969, ale nie zerwała więzów ani z krajem urodzenia, ani z językiem ojczystym, czemu daje wyraz w swoich wierszach. Odniosłam wrażenie, że cały ten tom jest właściwie życiorysem przełożonym na język poezji. Ten język to narzędzie, z którym poetka cały czas się mocuje, jakby miała do siebie pretensję, że pisze po duńsku (pod koniec życia zaczęła jednak znów pisać po polsku), tłumaczy się z tego, ciągle rozdarta między dwiema, tak samo sobie bliskimi, kulturami, pisze np. o przedzieraniu się przez „barbarzyńskie głoski”.

Jestem złodziejem.

Ale kogo okradam?

To nie mój język.

To nie mój kraj.

(...)

Odwiedzam miasteczko,

w którym się nie urodziłam.

Mówię moim własnym językiem.

Rany otwierają się i zamykają.

(Jestem złodziejem)

Jest w tych wierszach smutek istnienia, ogrom nieszczęść, jakie dotknęły osobę pochodzenia żydowskiego z racji czasu, w którym przyszło jej żyć, ale nie brak też zachwyty światem, radości z rzeczy drobnych, a nawet humoru. Bo jak się nie uśmiechnąć, czytając o tym, jak odwiedziła ją „moja istota”, która najpierw opluła ją owsianką, a potem:

(...)

I poszła.

Mały, nadęty

struś

w butach na wysokich

hałaśliwych obcasach.

(...)

(*Poranne odwiedziny*)

Kiedy biorę do ręki dwujęzyczny tom wierszy **Yahyi Hassana** (1995–2020), już czarno-biała okładka przenosi mnie z nostalgicznej poezji Janiny Katz do zupełnie innego rejestru. Młody, zaledwie osiemnastoletni debiutant, syn emigrantów z Palestyny, szturmem zdobył sobie miejsce nie tylko w historii duńskiej literatury, ale też na tamtejszym rynku książki. Zbiór zatytułowany po prostu *Wiersze*, sprzedany błyskawicznie w stu tysiącach egzemplarzy, przełożony na dziesięć języków, został doceniony także w Polsce, gdzie w przekładzie Bogusławy Sochańskiej ukazał się w wydawnictwie słowo/obraz/terytoria w r. 2015 i otrzymał nominację do nagrody Europejski Poeta Wolności.

Wiersze te – pisane wersalikami, co w języku Internetu odbierane jest jako krzyk – tak bardzo porażają swoją siłą, agresją, brutalnością, że mnie osobiście kojarzą się z takimi tytułami jak *Wściekłość i wrzask* (Faulknera) czy *J'accuse* (Zoli).

Młody poeta wykrzyczał w nich całą swoją złość, cały sprzeciw wobec świata, duńskiego społeczeństwa, pokolenia swoich rodziców, wreszcie środowiska muzułmańskiego. Takie tytuły jak *Zemsta*, *Rozkaz aresztowania*, *Włamanie*, *Złość* nie zachęcają wrażliwego czytelnika do lektury, one chcą mu dokopać.

Hassan, podobnie jak Janina Katz, doświadczył międzykulturowego rozdarcia, ale nigdy się z nim nie pogodził. Książka wywołała burzliwą

debatę na temat roli utworu literackiego w życiu społecznym, a chropawe, często kolokwialne słownictwo (doskonale oddane przez tłumaczkę) przyczyniło się z pewnością do wzbogacenia języka duńskiego.

Inger Christensen (1935-2009), jedna z najwybitniejszych przedstawicielek duńskiej literatury, postanowiła do środków swojej ekspresji włączyć matematykę, którą zawsze się interesowała. 14-częściowy poemat *alfabet* oparty jest na dwóch systemach. Pierwszy to ciąg Fibonacciego, złożony z szeregu liczb, z których każda kolejna jest sumą dwóch poprzednich. Wyznacza on liczbę wersów poszczególnych części. Drugim, równolegle zastosowanym systemem jest ciąg liter alfabetu, kończący się na literze *n*. Ci, którzy w dzieciństwie oglądali *Ulicę Sezamkową*, pamiętają, że każdy odcinek serialu „sponsorowała” jakaś litera. Tu jest tak samo: w każdej kolejnej części dominują wyrazy zaczynające się na daną literę:

*że nazwy istnieją, nazwy takie jak narwał
naparstnica, narcyz, nocna sowa
nazwy takie jak nocny kruk, nawałnik i nów*

Zgodnie ze wspomnianym ciągiem Fibonacciego, każda część jest dłuższa od poprzedniej – począwszy od jednowersowej pierwszej, skończywszy na wielostronicowej czternastej. Czemu to wszystko służy? Ja odczytuję *alfabet* jako opisanie świata. Zaczyna się od niewinnych antonówek, borówek, drozdów, a gdy czytelnik ulegnie już nastrojowi, uwierzy, że one „istnieją” (to kluczowe słowo niczym mantra przewija się przez cały poemat), pojawiają się pierwsze pomruki grozy: brom, wodór, bomba atomowa.

Wreszcie w ostatniej, najważniejszej części rozlewa się całe bogactwo zarówno treści, jak formy. Cóż za ogromne wyzwanie dla tłumacza, który musi uwzględnić te wszystkie formalne ograniczenia! Bogusława Sochańska w posłowie uchyla zaledwie rąbka problemów, z którymi musiała się zmagać:

Otóż gdyby polski odpowiednik duńskiego rzeczownika „navn”, „nazwa”, nie zaczynał się na literę n, konstrukcja i wymowa wiersza straciłaby swą wyrazistość i siłę, a gdyby nie istniała w polszczyźnie „antonówka”, odmiana

drzewa owocowego, okrywającego się wiosną białym kwieciem (warunek konieczny w kontekście wiersza), nie byłoby polskiego przekładu alfabetu!

Znając kunszt translatorski Bogusławy Sochańskiej (która za ten przekład otrzymała w r. 2019 Nagrodę Literacką Gdynia) nie bardzo w to wierzę. Niemniej jednak to dobrze, że *antonówki istnieją, antonówki istnieją*.

Anna Bańkowska

-
1. Janina Katz *Powrót do jabłek*, tłum. Bogusława Sochańska, Biblioteka śląska, Katowice 2011
 2. Yahya Hassan *Wiersze*, tłum. Bogusława Sochańska, *słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2015
 3. Inger Christensen *alfabet*, tłum. Bogusława Sochańska, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2018

Przekłady wierszy z tych tomów, noty o autorach i okładki omawianych tu książek „Podgląd” przedstawił w poprzednim numerze, tj. 4 (23) 2020, na str. 208-220.

Kinga Młynarska

I jakby mimochodem – Dorota Koman

Po pięciu latach od *Maszyny do czytania* wreszcie jest nowy tom wierszy Doroty Koman.

I jakby mimochodem poprzez poetyckie miniatury opowiada o świecie intymnym kobiety, która z całą pewnością ma dużo wspólnego z samą autorką (może nawet większość, jednak na co komu taka analiza), ale przede wszystkim – ma sporo wspólnego z nami wszystkimi. Możliwe, że to kobietom będzie łatwiej odnaleźć się w tej poezji codzienności, wszak wiele z nas doświadczyło/doświadcza lub doświadczy podobnych rozterek czy pragnień, choć raczej tylko w poszczególnych wierszach. Jako całość bowiem ta książka jest niezwykle uniwersalna.

Koman tka swoją poezję z momentów – budulcem jest a to konkretna chwila, a to jakaś myśl, pojedyncze uczucie, nagła refleksja, przebłysk pamięci, stale noszone w sercu wspomnienie, skojarzenie itp. Przede wszystkim jednak to powracająca refleksja o kruchości istnienia oraz ulotności czasu.

Kobieta z *I jakby mimochodem* weszła na wyższy stopień wtajemniczenia. Ona już wiele wie, rozumie i akceptuje. Jest na tyle dojrzała i doświadczona, że bezbłędnie potrafi zdiagnozować swoje (przeszłe i teraźniejsze) stany. Wie między innymi, że trwamy na świecie zaledwie chwilę, a mimo to nie skupiamy się wcale na jakości tego życia. W otwierającym tom *Memento mori* czytamy:

*Wychowałam się przy cmentarzu
Pamiętam, że umrę
Nie pamiętam, że żyję.*

I jakby mimochodem ucieka nam to życie. Szczególnie ważny w najnowszym tomie Koman jest przecież czas. Czas, którego nie ma. Nie ma czasu na życie, bo praca, bo dzieci, bo dom, bo... Próbuje odnaleźć go na starych fotografiach, w pamiątkach, we wspomnieniach – jednak czy na pewno chodzi nam o czas, czy może o siebie sprzed jakiegoś czasu? I wreszcie czas, jaki nam pozostał – oczywiście nikt nie wie, ile go ma, ale i tak jesteśmy przekonani, że za mało. Uderzająca jest w tym zbiorze szczególnie

(przynajmniej w moim odczuciu) myśl o tym, jak wiele czas nam odbiera, a my nawet nie jesteśmy świadomi tej straty. Poezja Doroty Koman pomaga nieco te myśli o czasie, a więc i nieuniknionym znikaniu (także własnym), oswoić.

Najdotkliwiej ten upływ czasu dotyka ciała (nie tylko w sensie urody), które bez litości, na każdym kroku, przypomina nam o przemijalności życia.

*gdy dużo trudniej kochać
stare, brzydkie ciało*

*przypomina mnie
młodą*

(Erotyk późnojesienny)

Podmiot liryczny stale powraca myślami do czasów młodości. Ta wędrówka w głąb pamięci łączy się z powracającym monologiem do kogoś z przeszłości. Podmiot wielokrotnie mówi do kogoś lub o kimś jej bliskim. Jednak częściej są to fantazje czy rozważanie (niewykorzystanych) możliwości niż wspomnienia. To złożone dawno temu obietnice, to przebliski krótkich chwil razem, a najczęściej – tęsknota za tym, co się między nimi wydarzyło, oraz za tym, co się nie stało.

*Gdy zgasło słońce
przekonałam się
że biegłam
tylko obok
cienia
Mistrza*

(Żółte kwiaty / na Patriarsznych Prudach)

Jest w tych wyznaniach wiele niezaspokojonych pragnień, jest humor, gdzieś tam nawet subtelna kpina, autoironia. Zdarza się i tak, że to, co pierwotnie było źródłem miłosnych udręk, przeradza się w kąśliwy komentarz o niespełnieniu i/lub rozstaniu. Jedynie podmiot-matka jest w pełni dumna z tej sfery swojego życia.

w jednoznacznej opowieści

*o moim życiu
składasz się tylko ty
synku*

(Patrząc wstecz)

Podmiot prezentuje nam bowiem wiele twarzy. Poza matką (syna), partnerką/kochanką, poetką jest przecież i mała dziewczynka, jest dojrzała kobieta, która musiała sobie poradzić ze stratą, bólem, wieczną tęsknotą. Pokazuje nam się właściwie we wszystkich odsłonach. Mówi o rzeczach ważnych i tych o mniejszym znaczeniu (w sensie ogólnym, bo jednak istotnych w konkretnej chwili, która przyczyniła się do utrwalenia tego w wierszu). Możemy więc naprawdę na różnych poziomach dzielić doświadczenie „ja” lirycznego.

Najbardziej aktualne jest doświadczenie pandemiczne. W *I jakby mimochodem* Koman komentuje nie tylko aktualną sytuację – izolację, dystans, wszechobecną pustkę itp. – ale traktuje te zagadnienia bardziej ogólnie. Poza koronawirusem widzi wielkie zagrożenie m.in. w hejcie (*Pandemia*). To plaga, rozprzestrzeniająca się od lat. Jej siła ciągle wzrasta i pochłania coraz więcej cichych ofiar, których nie umieszcza się w szumnych statystykach. Z lekką kpina i goryczą opowiada o „drugim (*upozowanym*) życiu”, jakie prowadzimy na Facebooku:

*(...) Tutaj się nie cierpi
i nie umiera samotnie na raka
w czasie pandemii (...)*

*Wysuszone garści słów sypią się
na wirtualne strony
Księgi bez twarzy*

(Śmierć na Facebooku)

Kilka słów zaledwie, by oddać złożoność naszego życia, szczególnie współczesnego. I taki właśnie jest ten tom – dotyczący spraw bardzo bliskich, intymnych. Tych, którymi żyjemy na co dzień, ale i takich, o których myślimy najrzadziej. Podmiot Koman ufa nam, zawiera swoje (mniejsze lub większe) tajemnice, ale w jej wyznaniach kryje się też pewnego rodzaju pułapka – to potrzeba ustosunkowania się do tych słów. Nie sposób przeczytać wiersz, docenić trafność oraz lapidarność, a potem przejść dalej.

Bo zawsze pojawiają się myśli: też tak to widzę, ja też to czuję, rozumiem to. Choć nie zawsze nasze doświadczenia pokrywają się z tym, co przeżyła (i przeżywa) mówiąca tu do nas kobieta, jesteśmy w stanie współodczuwać, chłoniemy jej emocje jak własne. Na czym polega ta magia?

Dorota Koman jest mistrzynią krótkiej formy. Píše od dawna (to jej dziesiąty tomik), pracuje z literaturą, kocha książki, toteż w swoim naturalnym środowisku jest bezkonkurencyjna. Mało kto, tak jak ona, zna wagę słowa. Stąd też zaledwie kilka wyrazów, odpowiednio dobranych i zestawionych, wystarcza, by stworzyć często wielowymiarową opowieść o życiu.

I jakby mimochodem jest pewnego rodzaju rozrachunkiem z życiem. Podmiot wyrzuca sobie, że poświęciła się w pełni pracy i różnym uczuciom, które niewiele dały jej w zamian, bo – jak wyznaje – była/jest „nie bardzo szczęśliwa”. Spełniona czuje się tylko w macierzyństwie. Coraz częściej pojawiają się u niej refleksje o śmierci. A przecież to właśnie one prowokują do takich wielkich podsumowań. Podmiot Koman mówi wprost, że całe życie uciekała – „w obcych mężczyzn i cudze litery”. Nie w tonie skarg, a raczej rozczarowań wypowiada się podmiot zbioru. Być może jeszcze nie jest za późno, by zacząć żyć – bez ciężaru, który zostanie... między stronami.

Dziś tak chętnie korzystamy z wszelkich poradników, coachingów itp., a wystarczy sięgnąć po tomik mądrych wierszy wrażliwego człowieka, by zrozumieć świat, drugiego człowieka i siebie samego. By zatrzymać się i zastanowić nad sensem naszego tu i teraz, nad relacjami, jakie tworzymy (lub nie), nad tym, kim tak naprawdę jesteśmy, a kim chcielibyśmy być. Poezja tyle objaśnia, jest fascynującym medium do poznania nas samych i odkrywania w sobie tego, co uśpione.

I jakby mimochodem polecam jako lekturę obowiązkową.

Kinga Młynarska

Tom Doroty Koman pt. *I Jakby mimochodem* został wydany przez Oddział Warszawski SPP i Instytut Literatury RP w serii Kolekcja Literacka w Warszawie, 2020, i został przedstawiony m.in. w poprzednim Numerze „Podglądu”, tj. 4 (23) 2020, na str. 290-295.

Piotr Müldner-Nieckowski

Andrzej Dąbrówka: szaleństwo rozbierania świata¹

Jedna z kilku teorii poetyki (nie jest to tylko moja w to wiara) zakłada, że poezja jest tożsama z liryką, ze śpiewem przy lirze autora, który tym sposobem wyraża samego siebie. Według niej poezją nie jest więc ani epika, ani dramat, choćby nawet miały one cechy najbardziej wierszowe – rytm, rym, głębokie zmetaforyzowanie języka – ani także utwór, którego podmiotem nie jest sam autor.

Nie można też zapomnieć o przypadkach prawdziwej poezji, w których podmiotem pozostaje autor, lecz ukryty jako narrator na zasadzie *porte-parole*. Może się chować za jakąś maską, z której obecności czasem sam sobie nie zdaje sprawy. Zgodnie z naszą definicją poezja jako liryka jest ponadto taką samą częścią autora jak jego własne oko, ręka, noga, myśl, cierpienie, miłość. To najbardziej intymny typ twórczości, który stanowi wzór dla oglądu wszelkich innych typów, nawet gatunkowo od poezji bardzo odległych. Nie bez przyczyny postrzegamy poezję w muzyce, rzeźbie czy obrazie, nieraz także po prostu w sposobie bycia i życia. Ba, powiada się, że można być poetą i poezjować poza językiem albo pozostawać w pełni poetą, nie napisawszy ani jednej linijki wiersza.



¹ Andrzej Dąbrówka, *I-karkołomnie*, Wydawnictwo AULA, Podkowa Leśna 2009, stron 50, ISBN 978-83-85275-94-7.

Pierwodruk niniejszego tekstu nastąpił w „Podkowieńskim Magazynie Kulturalnym”, 2009 nr 61-62, przy czym w obecnej edycji przywrócono pewne istotne szczegóły zawarte w maszynopisie oryginału.

Edward Stachura, pisząc swój zbiór poetyckich próz-felietonów „Wszystko jest poezja” (przypominam: „poezja”, nie: „poezją”), opierał się na przeświadczeniu, że rzeczy (świat i duch) z założenia nie mają natury poetyckiej, ale mogą poezję w poecie ewokować. Aby tak się stało, trzeba poetą być, trzeba mieć naturę refleksyjną, a rzeczy (świat martwy i żywy oraz duchowy) filtrować przez siebie – przez własny rozum, swoje uczucia i emocje.

W tym sensie poetów jest niewiele, bo mało kto potrafi być sobą. Najmniej poetami są naśladownicy (nie naśladowcy, ale właśnie *-nicy*), którzy nie tyle naśladowują innych (dobrze ukryta kradzież jest jeszcze dopuszczalna, lecz kopiowanie tekstów już nie), ile żywcem wręcz powielają, tropią ich odkrycia czy wynalazki i brutalnie czynią swoimi, dodatkowo starając się ich twórców zakopać, zamazać, a najlepiej nadpisać sobą, swoją „niezwykle ważną osobą”. Ich utwory bywają co prawda łatwe do zaakceptowania i nawet cieszą się popularnością, bo są „wzorcowe”, ale pozostają poza zaklętym kręgiem sztuki jako (dla znawców i czytelników czytanych) wtórne.

O takich autorach mówimy „zręczni rzemieślnicy słowa”. Kiedy się czyta ich utwory, czuje się, że skądś już je znamy. Są one raczej wyrazem wysokiej kultury pisania, metodą na zaistnienie w świadomości ogółu, ale nie poezją. Produkt oszukańczy, choć ogół to na skutek nieświadomości rzeczy lubi, natomiast wobec dzieł artystów zawsze o małą epokę spóźniony. Producent takich tekstów musi się najpierw uczyć nowego, żeby to nowe zacząć przyswajać, a potem wydała z siebie tego klony.

Publiczność woli więc to, do czego już się przyzwyczaiła, niż nowości najnowsze, autentyczne, co powoduje, że prawdziwi odkrywcy, wynalazcy, poetyccy twórcy oryginalni są spychani do obszaru powszechnej niewiedzy. Nie dziwią reakcje szerokiej publiczności na wiersze bez dostrzegalnego rymu, bez odczuwanego przez nich (nawet jeśli jest) rytmu, wymagające od odbiorcy duszy muzycznej, skomplikowane wewnętrznie, o trudnych metaforach. Publiczność mówi, że to nie wiersze, ale jakaś „skrócona proza”. Ludzie zwykle nie są przygotowani do odbioru, za mało czytają, sami sobie nie dają szansy na odnalezienie tego, co w prawdziwej poezji liryczne – autorskie, oryginalne, jedyne w świecie.

Szkoda, bo ten rozdźwięk między osobnością poezjowania a oczekiwaniami czytelników bywa przyczyną pomijania naprawdę wielkich talentów poetyckich. Poeci prawdziwi, zwłaszcza dzisiaj, pozostają na marginesie, są niedoceniani, nie przechodzą do świadomości zbiorowej, nie istnieją tak jak reżyserzy zręcznych filmów rozrywkowych, politycy czy – szczególnie – prezenterzy telewizyjni i oszołomieni obecnością publiczną celebryci.

Do prawdziwych poetów, i to outsiderów należy **Andrzej Dąbrowka**. Pisze wiersze w sensie dosłownym rzadko, ale – chodząc z metaforą pod pachę, jak z panią matką lub żoną – zawsze, choć skrycie. Więcej możemy powiedzieć o jego głośnych dokonaniach z zakresu translatoryki (świetne przekłady z języka niderlandzkiego) i literaturoznawstwa (*Słownik pisarzy niderlandzkiego obszaru kulturowego* 1999), mediewistyki (*Teatr i sacrum w średniowieczu* 2001, *Średniowiecze. Korzenie* 2005) czy leksykografii (pomysłodawca i współautor *Słownika synonimów* 1993, *Słownika antonimów* 1995, współautor *Słownika stylistycznego języka polskiego* 2007).

A przecież najważniejszy był jego debiut poetycki – w miesięczniku „Twórczość” w 1976 r. Był to start skromny, ale w środowisku literackim mówiło się o nim. Promotor tego zdarzenia, redaktor działu poezji znanego miesięcznika, sławista, tłumacz, satyryk Ziemowit Feddecki (1923-2009), mawiał, że „Dąbrowka ma zwyczaj wyciskać trwałe ślady swojej obecności, sam pozostając w ukryciu na czatach”. Coś w tym jest.

Dąbrowka jako poeta – piszący wiersze – milczał wobec publiczności przez następnych 28 lat. Dopiero w roku 2004 zdecydował się wydać tomik *Coś o niczym*, a w 2009 *I-karkołomnie*. Są to książki stanowiące w zasadzie pewną całość, uzupełniając się wzajemnie, choć wydaje się, że chronologia wydań jest myląca.

To *I-karkołomnie* powinna była się ukazać pierwsza, a *Coś o niczym* jako jej dopełnienie czy nawet rozwinięcie. Być może autor ma coś jeszcze w zanadrzu i zamierza nas jeszcze zaskoczyć, ale ostatecznie kolejność pisania wierszy dla oglądu tej twórczości nie ma większego znaczenia, liczy się konsekwencja metody poetyckiej i jej samobogacenie się.

Poeta zadaje pytania najprostsze z możliwych. Pytania, na które wszyscy znamy odpowiedź, a na które – o, paradoksie – nikt z nas zupełnie nie potrafi odpowiedzieć. Nikt z nas z wyjątkiem poety. Jest to rozbieranie świata na takiej zasadzie, na której w matematyce różniczkowanie rozbiera obiekty pozornie niedające się obliczyć. Potem można układać całki. Najpierw pada kwestia: co jest u źródła? Niczym nieznośny uczeń, który nagle podnosi rękę i woła: „A dlaczego nie wolno dzielić przez zero?”. Nauczyciel jest skonfundowany, bo już zapomniał dlaczego, a uczeń zaburza tok lekcji i swoim zachowaniem obniża autorytet szkolnej władzy.

Jak ów profesor czujemy się nieswojo, kiedy czytamy: „Czy ktoś na zimę czeka?” (wiersz *Coś o niczym*, *Śnieg*). Banał jakich mało. Odpowiadamy sobie: tak, wszyscy czekają, niektórzy nie czekają, a w ogóle – cóż to za sytuacja do roztrząsania? Jednak wizja poetycka, a pewnie i codzienne myślenie

Dąbrówki, otwiera przed nami perspektywę, którą autor scałkował, przejrzawszy na wylot tajemnicę. Tak, na zimę czekają, aby ją rozegrać w ten oto sposób:

*Tak
zlatują się i tu zimują
grajkowie z bardziej zimnych krajów
żeby w szpalerach bieli ciepło witać
stoików w przewiewnych kapeluszach
gry się powytaczają z bladej ziemi
na kształt piętrowych grzybów*

*Lecz tamtych gniew nie wzrusza. Każdy się ma
za Alfę i Omegę (...)*

(Coś o niczym, Śnieg)

Czekanie na zimę nie jest tak proste jak to, co się znajduje w literze pytania. Odpowiedź składa się z następnych pytań, które wywołują kolejne. Ale tylko w ten sposób – zdaje się sugerować poeta – możemy zrozumieć, że na końcu jest jeszcze jedno pytanie. To jest właśnie owo „coś o niczym”. „Coś” to odpowiedź. „Nic” jest tym, co zlekceważyliśmy jak ów nauczyciel zagadnięty o dzielenie przez zero.

Rozbiór świata na czynniki elementarne i z nich budowanie obrazu rzeczywistości jest podstawową metodą poetycką Dąbrówki. Czynniki te mają cechy, których nie dostrzegamy z powodu kontekstu, w których normalnie występują. Wyosobnione, niejako ogołocone z otoczenia, urastają do rangi problemów. Dopiero po dokonaniu takich zabiegów, jakże z pozoru prostych, można – uważa poeta – próbować rozumieć zjawiska i pojęcia, tak w naszej świadomości utarte i zbanalizowane. Nawet kiedy autor sięga po postmodernistyczną intertekstualność, na nowo stawia pytania świeże, dziecięce, już nie tak ponowoczesne, już oryginalne i twórcze. Ironicznie, więc z dystansem, przywołuje na przykład „niebo gwiazdziste” Kanta albo motywy Herbertowskie. Czytamy:

*Pan Cogito nic nie mówił o tatusiu,
choć zapewne o nim myślał
zgodnie ze swą naturą refleksyjną (...)*

(I-Karkołomnie, Pani Cogitowa wspomina swego teścia)

by zaraz w tym samym wierszu wręcz zakpić z uczonej pseudomądrości:

Ta meta, ta fizyka

i przejść z Herbertowskiej na swoją, całkowicie własną stronę:

*Trzeba się cofnąć tak daleko
aż się pokaże goła blacha nieba
jeszcze bez gwiazd.*

Trzeba spojrzeć wstecz:

*gdzieś postać
postać
postać i poczekać*

aby wreszcie dowiedzieć się tego, co jest u zarania, u podstaw, na samym początku wiedzy, na samym początku Kosmosu.

Szczególną rolę pełni w tej poezji woda. Jest nośnikiem pojęć, ale i niesie łódzie, w których się przemieszczamy po świecie, nie wiedząc, ani co znajduje się na dnie (też woda), ani w chmurze (i tu również woda). Sądzimy po prostu, że nic nie jest tak proste i łatwe jak woda. Woda to woda, i to by mogło wystarczyć. Obmywa nas i oblepia, nie odstępować nas nigdy, a jednak choćby jako *deszcz* jest równie godna przemyślenia jak wszystko inne, co o nas (lub za nas) decyduje. Oto on, *deszcz* we własnej osobie:

*Ogólnie rzecz biorąc – jest niedoceniany
pomimo całej gamy swych umiejętności*

*A wiele rzeczy umie robić
z beztroską dla nas wręcz nieosiągalną
Obrus ułoży tak na stole żeby się nie marszczył
i żeby wiatr go nie zdmuchiwał a nawet nie zawijał (...)
(I-karkołomnie, Deszcz)*

Płynąc lub „kropląc się” z wodą, przenikamy struktury, które wydawały się nieprzeniknione a zarazem oczywiste:

*Jak nieproszony gość zakrada się
do zakazanych komnat
wślizguje, wnika, wskroś przesiąka
Ale czy ktoś lepiej od niego sprawdzi i wypróbuje
dach, okna, parasole?*

(tamże, *Deszcz*).

Są i inne wątki, z których Dąbrówka wiąże swoje heurystyczne sieci (świat to struktura sieciowa, jak twierdził Claude Lévi-Strauss): lot i wszystko co się z nim wiąże – ptactwo, skrzydła, tytułowy Ikar, symbole wolności i na przekór także niewoli; również rodzina i dom rodzinny jako wyznaczniki ludzkości (wstrząsający wiersz *Przyjadą albo nie przyjadą*); i wiatr, nie jako antynomia wody i ziemi, ale jako jeszcze jeden niezależny i niepojęty nośnik tego wszystkiego, co się „karkołomnie” składa w zdumiewające całości.

Nieprzypadkowo do tytułu tomiku wkradła się literka „i” i ustawiła na początku. Chodzi o Ikara, który leciał ku słońcu na własną zgubę. Roztrząsanie świata to szaleństwo.

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Tajemnia

Refleksje o książce Janusza Andrzejczaka
Tajemnia z Kolekcji Literackiej OW SPP, 2020 r.

Nie każdy potrafi wsłuchiwać się w szept wiatru, podziwiać rzeźbę kory drzew, zachwycać się krzykiem żurawi, dostrzegać mrówkę niosącą żdźbło trawy, kochać las.

A jeśli podziwia, to nie potrafi opisać tego, co widzi.

Janusz Andrzejczak potrafi. Jak wirtuoz gra słowem, wydobywa zapachy, maluje.

Pod jego piórem powstają niezapomniane obrazy otaczającej nas przyrody, pięknej, tętniącej życiem, tajemniczej, ale zlokalizowanej. To w Polsce są takie lasy, brzozy, dęby.

*(...) Za to że jesteś w moich lasach
 na łąkach na polanach
 (...) I za o wiele wiele więcej
 Cię Polsko kocham*

(Kocham cię)

Panteistyczny, dziecięcy w swej świeżości zachwyt przyrodą jest również hymnem człowieka do tego, który to piękno stworzył, hymnem człowieka spleczonego z naturą i tak jak natura podlegającego prawu przemijania.

*(...) Obu końców drogi
 zamknęły się wrota
 w pajęczynie nieba
 czyjś los się zamotał*

(W pajęczynie nieba)

Wiersze Janusza Andrzejczaka zmuszają do zadumy, szerszego spojrzenia na otaczające nas piękno, wzruszają, kołyszają melodyjnością wersów. Budzą odzew.

Alicja Patey-Grabowska

O dwóch zbiorach wierszy Krzysztofa Saturnina Schreyera¹

Te dwie książki są odmienne w treści. Zbiór *W kielichu jego dłoni* to piękne wiersze o delikatnych odcieniach miłości. *Przed lustrem* – satyry, bajki, krotochwile przekazują psychologiczną wiedzę o człowieku, o jego zmysłowości, duchowości i przywarach odbijających się jak twarz w lustrze.

Wiersze w *Kielichu jego dłoni* utrzymane są w konwencji klasycznej, pełnej muzyki i synkopowego rytmu, który podkreślają rymy i asonanse. Ukazują całą różnorodność miłości, od subtelnej, delikatnej aż po fizyczną, męską, której spełnienie jest nieomal kosmiczną jednością.

(...) Niebo się z ziemią w objęciach zмага
i czułość naga i pasja naga
Jak grom symfonii poza słowami
I tak się stało, stało się z nami

(Jedno)

W tomiku tym znajdują się utwory o bardzo oryginalnej narracji; kosmiczne odniesienia spletały się z odniesieniami do przyrody.

(...) Zrośnięci jak pień brzozy zrośnięty z liściem złotym (...)
(*W kielichu jego dłoni*)

(...) Wiatr mgły tęczowe rozwiewa
owoc zbyt szybko dojrzewa
i nie ma recepty na to
jak związać miłość skrzydlatą (...)

(Tarcza)

¹ Krzysztof Saturnin Schreyer, *W kielichu jego dłoni*, oraz tegoż *Przed lustrem*, obydwa tomy wydane przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 2020 r.

Na uwagę zasługuje pełen wewnętrznej mocy i dynamiki wiersz *Energia Ki*, w którym autor odwołuje się do medycyny chińskiej, w sposób oryginalny ukazując narastające napięcie w czasie miłosnego zbliżenia:

*(...) Fala gorąca żagiel nadyma,
burzę powstrzymać, burzę powstrzymać.
W nocy gorącej blask oczu lśni,
wzbiera energia, energia KI.*

(Energia KI)

Reasumując, wiersze w tomiku *W kielichu jego dłoni* ukazują całą gamę uczuć i emocji i każą wierzyć, że istnieje coś takiego jak miłość.

Tomik *Przed lustrem – satyry, bajki, krotkowile* zawiera utwory, które dowcipnie, ale nie przesadnie złośliwie, ukazują nie tylko ciemne i śmieszne strony charakteru człowieka, ale też całego zbiorowiska ludzkiego w realiach współczesnych:

*Trujące grzyby wabią kolorem,
trujące grzyby władają borem.
Co trzeba, aby pięknie wyrosły?
Glebę, na której pasą się osły (...)*

(Trujące grzyby)

Autor reanimuje bajkę, przywraca do łask gatunek literacki modny w osiemnastym wieku, ale dzięki tematyce wciąż aktualny:

*Lis stary, doświadczony, który w zwierząt świecie
pozycje utrzymywał zawsze blisko władzy
i się przy każdym mocno trzymał gabinecie
młodemu adeptowi takie dawał rady (...)
(...) Wrogów musisz wymyślać mądrze i wytrwale
aby w tobie widzieli wielkiego obrońcę (...)*

(Lisy)

Zbiór zawiera nie tylko satyry i ezopowe bajki, ale i ciepłe w tonacji wiersze, takie jak np. o piesku, kocie, czy utwory będące plonem zabaw literackich w SPP, dotyczące świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy:

*Jeden chudy, wysoki, drugi mały krzepki
 Obaj bardzo radośni i bez piątek klepki (...)
 (...) Tak więc Śmigus wyniosły, Dyngus przygarbiony
 zakładają smokingi, Idą na salony (...)*

Wiersz ten zasługuje na szczególną uwagę. Autor zręcznie ukazuje kontrastujące, nawet w brzmieniu leksykalnym, postacie Śmigusa i Dyngusa.

Dowcip, humor, zręczne posługiwanie się słowem, inteligentne podpatrzenie zjawisk dotyczących jednostki i społeczeństwa, to wyróżniki utworów zawartych w tej książce.

Alicja Patey-Grabowska



Kazimierz Słomiński

Ciepła pułapka serca

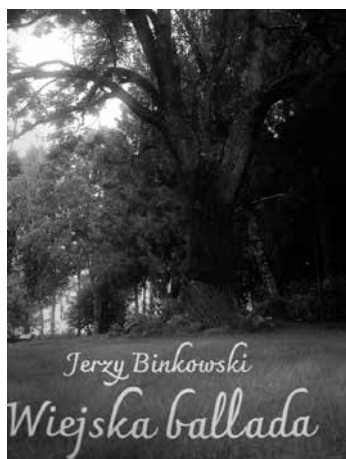
*Wiejska ballada*¹ – to kolejny zbiorek Jerzego Binkowskiego, poety zamieszkałego w Białymstoku, zaledwie 27 wierszy. Tytuł nacechowany sentymentem i melancholią. Właściwie to *Ballada trofimowska* – jak nazywa się jeden z wierszy. Już wiersz inauguracyjny tomik zamyka się słowami: *Ciepła pułapka serca – Trofimówka*. Trofimówka jest wsią w powiecie sokólskim, gdzie znajduje się letnia „rezydencja” poety, a kiedyś było tam gospodarstwo rolne rodziców małżonki. O tych czasach mówi piękny wiersz zatytułowany *Dziadek*:

*Mówiłem do Ciebie – Tato –
do obcego człowieka
który pokazał jak się pracuje
na śmierć i życie*

*Z Tobą powtórzyć chciałbym wszystko:
piaszczyste drogi kurz dudnienie kopyt
wjazd furą na klepisko
zwalanie snopów pachnących rżyskiem (...)*

Obecnie to już azyl dla wytchnienia „miastowego” emeryta, zwłaszcza w dzisiejszych szczególnych czasach. Jeszcze trochę, a i wieś, przynajmniej w swym obecnym kształcie, odejdzie do przeszłości, podobnie jak ten ścinany dąb w wierszu *Czy widać to czego nie widać?*

Czytając te wiersze, obracamy się w sferze znaków i symboli, takich jak jesień i jesień, babie lato, kwiaty i drzewa, dom czy wreszcie Matka Boska z domowej kapliczki. Wiersze opatrzone są czarno-białymi



1 Jerzy Binkowski. *Wiejska ballada*. Wydawnictwo BUK, Białystok 2020.

fotografiami. Już na okładce wita nas piękne zdjęcie wiekowego jesionu z kapliczką w dziupli u podnóża. Pod figurą Matki Boskiej umieszczony został medalion z wyobrażeniem Ojca Świętego Jana Pawła II. Jesion w wierszach ulega pewnej mitologizacji i sakralizacji:

*Jesion jesienią usnął
dzisiaj sennie wiośnieje*

*Białą koroną
łśnią obok wiśnie*

*Jabłoni różowe płatki
wirują w złocie złocieni*

*Kropelki konwalii dźwięczą
wdzięcznie w zieleni
Kto was maluje
znajdę malarza*

*Kto was rzeźbi
odnajdę rzeźbiarza*

*Za siódmą doliną
za siódmym lasem*

*nim pod jesionem zasnę
(Konwalii kropelki)*

Albo w wierszu *Jesienny jestem*:

*Babie lato mi w głowie
i mgły okolicznych lasów i łąk*

*Dzięcioł zielony i czarny oraz sójka
za-po-bie-gli-wi jak wiewiórka*

*Stopy moje niepewne
wśród liści sennych jesiennych
jesionu.*

W tym świecie nie daje o sobie zapomnieć poczucie przemijania, ot choćby w takich słowach:

*Jasność na skroni
Jaskroń.*

Ale jest i miłość, i subtelny, stonowany erotyzm:

*Nasze srebrzyste skronie
i wiatrem splecione dłonie*

*Kochana, mówię: ten płacz
w liściach wierzb to tylko żal*

*Unisono na życia fali
śpiewamy*

*Nie podnoś ramion z białą chustą
bo pragnę abys usłyszała tupot stóp języka
z wilgotnym i czułym noskiem
(Tańczę wokół słów)*

Poeta przywołuje postacie mieszkańców wsi, sąsiadów (*Ballada trofimowska*), a we wspomnieniach także tych bliskich, którzy odeszli. Znamienne są słowa z wiersza *Babcia*:

*Za wzgórzem świerkowo-brzozowym
jest dom – który domem już nie jest*

*Przed nim korzenie modrzewia i lipy
pięknych drzew – kiedy były drzewami (...)*

Korzenie w ziemi zostały

*Na nich siada Maria i Łukasz
jak kiedyś na ciepłych kolanach.*

Wspomnienia nie obywają się bez podsumowań, bez spojrzenia na swoją obecną sytuację. Warto zacytować wiersz *Zatrzymanie*, poświęcony pamięci matki:

Wieczór – światło opuszczone do końca
małe iskry miotają się po podłodze

Powędrowałaś na drugą stronę białych brzóz
a ja wciąż jestem tu gościem

Słyszę szept schowane w dojrzałym jabłku
światło i ciężar – równomiernie rozłożone

Moje ciało jak ogrodowy aster w koszyku płatków
błyszczą niby kałuża i księżyc w ciemności

Rok w rok przenikasz cichutko
w dźwięku moich siwiejących skroni

Sunę piórem niczym światło do swego wnętrza
a wiatr zmysłowo przestawia litery j n a i a n

Najdroższa Matko
nie umiem Cię poznać – dokończyć – objąć

Kiedy zasną może powiesz
Jerzy – wszystko zrobiłeś co mogłeś.

Tomik podsumowują i zamykają wiersze o treściach religijnych i patriotycznych: *Stajenny Cud*, *Boże Ciało*, *Niepokalana*, *Wniebowzięcie*, *Dom polski*, *Wiejski proboszcz na jawie*. Szczególnie przejmujący jest wiersz *Wniebowzięcie*, zamieszczony tu w setną rocznicę walk z bolszewikami:

Matko Boska Zielna
Spójrz na bukiet słów

Aster w Aster – wyprostowani polscy żołnierze pod Radzyminem
Przychodzą do świątyni w leczniczym zapachu ziół na śmiertelne rany
Przynoszą nieśmiertelniki zawinięte w pamięć ciągle krwawiących
bandaży
Białe i czerwone malwy sięgają im do wypełnionych bólem piersi
Na kolana padają zielone papierówki jak i z grubą skórą dzikie gruszki

Anielski pył kwiatowy leciutko na palcach tańczy ponad oparami lęku

*Pochylają się kłosy żyta i owsa jęczmienia i gryki łubinu i grochu
Młode pędy czarnego bzu w bagiennej oprawie walki*

*Aster w Aster
Wyprostowani*

Ale i kolejne lata nie szczędziły dotkliwych „przejsć do historii”, o czym opowiada tekst *Wiejski proboszcz na jawie*. Zaś w wierszu *Dom polski* dom urasta do rangi symbolu, to także, a może przede wszystkim – Ojczyzna:

*Jakżem ja piękna kiedy patrzysz na mnie
weź mnie do domu z modrzewia i dębu*

*Jarząb przed nami w białych kwiatach
i czerwień w zapachu gorzkich migdałów*

*Polska Niepodległa – słowa dwa
jesienny wiatr – niechciany strach*

*Dla naszej miłości świętej
tysiące schodów przed nami.*

I nie jest przypadkiem, że właśnie w tym kontekście pobrzmiewają echa biblijnej *Pieśni nad pieśniami*.

Kazimierz Słomiński

Kazimierz Świągocki

O Konradzie Sutarskim

Kim jest Konrad Sutarski? Znamy go przede wszystkim jako tłumacza poezji węgierskiej na język polski. Mniej jako poetę, a najmniej jako eseistę i działacza kulturalnego w relacjach polsko-węgierskich. Tymczasem właśnie w tych dwóch ostatnich dziedzinach prezentuje się jego osoba bardzo okazale. Ale zacznijmy od początku jego drogi życiowej jako poety i człowieka kultury. Rocznik 1934. Urodził się w Poznaniu jako syn urzędnika państwowego, oficera rezerwy, który został zamordowany w Charkowie. W 1956 roku Konrad został członkiem-współzałożycielem grupy poetyckiej „Wierzbak”, do której należeli m.in. tacy poeci, jak Marian Grześczak i Józef Ratajczak. Pierwszy zbiór wierszy *Skraj ruchu* wydał w Wydawnictwie Poznańskim w roku 1960. Cztery lata później, po ukończeniu studiów politechnicznych w Poznaniu, przybył do Warszawy, gdzie bardzo nietypowo dla poety podjął pracę w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego jako asystent tejże uczelni. Jednak już rok potem (1965) wyjechał do Budapesztu wraz ze swoją żoną Węgierką, którą poślubił w Polsce trzy lata wcześniej. W stolicy Węgier kontynuował studia w zakresie maszyn rolniczych i otrzymał tam doktorat w tej dziedzinie. Stał się autorem wielu wynalazków technicznych. Techniczne sukcesy zawodowe nie przesłaniały mu jednak humanistycznych upodobań i pasji. Szybko dał się poznać jako wytrawny tłumacz, eseista i krytyk literacki. A potem, już w latach dwięćdziesiątych, także jako dyplomata, dziennikarz telewizyjny i działacz polonijny. Szybko też i głęboko wrósł w kulturę swojej drugiej ojczyzny, nie zatracając bynajmniej swojej pierwotnej tożsamości narodowej. Wręcz przeciwnie – jego polskość wzbogacała się teraz o to wszystko, co najlepsze w kulturze i tradycji węgierskiej. Ale i przybrana węgierskość nie była asymilacją bierną, lecz wzbogaconą o to, co cenne w polskości. Dał temu wyraz we wzruszającym wierszu *Twoje słońce*:

*Odwiedzam cię kraju rodzinny nie wiedząc
gościem już tu tylko jestem czy i domownikiem.*

(...)

Nie tęsknię za tobą, bo chociaż z dala

*zawsze jestem z tobą w tym kraju drugim
co tobą mi pachnie, chociaż nie jest tobą.
O ciebie go powiększam, z tobą łączę stale,
więc jego dzieje są mi losem i twoim,
jego klęski i bóle jak by twoje były
lecz i jego słońce jest słońcem też twoim*

(z tomu *Powiększanie ojczyzny*, Lublin-Budapest, 2016)

Słowa tego wiersza nie są bynajmniej tylko poetycką retoryką, lecz autentycznym wyznaniem tego, co autor faktycznie myśli, czuje i czyni w konkretnych swoich twórczych zachowaniach i dziełach z nich powstałych. A dzieł tych jest wiele. Składa się na nie obszerna eseistyka o tematyce zarówno literackiej, jak i historycznej, z zakresu dziejów obu naszych narodów od ich początków do dni dzisiejszych.

Nikt do naszych czasów, zarówno ze strony węgierskiej jak i polskiej, nie pokusił się, tak jak Konrad Sutarski, o przedstawienie istotnych związków, jakie miały miejsce w naszej tysiącletniej historii. Popularne porzekadło „Polak, Węgier – dwa bratanki...” doczekało się w jego twórczości przekonującego uzasadnienia. Ową twórczość autor określa jako dzieło nieprofesjonalnego historyka. I słusznie, bo ma ona charakter eseistyczny. To znaczy wyraża się w narracji zmierzającej do logicznych wniosków z przedstawionych faktów, pomijając to, co obowiązuje profesjonalnego historyka – uwzględnianie wszelkiej drobnej faktografii, w której może, niestety, stępić się wyrazistość i oczywistość stawianych tez ogólnych. Sutarski stawia tezy wyraźne, a nawet kateryczne. Idzie mu o pragmatyczny cel: pokazanie paralelności losów naszych państw i narodów, ich wzajemne powiązania w przyjaźni, zbieżność interesów i wzajemną pomoc w trudnych, często dramatycznych momentach. Takim momentem o wadze nie tylko narodowej, lecz i ogólnocywilizacyjnej była Bitwa Warszawska 1920 roku, która byłaby przegrana, gdyby nie bezinteresowna pomoc militarna Węgrów, o czym do niedawna polskie społeczeństwo niewiele wiedziało. Z kolei współcześni Węgrzy nie bardzo wiedzieli, że jedynie Polska nie ratyfikowała tragicznego dla ich narodu traktatu z Trianon. Uświadomił im to dobitnie dopiero „nieprofesjonalny historyk” – Konrad Sutarski.

Można też powiedzieć bez większego ryzyka błędu, że w rozważaniach Sutarskiego nad historią Polski i Węgier zawarta jest dyskretna, ale wcale wyraźna idea mesjaniczna. Miłość do obu narodów ułatwia mu dostrzeganie podobieństwa ich losów w ciągu tysiącletniej ich historii, stanowiącej

zarazem czas drugiego tysiąclecia dziejów chrześcijańskiej Europy. Oba te państwa i narody składają się na ofiarę dziejów chrześcijańskiej Europy. Dzięki ich dramatom i tragediom nasz kontynent mógł zachować swą tożsamość. Takie słabo zawoalowane idee można znaleźć w monumentalnym i pięknym dziele tego „nieprofesjonalnego historyka” zatytułowanym zmiennicie: *Zarys dziejów Polski z węgierskimi powiązaniem* (Budapeszt 2018, wydanie drugie w Polsce 2020). Niezwykle oryginalne i ważne w naszej historiografii jest to dzieło. A tak samo ważne i odkrywczе jest dla Węgier.

Najważniejszym poznawczo motywem jego myśli i pióra w rozważaniach nad wspólnym losem naszych narodów jest motyw przedmurza chrześcijańskiej Europy, które przez wieki stanowiły te dwa państwa broniące swej tożsamości przed zagrożeniami zewnętrznymi – przed Tatarami i agresywnym islamem, prowadzącym wielowiekową inwazję na kontynent chrześcijański. Z tym motywem wiąże się też drugi, melancholijny – niewdzięczność ocalonej Europy wobec jej skutecznych obrońców, dzięki którym mogła rozwijać swój byt i wysoką kulturę. Wymowny w tej materii jest tytuł jednej z wydanych i po polsku książek Sutarskiego: *Polska i Węgry jako przedmurze chrześcijańskiej Europy w dawnych wiekach i dziś* (Budapeszt, 2016).

Ostatnie słowo tego tytułu jest niezwykle ważne. Właśnie, a jak to jest dziś? I tu pojawia się w jego eseistyce wzbogaconej o poetyckie ekspresje ten sam motyw zagrożenia Europy przed wojującym islamem i najściślej związany z nim drugi – niezwykle melancholijny – motyw bezradności współczesnej Europy, która zachowuje się wobec tego zagrożenia z zadziwiającą biernością, jakby pogrążona była w jakimś somnambulicznym śnie. Ale to już nie jest Europa chrześcijańska, lecz postchrześcijańska, obojętna wobec własnej duchowej tradycji i kultury. Przyjmuje wojujący islam nie jako zagrożenie tożsamości, lecz jako wyraz kształtowania się, czy zapowiedź nowej tożsamości.

Tę Europę biorą w swoje posiadanie dwie siły: zewnętrzne (islam) i wewnętrzne... Jakże? O nich pisze i mówi Konrad Sutarski dobitnie i wprost, że stanowi je to wszystko, co składa się na ideologię globalizmu. Poeta określa globalizm jako trzeci system totalitarny – po komunizmie i nazizmie, z którymi i Polska, i Węgry prowadziły twarde walki w XX wieku. Globalizm jest zaś teraz, w wieku XXI, siłą – twierdzi Sutarski – „sterowaną przez międzynarodową elitę gospodarczo-finansową, usiłującą zawładnąć dotychczasową Europą, podporządkować ją sobie jak i resztę świata,

uzależnić od siebie ekonomicznie, spłyć jej dotychczasową kulturę kosztem nowej, masowej, duchowo obcej, wreszcie zrelatywizować jej zasady etyczne”. Globalizm zatem w jego opinii jest równie destrukcyjny dla europejskiej cywilizacji co islam, kulturowo obcy i niezdolny do twórczego współżycia z kulturą europejską opartą na grecko-rzymskich i chrześcijańskich podstawach. Obie te siły stanowią zagrożenie dla chrześcijaństwa, a wraz z nimi dla tożsamości cywilizacyjnej Europy ukształtowanej na jego normach i wartościach. Jedna przynosi bezgraniczny fanatyzm, niszczący wszystko, co od niej odmienne; druga – nihilizm niszczący samo człowieczeństwo.

Aby Europa nie straciła swojej tożsamości, potrzebne jest nie tylko przebudzenie jej świadomości (szczególnie Europy Zachodniej) co do stanu rzeczy, w którym się znalazła, lecz i niezwłoczna czynna obrona przed groźnym wyzwaniem, jakie jej rzucają te dwie równie śmiertelnie groźne siły. I tu pojawia się, konsekwentnie, u naszego poety i myśliciela apel do wszystkich twórców kultury współczesnej, aby uznali za swój moralny imperatyw podjęcie misji obrony i ratowania europejskiej kultury przed najazdem niszczących ją obcych żywiołów.

Szczególnie znamienne są jego słowa, które kieruje do poetów i wszystkich ludzi pióra: „ludzie pióra powinni brać udział w tych zmaganiach, być w pierwszej linii obrońców cywilizacyjnych i etycznych wartości naszego kontynentu, gdyż właśnie oni, docierając w trakcie aktów twórczych niczym nie krępowaną wyobraźnią do samych głębin istnienia i posługując się językiem literackim, językiem poezji, jako mową szczególną, pełną duchowego dynamitu, są w stanie najskuteczniej poruszać serca i umysły, wzywać do działania”. Słowa te wziąłem z książki Sutarskiego *„Stacje ludzkiego sprzeciwu”* (Budapest-Lublin 2018). Ukrywa się w nich romantyczna wiara w poezję i nadzieja na skuteczne jej działanie w wymiarze społecznym, czy nawet ogólnocywilizacyjnym.

Trudno podzielać tę wiarę poety, ale nietrudno ją podziwiać. Trudno podzielać, gdyż korozyja naszej cywilizacji objawia się między innymi właśnie w zanikaniu siły słowa poetyckiego, jak zresztą wszelkiego słowa niosącego *sacrum*. Wiarę naszego poety, jego apel, można by określić jako działanie duchowe z *nadzieją*, a *choćby bez nadziei*. Mimo wszystko bowiem piękny to apel.

Niemniej ważne od słów tego apelu czy manifestu, są oryginalne słowa poety jako artysty, czyli jego utwory poetyckie. Wiele wierszy Sutarskiego

– i to zwłaszcza tych, które powstały w drugim dziesięcioleciu XXI wieku, zawiera ogromny ładunek niepokoju o los cywilizacji europejskiej:

*Co przyniesiesz wieku
ty dwudziesty pierwszy
jakie niespodzianki gotujesz nam jeszcze
ziemia już teraz cała drży w posadach*

– pyta podniosło i retorycznie w wierszu *Co przynosisz wieku*, dalej w tymże wierszu pytając:

*jak cię zapamięta historia i ludzkość
co ostanie się z przerażenia z zamętu*

Jego niepokój o los cywilizacji świata nie ma jednak charakteru fatalistycznego. Bowiem świat znajduje się w rękach ludzi i od ich woli oraz mądrości zależy to, o czym Sutarski pisze w wierszu *W którą stronę zmierza świat*:

*bo świat sam iść nie potrafi
trzeba mu zawsze nadać kierunek*

Kto więc miałby tego dokonać?:

*Bóg swego czasu zostawił to wraz z krzyżem
nam ludziom*

Poeta wierzy więc w możliwość zatrzymania procesów zagłady cywilizacji europejskiej.

Ważny to głos intelektualisty. Do tej pory jakoś nie było słyhać w naszym środowisku literackim z taką siłą wypowiedzianych sądów o dramacie naszych czasów.

Można więc powiedzieć, że poezja Sutarskiego jest zaangażowana w wielkie sprawy współczesnego świata, stając w obronie cywilizacji łacińskiej. Ale warto też zwrócić uwagę, że w czasach wczesnej młodości pojawił się w jego twórczości nurt odmienny w charakterze, stylu, języku i problematyce. Stanowią go utwory odznaczające się subtelnym liryzmem, na który składa się głównie wdzięk i językowa pomysłowość. Jest to liryka inspirowana nie intelektualnymi a emocjonalnymi przeżyciami – miłością.

Są w nich frazy godne najlepszej poezji czystej. Spójrzmy na nie. Czyż nie świecą blaskiem jubilerskiej pracowni?

*nazywają cię miłością
a jesteś jabłkiem tryskającym sokiem w ustach dziecka*
(Liść człowieka)

dotknięciem nie poznaje się milczenia
(Dotyk dłoni)

na ulicach zostają po nas krople rozmów
(Kapliczki)

*jak biedronka
za chwilę zaczniesz zmieniać się w słońce, w deszcz
w moje słońce, mój deszcz*
(Biedronka)

*poranne mgły
powoli otwierasz popielate stawy oczu*
(Chochoty)

*Kiedy poznałem cię, zobaczyłem, że jesteś
łagodnym płomieniem,
że przy tobie cichną nawet
liście wikliny*
(Konfesjonał)

Wiersze te, z których wyjęliśmy najpiękniejsze i najdelikatniejsze frazy, przypominające w swej delikatności japońskie haiku, mogłyby stanowić niejako drugi biegun jego liryki, gdyby poeta nie zaniechał ich pisania. Jest w nich upragniona cisza i harmonia, jak w tamtych lęk i dramatyczne wołanie. Szkoda więc, że nasz poeta nigdy już nie powrócił do ich stylu i estetyki.

Kazimierz Świądecki

Waldemar Żyszkiewicz

Müldneriada¹

O prozie Piotra Müldnera-Nieckowskiego

Prof. Magdalena Saganiak² – Oddaję głos panu Waldemarowi Żyszkiewiczowi, znakomitemu poecie, prozaikowi i dziennikarzowi, członkowi Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Waldemar Żyszkiewicz – Dziękuję bardzo. Dobry wieczór. Mam państwu przedstawić pewną określoną część dużego i bardzo zróżnicowanego dorobku pana Piotra Müldnera-Nieckowskiego, który jest główną osobą dzisiejszego wieczoru. Do wszystkich jego umiejętności i talentów, które zostały już w czasie powitania wymienione, dodam jeszcze jeden dar, niemniej istotny, bo również wiążący się ze słowem. Piotr Müldner-Nieckowski jest doktorem medycyny, lekarzem z wykształcenia, ale w pewnym momencie odkrył w sobie pasję do języka, która zdominowała wcześniejszą fascynację medycyną i chęć służenia ludziom w sposób właściwy lekarzowi. Ważnym elementem dorobku Piotra Müldnera jest coś, co bym nazwał słownikotwórstwem. Jest on bowiem także autorem dwóch dużych, ważnych słowników, jest ponadto znawcą sztuki edytorskiej. A zatem jego aktywność w polszczyźnie nie ogranicza się do działalności *stricte* artystycznej, ale bohater wieczoru prowadzi również aktywność naukową i leksykograficzną.

W twórczości artystycznej Müldnera-Nieckowskiego występuje spore zróżnicowanie. Przede wszystkim zajmuje się poezją, od której zaczynał i co do której był przekonany, że to ona stanowi jego właściwe powołanie, jego pasję. Ktoś uznał jednak, że Piotr Müldner ma także talent prozaika, czyli osoby zdolnej kreować światy w języku niewiązanym i zachęcił go

1 Wypowiedź 12 maja 2014 r. w Czytelni Biblioteki Głównej UKSW w Warszawie. Całość zapisu z tego spotkania, prowadzonego przez prof. M. Saganiak, opublikowano w artykule pt. *Człowiek wszechstronny* w czasopiśmie „Las Rzeczy” nr 1/2016 (13), str. 78-97, wydawanym przez Wydział Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

2 Prof. UKSW dr hab. Magdalena Saganiak jest kierownikiem Zakładu Metodologii Badań Literackich w Instytucie Literaturoznawstwa Wydziału Nauk Humanistycznych UKSW, autorką książek o postaciach polskiego romantyzmu i ich twórczości, zwłaszcza Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza.

do wypowiedzi prozą. Zaczęło się, jak to zwykle bywa, od pisanía opowiadań, potem przyszły dłuższe formy: powieści. I dziś bohater naszego spotkania dysponuje sporym dorobkiem prozatorskim, o którym właśnie będę teraz mówił.

Chcę jednak wyraźnie zasygnalizować, że to tylko część jego twórczych osiągnięć, nawet jeśli zawężymy dokonania Müldnera do sfery samego języka. Wiersze, proza, poza tym scenariusze czy formy dramatyczne, pisane zresztą głównie dla radia, więc roboczo przyjęło się nazywać je słuchowiskami, choć uważam, że dla tych dźwiękowych, fonicznych kreacji językowych Piotra Müldnera nie jest to nazwa dostatecznie pojemna.

Mam zamiar omówić tu wyłącznie dorobek prozatorski Müldnera-Nieckowskiego, analizą jego wierszy zajmą się inni. Żeby opowiedzieć o prozie Piotra Müldnera możliwie krótko i treściwie, będę się posilał notatkami – mam nadzieję, że Państwo mi to wybaczą. Z doświadczenia wiem, że podczas improwizowanego przemówienia nie jest łatwo pójść za dyrektywą biskupa Pietraszki, który swoich słuchaczy na homiletyce w krakowskim seminarium uczył, że z dobrym kazaniem jest tak, jak z makaronem – po ugotowaniu trzeba odcedzić wodę.

Dorobek prozatorski, który omawiam, powstawał mniej więcej w ciągu trzynastu-piętnastu lat. W tym okresie autor napisał cztery powieści i dwa zbiory opowiadań – w sumie: sześć pozycji książkowych.

Podkreślam to, dlatego że w przypadku Piotra Müldnera porządek powstawania dzieł prozatorskich jest dość znacząco inny niż kolejność, w jakiej stawały się dostępne dla czytelnika. Dlatego żeby prześledzić lub chociaż naszkicować ewolucję jego warsztatu pisarskiego, żeby opisać zmiany w sposobach operowania językiem, konstruowania narracji, wreszcie zmiany samego przedmiotu, który był tematem książek Piotra Müldnera, należy wiedzieć, w jakiej kolejności one powstawały. Jak wspomniałem przed chwilą, Piotr Müldner został poproszony o napisanie kilku opowiadań, o dostarczenie prozy zamiast wierszy. I wtedy, uznawszy, że może warto nadać językowy kształt pomysłom, które miał wcześniej, ale których nie urzeczywistniał, siadł i napisał pięć opowiadań, które od razu zostały wydrukowane.

To oznacza, że pierwociny aktywności prozatorskiej Piotra Müldnera-Nieckowskiego przypadają na rok 1973. Natomiast finalne muśnięcia, nadające ostateczny kształt powieści *Diabeł na Placu Zbawiciela*, były czynione w roku 1987. Tak więc analizowany dziś dorobek prozatorski powstał w ciągu zaledwie czternastu lat.

Dlaczego zaznaczam, że te książki ukazywały się w innej kolejności, niejako w oderwaniu od czasu swego powstawania? Powodów jest parę, a jednym z nich jest przyczynek do analizy meandrów polityki wydawniczej w czasach późnego PRL-u. Na przykład *Proszę spać*, pierwszy tom opowiadań Müldnera, wydały „Iskry” w roku 1978. Trzeba jednak zaznaczyć, że jeszcze przed skompletowaniem zawartości tego tomu, autor zdołał ukończyć dwie powieści. Natomiast opowiadania z czasów stanu wojennego, które powstały w latach 1984-1985 i stanowią zawartość zbioru noszącego tytuł *Raz jeden jedyny*, po raz pierwszy ukazały się drukiem dopiero w 2007 roku w Oficynie Wydawniczej Volumen. Zresztą być może to długie oczekiwanie zaowocowało faktem, że zbiór wydany w oficynie Mirosławy Łątkowskiej i Adama Borowskiego jest, w mojej ocenie, najbardziej sympatyczną edytorsko i najładniej wydaną prozatorską książką Müldnera. I właśnie ten drugi tom opowiadań, mimo że powstał niewiele później niż opowiadania z tomu pierwszego, ukazał się po prawie 30 latach. To choćby pośrednio pokazuje, że perypetie z wydawaniem pewnego rodzaju prozy, które często były udziałem autorów w okresie PRL-u, nie ominęły i naszego dzisiejszego bohatera.

Müldner zaczął pisać opowiadania w 1973 roku. Pierwszą powieść *Himalaje*, napisaną w latach 1974-1975, opublikowała Młodzieżowa Agencja Wydawnicza w 1979 roku. Druga powieść *Czapki i niewidki*, która powstała w latach 1976-1977, ukazała się w 1980 roku w wydawnictwie „Pojezierze” w Olsztynie, jest to zresztą jedyna książka prozatorska tego autora wydana poza Warszawą. Opowiadania ze zbioru *Proszę spać*, jak już wspomniałem, wyszły w 1978 roku. Część z nich powstała w roku 1973, ale najnowsze były pisane dopiero w 1977 roku, może nawet z początkiem 1978. Z kolei mikropowieść *Śpiący w mieście*, pisaną w latach 1979-1981, opublikował w roku 1983 „Czytelnik”. A w 1990 roku, czyli u progu nowej rzeczywistości, ukazała się powieść *Diabeł na Placu Zbawiciela*, rozpoczęta w 1983 roku, a finalizowana – jak mówi sam autor – w latach 1986-1987.

Może jednak powinienem był zacząć od tytułu. Swoje wystąpienie zatytułowałem *Müldneriada. O prozie Piotra Müldnera-Nieckowskiego*. O czym pisze Müldner? Otóż dwie pierwsze powieści, czyli wspomniane *Himalaje* oraz powieść *Czapki i niewidki*, podobnie zresztą jak debiutancki tom opowiadań, zdają sprawę – w sposób właściwy pisarstwu tego autora – z życia w PRL-u w czasach mniej lub bardziej rozchwianej społecznie i rozbuchanej konsumpcyjnie gierkowszczyzny. Z kolei *Śpiący w mieście* to nie tyle inwentarzowy opis krachu epoki Gierka ani też portret miesięcy

solidarnościowego przełomu, ile próba dania wyrazu emocjom, lękom i frustracjom tamtego czasu w gorączkowej, transowo-nierealistycznej, a jednocześnie boleśnie prawdziwej wizji, dosadnej w cielesno-fizjologicznych szczegółach i relacjonowanej przez pierwszoosobowego narratora.

O Polsce stanu wojennego traktuje natomiast drugi tom opowiadań Müldnera, który – jak już wspomniałem – ukazał się z dużym opóźnieniem w stosunku do opisywanych w nim czasów. Natomiast czwarta powieść, *Diabeł na Placu Zbawiciela*, jak dotąd ostatnie prozatorskie dokonanie autora, stanowi rodzaj dystopii, którą często mylnie utożsamia się z antyutopią.

Spróbujmy zatem rozróżnić te kategorie. Jak wiadomo, w klasycznej utopii starano się przedstawić spójną, filozoficzną lub literacką – w każdym razie wyspekulowaną – wizję rzeczywistości idealnej. Analogiczną konstrukcję spekulatywną, tyle że ze znakiem przeciwnym, stanowi antyutopia, której celem bywa literacka lub intelektualna wizja świata skrajnie ludziom wrogiego. Obie wszakże są podobne w tym, że przedstawiają światy od początku wymyślone, wynikające z teoretycznych założeń i w ogóle nieosadzone w realności. Podczas gdy dystopia, choć w swej pesymistycznej wymowie i przynębiającym obrazie ludzkiej egzystencji bardzo do antyutopii zbliżona, różni się jednak od niej punktem wyjścia i metodą. Ujmując rzecz najkrócej, czarną wizję przyszłości dystopia wywodzi, diagnozując i doprowadzając do skrajności najpoważniejsze z aktualnych zagrożeń świata realnego.

Wydać mi się, że pojęcie dystopii dość dobrze pasuje do czwartej powieści Müldnera. *Diabeł na palcu Zbawiciela* to powieść, w której czarna, fantasmagoryczna rzeczywistość schyłkowego PRL-u została poddana hiperbolizacji. Mimo oszczędnego użycia, a czasem nawet rezygnacji z części swych środków wyrazu, müldneryzm tej książki jest oczywisty i niekwestionowalny. Jej tematyczny zakrój natomiast wydaje się wręcz zuchwały, ale także w pełni artystycznie dojrzały.

Niewątpliwie ***Diabeł... pozostaje w mojej ocenie najważniejszą powieścią Müldnera-Nieckowskiego.***

Chciałbym teraz przejść do z konieczności pobieżnych i częściowych uszczegółowień. Wyczerpujący, nieco zabawny spis mieszkańców pewnego osiedla, który pojawia się prawie na początku powieściowego debiutu *Himalaje*, mnie osobiście skojarzył się ze spisem *dramatis personae* w *Złym Tyrmandu*. Czy Piotr Müldner celowo nawiązał w ten sposób do popularnej powieści autora *Cywilizacji komunizmu* – nie przesądzam. Najlepiej

zapytać o to jego samego; kiwa głową, że nie, więc jest to tylko zewnętrzne podobieństwo.

Zanim Quentin Tarantino zaczął robić filmy, był – jak wiadomo – kiniarzem, puszczał filmy w kinie. Nie wiem, czy naprawdę zdarzyło mu się kiedyś pomylić kolejność kaset czy tylko taki koncept przyszedł mu do głowy. W każdym razie jego *Pulp Fiction* w sensie formalnym, czysto konstrukcyjnym, jest oparta na takim właśnie pomysle puszczenia filmu w niewłaściwej kolejności, pomieszaniu kaset z częściami, z jakich składa się każdy film.

Eksperymentalne *Himalaje*, wydane w roku 1979, na piętnaście lat przed *Pulp Fiction*, a napisane jeszcze parę lat wcześniej, zostały oparte na analogicznym koncepcie. Zaburzona chronologia przedstawionych w powieści zdarzeń zmusza do wysiłku. Trzeba zrekonstruować ich przebieg, powiązania przyczynowe, relacje między osobami osiedlowego dramatu codzienności. Odpowiedzieć sobie na pytanie *kto* i *dlaczego* jest dobry, *kto* jest zły, a *kto* praktycznie bez właściwości. Obserwujemy lekarza Tadeusza Uwagę z protezą nogi i twarzy, który, judymując we właściwy sobie sposób, staje się po trosze przewodnikiem po różnych wątkach twórczego zamysłu autora. Z początkowego chaosu – zupełnie jakby ktoś rozsypał duży komplet klocków albo wieloelementowe puzzle – czytelnik powoli rekonstruuje prząsną rzeczywistość późnego PRL-u, dokładnie gierkowszczyzny, która ujawniała już całkiem spore zróżnicowanie postaw, mentalności, indywidualnych uzależnień i społecznych patologii. Obraz powoli się krystalizuje i porządkuje, ułatwia rozumienie i wtedy w finale dochodzi do tragicznego zdarzenia, które zapoczątkowało fabularną sekwencję zdarzeń.

Nic dziwnego, że książką zachwycił się Henryk Bereza, krytyk literacki mocno przywiązany do swej idei rewolucji artystycznej w prozie.

Moim zdaniem, jeszcze bardziej radykalną co do formy propozycją niż *Himalaje* jest druga powieść Müldnera. Już jej tytuł *Czapki i niewidki* dekonstruuje dobrze zasiedziałą w polszczyźnie frazę „czapka niewidka”. Znaczny udział dialogów, czyli wielogłosowość obecna w powieściowym debiucie, tu zamienia się właściwie w ich interferencję, w nakładanie się głosów komentujących rozwój wydarzeń z innego punktu widzenia, według odmiennych uzasadnień, w nieco innym czasie. Co wszakże z pewnością lektury nie ułatwia. Okazuje się jednak – to wiedza zdobyta tylko dzięki rozmowie z autorem – że formalne pomysły piszącego zostały tym razem zintensyfikowane przez wydawcę. Dla oszczędności reglamentowanego papieru pozbawił tekst istniejących w maszynopisie pustych wersów,

odstępów, które niczym śródtytuły miały sygnalizować przejścia do innych konstelacji dialogujących osób. Z powieści o pomysle utworzenia hospicjum w podwarszawskim dworze, z historii o zmaganiach z PRL-owską biurokracją, z panoramy skomplikowanej walki o przejęcie idei, czyli w istocie inicjatywy pomiędzy docentem karierowiczem a młodym, idealistycznie usposobionym lekarzem, jeszcze bez doktoratu, wyłania się wyrazista wizja tamtej rzeczywistości. Rzeczywistości, owszem, mocno stotalizowanej, lecz z dzisiejszej perspektywy bardziej już groteskowej niż przerażającej. Warszawa, po której młody doktor Zygmata krąży wciąż samochodem docenta Czemy, ma oprócz swych tradycyjnych dzielnic: Woli, Ochoty czy Mokotowa, również takie dzielnice jak łódzkie Bałuty, krakowskie Grzegórzki czy katowickie Bogucice... Ten prosty zabieg formalny skutecznie uniwersalizuje wizję socjalistycznego bezsensu, obejmując nią całe terytorium naszego kraju. Tak przynajmniej ja odebrałem zamysł autora.

Zrozumiałe, że wobec pierwszej profesji autora – lekarza, człowieka o wyspecjalizowanej wiedzy i postawie służebnej wobec drugiego człowieka, postawie niesienia pomocy w rzeczach najważniejszych – nie jest niczym dziwnym, że pojawiają się w tej prozie wątki medyczne i lekarskie. Pojawiają się one na poziomie fabuły, profesji bohaterów, sposobu opisu i charakteryzowania postaci. Ale także jako elementy służące zwiększeniu stopnia ekspresji czy dramatyzmu sytuacji zgoła nie medycznych. Zwłaszcza w mikropowieści *Śpiący w mieście* wydanej w 1983 roku i obrazującej sytuację przełomu: schyłek Gierka i powstawanie Solidarności, powieści mówiącej jednak nie o powstającym związku, lecz o ludziach zanurzonych wówczas w takim szalonym *intermezzo* społecznym i państwowym. Zwłaszcza w tej powieści pojawiają się elementy wiedzy lekarskiej i medycznej, bo do wymierzenia kopniaka skutecznie miazdzącego kość ogonową, owszem, wystarczy chulikańska praktyka. Natomiast opis mechaniki i skutków takiego zachowania wymaga już szczegółowej wiedzy.

Nie dziwią postaci judymowskie w prozie Piotra Müldnera – doktor Tadeusz Uwaga czy doktor Zygmata. Ale nie dziwią też motywy frankensteinowskie w opowiadaniach lub w powieści *Diabeł na placu Zbawiciela*. Co więcej, są jeszcze inne tropy podobnej proveniencji, przynajmniej ja dokonałbym wykładni tego rodzaju. Np. w koncepcie umożliwiającego pełny podsłuch radiofonizowania hospicjum w Łamankach (*Czapki i niewidki*), czy całkowity egzystencjalny monitoring Jana Wilgi, bohatera *Diabła*..., można dopatrzyć się odniesień do *Tysiąca oczu doktora Mabuse*, ostatniego filmu Fritza Langa. Nie bez kozery robię takie wycieczki w sferę

popkulturowej wyobraźni, a szczególnie do filmu, bo dla naszego pokolenia była to chyba najważniejsza, a zarazem najbardziej dostępna sfera popkultury. Jeśli nawet moje konkretne domysły nie są trafne, to jednak docenianie kultury popularnej i swoiste wychylenie ku niej w prozie naszego autora wyraźnie obserwuję, czemu on sam chyba nie zaprzeczy.

Eksperymentalne *Himalaje*, wydane w roku 1979, na piętnaście lat przed *Pulp Fiction*, a napisane jeszcze parę lat wcześniej, zostały oparte na analogicznym koncepcie. Proza Piotra Müldnera-Nieckowskiego przypomina zarówno o tych dobrych aspiracjach, jak i skłania czytelnika do refleksji nad przemożną potęgą głupoty.

Proza ta daje celny portret PRL-owskiej rzeczywistości, choć budowany różnymi środkami, z użyciem hiperbolizacji, groteski, skrótu. Poprzez ciekawą kombinację konkretnego z daleko rozwiniętą deformacją uzyskujemy wgląd w istotę tamtych czasów. W życiu małych ludzi przejętych walką o byt i odrobinę blichtru, często ludzi zawistnych, podgryzających się nawzajem, walczących o rzadkie dobra, o karierę osobistą. Tak, to był taki mały, płaski, dość obrzydliwy świat. Nawet protagoniści prozy Müldnera zwykle są obarczeni jakąś skazą. W siermiężnej rzeczywistości prząsnym postaciom towarzyszy jednak zaskakująca, nieraz mocno złożona forma. Być może z obawy, że taka odrażająca rzeczywistość opisana wprost nie zdoła ani zaciekać, ani – co ważniejsze – zachęcić do wytrwałej lektury. A proza Piotra Müldnera-Nieckowskiego tej wytrwałości od czytelnika wymaga. Bo obraz bywa niejasny, zamazany, narracja często się rwie, dialog wymaga skupienia, a puenta okazuje się nieco banalna, życiowa. Nie zaskakuje. Ot, ktoś podczas pożaru zachował się jak człowiek, a inny zupełnie bez powodu okazał się świnią, na przykład wobec cudzej żony. Takie życie.

Mimo motywów związanych ze snem – zbiór opowiadań *Proszę spać*, powieść *Śpiący w mieście* – prozy Müldnera na pewno nie można nazwać oniryczną. Przeciwnie, to rodzaj złośliwego, nieraz trochę chropawego, ale przenikliwego realizmu. Zapis autora jest wyraźnie nakierowany na uchwycenie esencji, istoty przedstawionej rzeczywistości. To z pewnością nie jest naturalizm, choć na przykład mocno obecna w tej prozie seksualność człowieka często też kojarzona z brutalnością, z niezbyt odległym od obscenicznego słownictwem, mogłaby tę wykładnię podpowiadać. W tej prozie ludzka cielesność bywa dosłowna, fizjologiczna, nieatrakcyjna. Czy należy to składać wyłącznie na karb lekarskiego punktu widzenia? Z pewnością i ten czynnik odgrywa tu jakąś rolę. Ale to także rodzaj pisarskiego zwiadu:

wycieczka w regiony *lower class*, ludzie z miasta G., osiedlanie, mieszkańcy blaszaków. Czy wręcz rodzaj fascynacji subkulturą traktowaną jako formotwórcza egzotyka oraz źródło językowego tworzywa. Rezultatem takiej postawy nie jest więc weryzm psychologiczny czy socjologiczny, lecz raczej opowieść z przesłaniem ideowym. Taki swoisty **realizm misyjny** przekraczający kanony pocziwej narracji naśladowczej, konwencjonalnej, przykładnie ułożonej.

Ciekawą cechą prozy Piotra Müldnera-Nieckowskiego pozostaje dyskretna erudycyjność.

Dyskretna, bo rozmaicie ukrywana, nie natrętna, raczej pojawiająca się od niechcienia – w dialogach albo w pozornie jałowych rozważaniach bohaterów, takich jak choćby Kukawka z opowiadania pod tym tytułem, doktor Zygmunt, Jan Wilga. Świetna refleksja o obscenicznosci, o takim pohańbieniu, obniżeniu współczesnej polszczyzny pojawia się w *Diable na Placu Zbawiciela*. Albo brawurowa i bardzo zabawnie skonstruowana krytyka naszej zakłamanej historii z czasów PRL-u w *Śpiącym w mieście*. Humor jest zresztą mocną stroną wielu opowiadań oraz powieści Piotra Müldnera. Np. scena z kulką w powieści *Czapki i niewidki* doprowadziła mnie do ataku śmiechu, z którym nie mogłem sobie poradzić.

Ironia, często również dyskretna, jest ważną składową literackiego warsztatu Müldnera. Myślę, że warto zacytować fragment, który pokazuje pewną metodę unikania za wszelką cenę czegoś, co mogłoby pachnieć dydaktycznym smrodkiem, a jednocześnie przekazuje pewną wiedzę, pouczenie, wyraźną wskazówkę typu aksjologicznego czy moralnego. Bohater Jan Wilga o swojej mamie pisze w dzienniku:

Bo gdyby mama przeczytała, że śmiem po polsku, w tym świętym języku napisać słowo tylek albo dupa, albo wiele innych, nie chce mi się wymieniać, tobym musiał wysłuchiwać okrutnych tyrad. A tutaj każdy chłopiec, który skończył siedem lat, umie puszczać wiązanki o wiele lepsze i bardziej skomplikowane, i to przy użyciu siedmiu słów wyrażających wszystko. A tak obrzydliwych dla mojej mamy.

Obawiam się, że ta refleksja jest dziś znacznie bardziej aktualna niż była w czasie, gdy autor pisał swoją czwartą powieść.

To wszystko, co zostało powiedziane, to oczywiście tylko zarys wykładu, o czym są te książki i jak one są napisane. Nie było moją intencją, aby wyręczać państwa w lekturze. Szło mi raczej o to, aby do lektury zachęcić.

Na koniec jeszcze taka konstatacja: każda epoka ma swoje szlachetne aspiracje, każdy czas ma też swój udział w głupocie. Głupocie celebrowanej, wynoszonej na piedestały, spetryfikowanej w stereotypach myślowych, powielanej w językowych kalkach. Proza Piotra Müldnera-Nieckowskiego przypomina zarówno o tych dobrych aspiracjach, jak i skłania czytelnika do refleksji nad przemożną potęgą głupoty. Potęgą wprawdzie chyba nieusuwalną z ludzkiej rzeczywistości, ale jednocześnie mobilizującą w kolejnych pokoleniach, przynajmniej osoby ambitne, do uporczywej walki zdolnej ożywić i przedłużyć nasze nadzieje.

Waldemar Żyszkiewicz

Janusz Andrzejczak

Gruda cudnia

Ziewa krajobraz,
mgłą oddycha.
nie wychynęło dawno słońce,
a moja cisza, taka cicha,
jakbym był sarną,
ćmą, zającem...

Szaroburością się zachwycam,
tym, że dżdżu w lasach
rozsypane ziarna,
że gdy śpi wszystko,
zając kica
i bezszelestnie biegnie sarna.

Pyk!

I tylko drzewa
pozostaną wierne
i wobec
nic się nie odmieniają
także i łąki
dzikie i pasterne
trwać będą dzięki
swym korzeniom

Człowiek przepadnie
w jednej chwili
w tej
w której skona
pyk! Internet
i tylko łąki
tylko drzewa
jak były
pozostaną wierne

Anna Bernat

Gdy wszyscy wziemięwzięci¹

Za polami pól turkocą chmury
dobrze je słyhać coraz lepiej
nasze kryjówki stają się niebezpieczne
ciemnieją dni roztrzęsionej Ziemi
szczęśliwi dziadkowie z wypukłego nieba
wiedzą że umarli w samą porę
wiele wody i ognia wróż zaledwie urodzonym

Od trawy do drzewa
wysycha zieleń bieleje
człowiek przykrywa się to piachem to śniegiem
zachłystuje byle deszczem i nic nie wie
o śpiewniku świętego piotra o trąbie anielskiej

Toczy się słońce od wyroku do wyroku
przedzierają okrzyki. chrypią noce
stopy w przydeptanej ziemi wolniej drepcą
ucieczka pod krzyżami między ciernie

Nie ma mowy o mądrości wysokie czoła pokąsane
ktoś zapłakał nad sobą i nic mu nie pomogło
pogrzeb ani krzyże brzożowe

Ktoś ucieka w pierwsze słowo z kamienia
w kłamstwa zagnieżdżone w pamięci dziecka
o szklanych królewnach, o bogatych żebrakach

Blizny po szczęściu po łakomstwie:
poezja i wiara i świątki drzewienne
milczenia przymarznęte do skały śnieżnej
prochy świecące diabłom na ogarki

¹ Wyróżnienie na V Warszawskiej Jesieni Poezji, Polskie Radio, Program I, 1976 r. Wykonywał: Aleksander Bardini.

i słowa wycierane z ust delikatną dłonią

Przez osuszone płaczki
witany splunięciem na cztery strony
zakasałeś rękawy aby nie zbrudzić
tej o kształcie pierścienia na palcu
całowanej na dzień dobry
która zielonym światłem w przestrzeni życia i śmierci
na niebie na grobie na sobie – pisałeś –
literę O jak Ziemia
przeklinałeś słowa gdy płoszyły się w myślach
po pół spinałeś w jedno –
nie, słowa nie można się brzydzić jak powietrza
choćby było prorocstwem:

Koniec tej Ziemi, niechaj szczeliny otworzą
przeczuwanie smaku kamieni piasku

Ziemia drży jak dziewczyna przed świętem
Ziemia wysycha skóra na umarłym pęka
człowiek bez pragnień bez olśnień
jest tylko jękiem
słowa milkną w bezdechu
powietrza... powietrza...

Z drugiej strony wszechświata polami pół
toczą się jego gwiazdy i sekrety
wszystkie planety jak supelki na sznurku
jak perełki bożków bezwzględnej przestrzeni

Ubożsi o jutrzejsze dźwięki
przeżywamy mimo woli krew i krzyk własnych myśli
wśród pół dni pół nocy doczesnych
łatwiej dopalić się bezboleśnie nie dożyć
ściśniętych gardel, ostatnich wspomnień
wczorajszego kwitnienia rdzawych liści

Co dalej wymodlić
na oddech lekki zielony
na wiatr, na miłość
na życie?

Ostatnie przebaczenia
ostatni uścisk
nie wiadomo czyjej ręki
samotność pod skrzyłem Anioła

Jak mamy
bez lęku wołać o podróż z siebie do siebie
wyschniętymi ustami szeptać przed Bogiem
jak powoli cichnąć do odejścia
przyzwyczajając

Noce beznogie stwory kosmate wiatrem
ktoś nie umie posiedzieć w mroku
każda chwila wydziubuje światełka oczom

Błogosławieni uduszeni bez kropli powietrza
zaś mali duchem chytrzy na świat
żyć będą daremnie przetrwają w trwodze
pogadają do jutra a szkoda
błogosławione dziewczęta radości pierwszej lepszej
tak trzeba człowieczyć siebie
inni niech żują język nic więcej

Ten duszny wszechświat ma czarne serce
jak złodziej czas i przestrzeń
wieczność to tylko bezwietrzność dni

Tak mały stół a na nim suto
od dymiących pospiesznie wulkanów
rdzewieje kamień rzuć nim za siebie
tam czekają i już im markotno do nieba
z rudej głębi gorący strumień

nadstawcie wiadra spragnieni bólem
rażniej gdy wszyscy razem *wziemięwzięci!*

Głusi jesteście czy umarli
patrzcie jak niebo Ziemi pomstuje
kto się obejrzy z lęku powstały w lęk się obróci

Jakie jest imię tej rzeki
która ze świata ucieka?

Im dalej im dłużej więcej odmian czerwieni
w pył bezkrwisty obraca się życie
jakie życie kto powiedział przejęzyczył

A mówili o lodowcach potopach nic z tego
uduszeni promieniem słońca
jutro powiedzą
śniliśmy za polami pól
takie chmury na wyschniętym niebie
aniołów spadających do ziemi
bryłę w przestrzeni płonąca
burzę piorunem strąconą od wewnątrz

Pamiętasz leżałeś bez tchu przy zwałonym drzewie
kształt spopielonego ciała
dusza wędrowna
dymiło niebo i nawet nie mogłeś płakać
na próżno trzykroć wschodziło słońce
żaden liść żadna trawa nie drgnęła
tylko oczy umiały mówić
językiem płomiennym muzyką płomienia

Nie było kobiet do miłości
śmiertelne kwiaty
bezpieczny jak nigdy dotychczas
wyzbyty siebie

patrzyłeś –
obłok czerwieni odpływał na koniec świata
a za nią pierwsza zieleń
zabita Ziemia zmartwychwstawała –

Tak ciche było Twoje pierwsze
Słowo

Anna Bernat

Jerzy Binkowski

Mój wiersz będzie się zaczynał słowem ZEGAR

Zdzisławowi Misiewiczowi

Zegar ten, zanim zawieszę na ścianie – prześpię się z nim.
Ułożę go na pościeli tam, gdzie zazwyczaj sypia żona.

Brązowe drewno dębu czyni więcej ciepła w domu.
Może czas w swej ciszy płonie też miłością do mnie?

Z wielką czułością czas obchodził się z człowiekiem.
A człowiek z czasem gładził czule wypolerowane drewno.

Pod szybą drzwiczek zegara śpią godziny przyszłe.
Złote i wcale niesmutne. Jakby przyczajone.

Niech Czas się nie skrada. Niech dźwięczy mi w uszach.
Na pobudkę, na orzeźwienie, na wiarę, że JEST, choć jakby go nie było.

Zaduszki – Underground

Nie możemy na to patrzeć
– mówią umarli z cmentarza w Janowie, koło Sokółki.

Mamy wielką ochotę ocenić, pomimo tego, skorzystamy z prawa do
milczenia
– mówią umarli z cmentarza w Janowie koło Sokółki.

Naszym krzykiem zdumienia pozostaje cisza jak rozpacz wielka
– mówią umarli z cmentarza w Janowie koło Sokółki.

Najważniejsze, aby najważniejsze było najważniejsze
– mówią chłopci na cmentarzu w Janowie koło Sokółki.

* * *

Januszowi Andrzejczakowi

Sosny rosną ku Niebu. Przedziwnia.
Puszcza utkana jest wiatrem i mgłą. Łagodnia.
Żurawie odlatują i przylatują. Ulotnia.
Drogi i bezdroża. Powłóczystość.

Życie jest szczęściem. Tajemnia.

Jerzy Binkowski

Andrzej Książek

Aforyzmy

Niewykorzystane szanse mszczą się na ich autorze.

Nie ma głupich pytań. Są głupie odpowiedzi.

Mówienie o wodzie nie zaspokoi pragnienia. Jadłospis głodu.

Strzelec, który usilnie chce trafić, nie trafia do celu.

Z jaką łatwością dzisiaj twory wyobraźni stają się potworami wyobraźni.

Im mniej oczekiwań, tym mniej rozczarowań, więcej radości życia.

Brak zasad bywa też zasadą.

Cechą istotną miłości jest bezinteresowność. Miłość w połączeniu z interesownością jest prostytutką.

Lepiej być złej myśli, niż być pustym i bezmyślnym.

Poezja jest sztuką. Nie każda sztuka słowa jest poezją.

Historia uczy. Tylko uczniowie są niepojętni i mało rozgarnięci.

Pokora: Pochodzimy z wielkiej rodziny ssaków, do której należy wiele gatunków zwierząt. Nie przyznajemy się do rodzinnych koligacji.

Syndrom zamkniętego czajnika: Poeta im bardziej zamknięty, tym bardziej twórczy. Jego myśli same wylewają się na papier.

W dzisiejszych czasach sztuką jest – wyżyć ze sztuki.

Myślimy kategoriami ogólnymi, ale bezpośrednio znamy tylko szczegóły.

Stawiamy sobie życiowe cele, do których uporczywie dążymy. Ale często nie cel jest ważny, lecz droga prowadząca do celu.

Nadmiar wolności jak nadmiar czasu, bywa ciężarem.

Wiersze

Koniec epoki

Wojny i zniszczenia nie zakłóciły dobrego
samopoczucia.
Tych samych dążeń celów błędów
nieporozumień.
Wiara w postęp zastąpiła wzniosłe budowle.
Ciągłe byliśmy blisko. Słuchać szum.
Szelest przewracanych kartek.
Nieobcy był nam apolliński spokój
sokratejska pewność.
Granice były tuż za plecami.
Wzrok utkwiony daleko.
Zatrzymywał się na wzgórzu
piętrzących się przeszkód.
Utopie w dalszym ciągu wyznaczały kierunek
jazdy.

Bez atu

Nie w centrum
ale na obrzeżach.
Bez żądz i pragnienia.
Im więcej, tym lepiej.
Kiedy ustało wrzenie.
Pojawiła się przestrzeń.
Nad głową spokój nieba.

Ku życiu i śmierci

Piasek przysypuje się między palcami.
Chwila wraz z upływem czasu.
Spadający kamień
porusza lawinę.

Ex nihilo

Z powodu bądź bez powodu.
Jak ptak, który śpiewa.
Chwil danych spotęgowanych.
Sił przeciwstawiających się bólowi
istnienia.

Opowieść

Pole bitwy.
Jeszcze niedawno rosło tu żyto.
Bezskuteczne oczyszczenie umysłu.
Z nieczystości jakie niesie życie.
Wewnątrz gatunkowa walka o wszystko
i o nic.
To samo pomnożone.
Podniesione do potęgi
entej.

Pierwsze

Lubię jak śnieg pada.
Wtedy to ziemia cała.
Niewinna
nieskalana.

Śnieg topnieje.
Gdzieś widać
brunatne
plamy.

Andrzej Książek

Adam W. Kulik

czas hieny

nasze tytuły
nie mają już sensu
jesteśmy jak charty
po długim biegu
zlane potem
ból mięśni
codziennność oblepia nas
jak syntetyczny klej
pilnujemy ostatnich granic
to jeszcze z godnością
tamto poniżej
to jeszcze uczciwe
a tamto świństwo
które zgraja nazwie
biznesem

w pylonach powietrza

ten świat
to życie
jak witka wierzby w jasnym błękicie
w pijanych pylonach powietrza
śpiew
i kroki dziecka które nie zna nic
prócz ufności

w kobaltowej fali południa
mgielne ruiny jońskich miast
które porzuciło morze
miłość – w Efezie
ale też przenicowana – rytmy snu
coś co umyka
co zanika

jak ciała w sarkofagach Assos

w tuligłowie żagle słów
dziewczyna znikąd
w pełni kamienna

w lewackim raju

głupio tak być udając że wszystko
w porządku
kiedy nic – zupełnie nic
jak chętnie dałbym się oszukać
bodaj jednym słowem ciepłym

i głupio udawać że się wierzy
i wie inaczej
niż się wie
w środku ludzkich spraw
w środku śmiechu
kiedy
oczy zebrzą o cokolwiek

i głupio
że się jest
skoro jakby się nie było

a już najbardziej – głupio – pytać
znając odpowiedź
i umierać wielokrotnie
w słodkich uśmiechach zapewnień

w Tuskmenistanie

* * *

tak mało na nas dwoje
tak krótko dla nas dwojga
tak niepewnie

niespełna
nie do wiary

tak cudownie
dojrzewać
do życia
do pełnych lat
po ostatni oddech
oddychać pełną piersią

wiedząc

Jaś w garniturze za 10 000

pan premier ma murzynka
pan premier chwali murzynka
pan premier uwielbia murzynka
pan premier gna do murzynka na obiad
po autostradzie której zapomniał zbudować

murzynek budzi się
jest tylko kłownem
w cyrku pana premiera

pan premier nie lubi murzynka
pan premier popycha murzynka
pan premier ma w dupie murzynka
i trzydzieści osiem milionów też

w Tuskolandzie

Adam W. Kulik

Gabriela Kurylewicz

Wieczór Trzech Króli albo czego nie chcecie usłyszeć

Nie ma śniegu,
nawet garsteczki.
Chciwi zysku ludzie:
demagodzy, biznesmeni,
naśladowcy, wróżbici,
sprzedajni naukowcy,
fałszywi teolodzy,
celebryci, politycy
rozregulowali
duszę Ziemi.
Lasy wycięte,
rzeki zatrute,
morza zaśmieczone.
Od czterech miesięcy
trwa pożar Australii.
Od czterech lat
trwa pożar Amazonii.
Zginął miliard
zwierząt.
Zginą wszystkie.

To nie jest apokalipsa.
To jest bezdusznosc,
niedołęstwo
intelektów ludzi¹.

6 I 20

1 *Debilitas intellectuum hominum.*

Mgła i morze

Krajobraz blisko morza.
 Ścieżki, drogi, wzgórza
 rozmywa zmierzch.
 Biało-niebieska mgła
 idzie łąkami.
 Zimowe dymy z zagród
 ciągną się wzdłuż
 brzegów lasu.

Słowność i szczodrość
 niesie wiatr od wysokich
 drzew,
 a od skupisk ludzkich,
 oddalonych,
 podmuch wysypuje
 lęk, zawiść i zazdrość.

Proporcje zła i dobra
 są szyte cieniutką nitką.
 Ileż mądrości potrzeba,
 by nie popsuć ściegów?
 Uczę się czucia od mchu,
 traw, drzew i zwierząt.
 Pielęgnuję pamięć, fantazję,
 pilnuję, by się nie zgubił
 klucz do muzyki.

Kupiłam w Krokowej
 drabinę dwunastometrową,
 kupiłam rusztowanie, deski,
 piasek, glinę, wapno.
 Czyścimy, naprawiamy.
 Maria i Tobiasz – filolodzy –
 pomagają mi.
 Ważny jest każdy milimetr
 odnalezionej myśli.

Prawdziwe piękno
nie sprawia zawodu.
Patrzę w niebo i słucham
morza.
Jest marzec, jest sierpień.
Morze jest wzorem.

Karwia / Wierzchucino, 23 VIII 20

Fraszka dla Łukasza

Jesteś synem swojej Matki
a ja mojej Matki córką,
taka prawda jest.
Na całe życie zachorujesz
lub nie zachorujesz.
Potwierdzi to test genów
lub nie potwierdzi.
Jednak najważniejsze jest,
co zapiszesz w swoim zeszycie
własnoręcznie.

Umiej zapisać dobro.
Zapisz i dzięki temu zrozum
i odczuj, i poznaj w duszy,
bo tylko do tego
zapis może być potrzebny,
Łukaszu.

Szczęśliwy, kto ma –
lub miał przynajmniej –
do pomocy Ojca,
bo, uważasz –
tekst utrwalony pismem
nie jest pełnosprawny,
wymaga pomocy

muzyka interpretatora,
i zarazem filozofa,
nienagannie prawdziwego.

18 X 20

Gabriela Kurylewicz

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jutro

Któż nie chciałby znać jutra? Carpe diem...
Po cóż masz wiedzieć?
Byś umarł ze szczęścia,
lub pogrążył się w otchłani,
piekle, zmorze depresji?
Byś przestał śmiać się i widzieć kolory?
A żagle na wietrze, wodospady Niagary
nie robiły na Tobie żadnego wrażenia?
Byś nikomu nie ufał, nie dawał im wiary?
Nie wybawią one od smutku,
nie wyzwolą z labiryntów sieci pajęczej,
z odwiecznej opresji.

Quo vadis? Czego szukasz, wyglądasz?
Złota, wina, kadzidła, mirry?
Może władzy, celebry, pochwał, luksusu?
Czyż nie szmалу i szmiry,
pokłonów maluczkich, samouwielbienia?

Po cóż chcesz wiedzieć?
Czyż nie wystarczy zapach kwiatów,
Mona Lizy spojrzenie, szczytów Tatr,
Dolina Issy, majowe łąki mleczów pełne i żonkili
wczoraj, przedwczoraj, teraz, w tej właśnie chwili?
Bez nich nie zaznasz wytchnienia.

Quo vadis? Czego szukasz, wyglądasz,
gdy wszystko tak ważne,
lub całkiem bez znaczenia?
Błyszcz się, uwodzi, kołysz...

Zdrowia, piękna, młodości,
– ciało nieśmiertelności...

Nie oszukuj sam siebie, bądź uczciwy.
 Nie kłam. Mów tak – tak, nie – nie,
 Nie chodź ścieżkami krętymi,
 gdy do Domu prowadzi droga prosta.
 Nie wdawaj się w spory z głupimi,
 Bo na nic Twoje wywody,
 wyjaśnienia, rozprawy,
 nawet cięta i salomonowa riposta.

„Nie wydawaj duszy swej smutkowi,
 ani nie dręcz siebie myślami!”
 Bo radość serca jest chwilowa,
 lecz życiem całym dla kobiety,
 Po cóż więc dzisiaj żaba w (m)ężowi,
 gdy jutro na autostradę ruszy bez winiety?
 Radość męża przedłuża dni jego.
 Nie pytaj więc po cóż i dlaczego?

Żyj i daj cieszyć się życiem drugiemu.
 Okaż przyjaźń bliżniemu,
 a nie czekaj wzajemności.
 Ona wróci. Nie dziś, a jeśli nawet i nie jutro
 przyjdzie do Ciebie nieoczekiwanie.
 Bez przypomnienia, bez poklasku,
 w chwale, bez akcyjności.

Quo vadis? Czegóż tak szukasz, wyglądasz?

Dusz zmartwychwstania...
 światła, drogowskazu, szczęścia,
 oddechu, wody źródeł,
 toporów zakopania.

Daj się kochać i kochaj innych.
 Wielbij Stwórcę, nie bogów.
 Nie przestawaj śpiewać przy goleniu,
 nuć Prząśniczkę dzieciom,
 oddal wszystkich wrogów.

Miej przyjaciół wszędzie,
śmiej się.
Wczoraj było, dzisiaj jest,
jutro może będzie...
Więc nie pytaj o nie.
Ono Twym odbiciem,
blaskiem, cieniem.
Chwilą, nicością,
marzeniem.
Mocą
słabością.
grzechem,
modlitwą,
kolędą,
porażką,
spełnieniem.

Czynem,
tęsknotą
wiecznością,
lustrem,
miłością,
pierwszym
i ostatnim
tchnieniem...

Warszawa, 23.12.2020

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Piotr Müldner-Nieckowski

Ból

Kiedy wybuchał Wszechświat
by powstać i w niebo się rozłożyć
nadzwyczaj było cicho
tak strasznie cicho że nawet
nie był słyszalny – ze swym jękiem – ból
i żaden z nim pył – niewidoczny nawet z bliska
przecież – by słyszeć – nie było uszu oczu
(ja – głuchy – wiem co to słuchanie żrenicą)
a jednak z tym bólem kłuło się maleństwo
rześki pęcherzyk i rósł i niósł swą drobinę
coraz grubszy by wygrać wyścig z czasem
by wreszcie się dzielnie naprężyć
i wyjść z najpiękniejszym krzykiem ulgi

Mariusz Olbromski

Wiersze wyszogrodzkie

Pieśni

Wrosłem w twoje pieśni rzeko
od dzieciństwa wszystkie je znam.
Dziękuję, że mnie ciągle uczysz
jak w słońcu, w chmurach trwać.

Lubię, gdy dobry nurt twój płynie
przy mnie blisko, lecz gdy daleko
słyszę nadal szept twoich fal.
Zrodzone w tobie wschody Wisło
wędrują ze mną wszędzie w dal.

Piękny twój pałac z dachem gór
z ruchomą podmurówką słonych fal.
To szczęście żyć w twoich komnatach,
ciągle wędrować, wciąż się trudzić,
układać strofy jak pradawny bard.

Konfederatka

Wyspo tajemnicza z zapadłą zagrodą,
zarośnięta łożyną, okrążona wodą,
z legendą wiszącą jak blask o poranku
o tych co spod Baru palili ogniska,
walczyli o wolność na twym piasku.

Patrzę na ciebie z wysokiego brzegu,
na wronie gniazda w iwach zawieszone,
na zarośnięte niwy opuszczone,
sad, który zdziczał, dawno zarósł.
Na kurhan, który co rok zalewają wody.

Któż dziś odtworzy pogłosy bitewne,
szczęk szabel, głosy – rżenie koni.
Palby – świst kul – dymy z dwururek...

Przeszli – minęli – jak mgły ponad wodą.
I tylko nadal trwa ta nazwa
jak pieczęć serc miłością złączonych.

We mgle

A teraz wielka rzeka znikła całkiem,
kępy, miasteczko, smuga mostu.
Mgieł mlekiem wszystko już zalane,
istnienie znikło nagle i po prostu.

A teraz z ulic całkiem nic już nie ma.
Przepadło to, co było zwyczajnością.
Obraz rozpułynał z rana się w nicości.

Może tak kiedyś zniknie wszystko
mgła ostatecznie pamięć też pokryje:
twarze, rozmowy – wszystko.
I nic nie będzie w pełni już tak pewne,
co teraz całkiem jest tak oczywiste.

A tylko falą wielką światłość czysta
zaleje nas kompletnie błękitną miłością.
I nieskończoność tylko nam zostanie
przesiana dziwnie łagodną dobrocią.

Ale obrazy to – niepewne – zwiewnie,
niejasne lecą s t a m t ą d wieści,
jak wielorybów pieśń głębinna
z nieprzeniknionych mórz tajemnic.

17 X 2020

Pod skrzydłami żagli*Pamięci Leszka*

Na naszej Wiśle pięknej jak sen
 pamiętam pod żaglami ten dzień,
 gdy trwał w porywach szkwałów
 rejs wśród szumu fal i krzyku mew.

Wciąż rosły grzywy, tężał wiatr,
 kilwater kipiał, liny zaczynały grać.
 Brzeg mijał, Czerwińsk witał nas.
 Słońce – radość – cudowny czas.

Do końca nic w nas nie przepada,
 ukryta rzeka zdarzeń ciągle płynie,
 też pięknych – dawnych – złotych.

Niekiedy później widać lepiej,
 więzi duchowe łączące na łodzi,
 pośród żywiołów, komend, zwrotów.

Na jednym żaglu*Urszuli*

Płynę na jednym żaglu, drugiego mi brak.
 Życie się zapętiło, widocznie ma być tak.

Jesteś daleko, czas mija jak rzeki bieg.
 Dawno słońce zapadło, a nie przychodzi sen.

Gwiazdy te same nad nami, konstelacje niepojęte.
 Jakoś przy sterze trwam, węzły spraw rozplątuję,
 płynę i płynę wciąż wśród nurtów zmiennych.

Tylko oczy mijam nad wodą i jakieś maski
 czasem suną obok liczne łodzie ciemne.
 Przepłynęło się kiedyś przez stan wojenny,

to i teraz poprzez zarazę może się przebrnie.
Czasem wiatr siada, w miejscu żegluję
jest tak jak jest, trzymam się całkiem nieźle.

Przypowieść o porcie

Marysi

Są. I próżno wypatrują portu,
daremnie poszukają smugi brzegu.
Któż wie kiedy spotka rozbitków
tonących także na lądzie, tuż obok
w przeciągu zdarzeń, ulic tunelu.

Niesie ich ciemna burza zdarzeń.
Trwają na kruchych tratwach serca.
Chwila grozą narasta, wymyka się
nagle z rąk ostatnia nadziei deska.

Patrz w bezmiar dnia i nocy,
by ujrzeć może także obok
łupiny zza horyzontu płynące.

Przemień się dla nich w smugę lądu.

Czasem nawet drobny gest,
dobre słowo – może być portem.

Mariusz Olbromski

Alicja Patey-Grabowska

Nirwana

Czy to możliwe?
Sen czy jawa?
Wskazówki odpadły
z zegara
i zawieszony w próżni
czas

Czy to możliwe
co rodzi się w nas?
Szczęście
niepokój
nienasycenie
minuta, wieczność?
więcej
więcej
i w mgle toniemy
co kształty owija
Bez początku
końca
Bezczas
Nirwana

Ze zbioru „Znaki zodiaku – miłość pisana wierszem”.

Pieniądz

Już mięso wietrzą muchy i szakale
Pieniądz – bóstwo wietrzą muchy i szakale
już ostrzą zęby szczury i lamparty
na pieniądz

Ile krwi z żyły Kain Abła
Ile krwi z żyły pierworodny ojca

pieniądz o pieniądz wyostrzone pyski
na Pieniądz

I posiał Pan ciemności niezgodę wśród ludzi
słowami: „To będzie twoje, a to moje”
Zaprzęgly się psy w żelazne łańcuchy
pilnować szczekiem
Pieniądz

Ze zbioru „Poezje wybrane” (LSW 2020)

Nie wierzysz?

Nie wierzysz w Światło?
Twoja sprawa

Zaufałeś ciału
Wybrałeś mrok

A do kogo się zwrócisz
gdy ból
rozszarpie mózg
i samotność
w szpitalnej bieli
zakryje oczy?

Tylko On
pochyli się nad tobą
i zdejmie
twój szyderczy śmiech
w ostatniej minucie

Perpetum mobile

I
Zawsze tak samo
Tak samo zawsze
 Toczy się koło
 od zarania wieków
I przemijają

i zmiążdżeni czasem
ludzie
zwierzęta
rośliny i góry

Katedry wzlotu
rozsypane w bagna
Odór rozkładu
więc po co zabiegać?

Dziecko za rączkę
wiedzie – dokąd? – matka
Starzec na siłę
chce przytrzymać młodość
szarpie
kąsa
wrywa się
umyka
Zostaje z pustką
i bijącym sercem

To lęk tak dusi
ściska jak kowadło

A więc codzienność
Rytuał czynności
Praca zbawieniem
Rodzina – krąg zbawczy

A gdy samotność
choć pieska przytulić
odepchnąć koniec
na samo dno myśli

II
Byli. Minęli
Czy Neandertalczyk
tak samo bał się
jak brat homo sapiens?

Patrzył na księżyc
rankiem witał słońce

A dinozaury
czuły posmak śmierci?

Ziemia – Historia
jak księga otwarta
i zawieszona –
balon na uwięzi
gdzieś na ramieniu
mlecznej galaktyki
wśród ognia i gwiazd
wybuchów płomieni
czarnej materii
energii czarnej
Ona – taka swojska
dobrotliwa Ziemia
szepcze do ludzi:
– Cieszcie się życiem
To Cud
Łaska Nieba
Tam ogień Pustka
Czyha Czarna Dziura
co wszystko pożera

III
Pędzi Andromeda
i Mleczną rozszarpie
za 4 miliardy
za 4 miliardy
Nie myśl:
Co to będzie?
Bo Ciebie nie będzie
Wyłącz mózg
jak światło
I w dłoniach sekundy
przyciśnij do ust

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

* * *

wspomnienie
wśród opadłych liści
gubi się trop

* * *

pierwsza gwiazdka
ciągle więcej i więcej
niż kilka lat

* * *

numer z notesu
w Dniu Nauczyciela
jej drżący głos

* * *

droga do ciebie
nad szczytami drzew i gór
wije się mgła

* * *

w dali niebo
ściele się po horyzont
ozimina

* * *

ostatnie jabłko
kołysze się i kołysze
za oknem wiatr

Jan Krzysztof Piasecki

Trzy wiersze z Ludomirowa

* * *

Miasto boli.
Wieś powoli
odwraca skiby
obraca młyny.

Miasto huczy.
Na wioskach dudnią traktory
kombajny zboże młóćą
śpiewają piły
zawodzą wichury
w dzień gadają ludzie krowy konie
nocą psy
rano koguty.

Miasto dyszy.
Wieś łąką zagonem oddycha
balsamy lasu na piersi kładzie.

Miasto pędzi.
Wieś przyśpiesza na siewy żniwa wykopki
zwalnia wieczorami
zimą przysypia
rytm roku stroi.

Miasto kroczy.
Ludzi ze wsi przyciąga połyka
pod wioski podchodzi
przedmieściami je czyni
parcele wytycza betonuje zaludnia.

Ktoś z miasta umyka
za wsią pod lasem osiada
dom ogrodem otacza
płotem zamyka
psa puszcza.

* * *

Beethoven struga kwartet
i burza nad Podlasiem,
wiedziałem że cię stracę.

Ćmy tańczą przed ekranem,
jedną w palce złapałem –
to ty czy ja?

Ludzie jak wykałaczkci,
wyrzucasz je zużyte –
i twoja kolej przyjdzie.

Wieś zielona kolonia
kręgiem drzew otulona;
dom, sad i łąka. Raj.
Tu nie pasuje łąza,
tutaj powinien stać Jan z Orzeszkowej Elizy
nad Niemnem ogorzały ze swoją szlachcianeczką.
Tymczasem stoję ja –
kołek z wiejskiego płota
wycięty z miejskiego pnia.

* * *

Atramentowe chmury plamią późne niebo.
Olchowe ażury, kopuły lip gasną, sokora wyciąga nagie konary ku
ciemniejszącej brzezynie, pejzaż traci szczegóły i barwy.
Wiatr dłońmi świerka igra w półmroku.

Niebo jeszcze się trzyma, znad olszyny co czarne koronki straciła szara
ławica wstaje.
Łąki prawie nie widać. Kontur sokory ciemnieje na draperii nieba.
Fale chmur wezbrały, zamknęły nieboskłon, poblask nad olszyną
rozpuszcza się w mroku.

Jan Krzysztof Piasecki

Krzysztof Saturnin Schreyer

Błękit nieba

Kiedyś powiedział poeta
myśl mądrą dla zrozpaczonych,
tą prawdą byłem wzruszony,
ja smutas i wierszokleta:
„Wszędzie jest błękit nieba
jeno nad chmury wzniesć się potrzeba”

Teraz gdy lat mi przybyło,
jakieś mnie лихо skusiło,
by myśl tę czytać na nowo
pojmując ją naukowo.

Ten błękit nieba, niestety,
nie długo trwa, bo rakiety
wzbijają się coraz chyżej,
wciąż wyżej, wyżej i wyżej
i kosmonauty widokiem
jest niebo zasnuć mrokiem,
a potem czerń jest nad czernie.

Aby opisać to wiernie,
muszę o gwiazdach jak ćwieki,
wyraźnych, choć tak dalekich,
wspomnieć i zadać pytanie:
Co w naszym życiu się stanie,
gdy błękit prawem natury
zaniknie w drodze nad chmury?

Prawdy wielkie i natchnione
mają swoją drugą stronę.

Ja Poety słowom wierzę,
lecz myśl jego tak poszerzę:

W górze – mówi nam nauka –
niech błękitu nikt nie szuka.

W sobie, w sobie znaleźć trzeba
ten ukryty skrawek nieba
oraz gwiazdę wśród gwiazd wielu,
aby za nią iść do celu.

19–25 XI 2017

Jak przed wiekami

Nauka osiągnęła szczyty.
Wiele jest rzeczy nie odkrytych,
ale to wszystko co wiadome
odległe jest jak góry strome,
które by poznać i podziwiać
długo iść trzeba, pokonywać
równania długie i piętrowe,
trudząc nie nogi, ale głowę,

lub w batyskafie statystyki
błądzić w odmętach genetyki,
z informatyką za pan brat
w chaos obliczeń wchodzić świat.

Człowiek w zielone patrzy oczy
i jak wiek temu coś go mroczy,
bo aktualne wciąż te same
rymy i oczy zadumane.
Jak w dawnych czasach tak i teraz
pragnienie wielką falą wzbiera.

Chociaż nauka wytłumaczy,
cóż to się dzieje i co znaczy
jakie hormony, jakie nerwy
prowadzą do miłosnej werwy,
to cóż mi po tym? Jak przed wiekiem

człowiek tym samym jest człowiekiem.

Minęły długie lat eony,
a on jest wciąż zauroczony,
przynosi kwiatek, klęka ślicznie,
aby ją zdobyć strategicznie.
Nie skąpi trunków i wywarów,
albo ucieka się do czarów.
A gdy obyczaj mu pozwoli
napadnie, porwie i zniewoli.

Prawda to przecież oczywista,
że tu bezradny jest noblista
i bywa, bardziej jest banalny
niż ten, co w puszczy tropikalnej
twarz swą jaskrawo koloruje
śpiewa i tańczy i harcuje,
a gdy obyczaj mu pozwoli
napadnie, porwie i zniewoli.

U wielkich ludzi często widzę
podobne harce. Czy się wstydzę?
W walkach wzrastały pokolenia,
wygrywał ludzki umysł, który
zastąpił zęby i pazury.
Zdradzę wam prawdę o człowieku –
jest wciąż człowiekiem – w każdym wieku!

8 I 2018

Małżonkowie

Nie trzeba balowej sali,
ni kandelabrow, ni wina,
gdy ona w nim zakochana
i znów się w tańcu spotkali.

Nieważne, jakie są ściany,
świeca, czy lampa tuż świeci,
sobą, są sobą przejęci.
Bo on jest w niej zakochany

i stale odkrywa od nowa
jej zapach słodki, wiosenny,
uśmiech ten sam, wciąż promienny
i cicho szeptane słowa.

A każdy ruch, przytulenie
piersi do piersi niewinne
to dreszcze są nieomyłne
i wabi jasne spojrzenie.

Wirują, wirują, jak we śnie
złotym jak złota pochodnia
Choć obejmują się co dnia
to nigdy nie jest jak wcześniej.

Wciąż nowe, nowe figury,
wciąż nowe, wielkie zdziwienia,
gdy złote skrzydła pragnienia
wiodą w doliny i góry.

Skąd ciągnął sen, co zachwyca,
dlaczego z bliska, czy z dali
są stale siebie zgłodniali?
To magia, to tajemnica.

22/23 X 2019

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

List do ciebie

Gadatliwi mówią językami wszystkich ludzi
ambitni mówią językami aniołów
żądni władzy prorokują
twierdzą że znają wszystkie tajemnice
posiedli wszelką wiedzę
wiara w postęp zdaje się przenosić góry

hipokryci rozdają jałmużnę
miłosierni całą swoją majątność
zgubieni i słabi wystawiają ciało na spalenie
z nadzieją wynagrodzonego męczeństwa
bardzo wielu z braku miłości
uważa że są niczym

to błąd perspektywy
bo widzimy jakby w zwierciadle i niejasno
ale innego obrazu nie ma i nie będzie
teraz poznajemy po części i marnie
ale jest tylko teraz i nic nie trwa wiecznie
poza złudzeniem wiary nadziei i miłości

Uwaga

*Życie to ciągle odwracanie uwagi,
które nie pozwala nawet zastanowić się,
od czego ono tę uwagę odwraca.*

Franz Kafka

Teoretycznie jest to możliwe
statystycznie rzecz ujmując powinno się zdarzać
przynajmniej raz na jakiś czas

czy widziałeś człowieka z aktówką
który szybko przechodzi ulicę
a po drugiej stronie nagle staje
z nisko pochyloną głową

czy widziałeś dziecko
w szale radosnej gonitwy
które nagle przerywa zabawę
kładzie się na ziemi w zadumie

czy widziałeś wrzeszczącego kibola
który po rzuceniu kilku petard
siada cicho na ławce
nagle zamykając się w sobie

czy widziałeś zapaśników
kochanków żołnierzy lub księży
którzy wybrali wahanie i namysł
przerywając rutynę i bezpieczny ruch

teoretycznie jest to możliwe
statystycznie rzecz ujmując powinno się zdarzać
a jednak nie

Jerzy Śleszyński

Konrad Sutarski

Jakże skarłałeś świecie

Jakże skarłałeś świecie kiedyś tak potężny
wystarczy włączyć telewizor komputer
aby cię w przeciągu sekund okrążyć
ale i ogromny pozostałeś niepokojem myślą złowrogą
przed którą drży człowiek i zwierzęta drżą
Co niesiesz – upały suszę pożogi
to znów powodzie i wichry co dachy zrywają
i bronią pęczniesz choć ją ledwo dźwigasz
Kiedyś wodę źródlaną chłodny powiew wiatru niosłeś
mlekiem wilczycy chłopców karmiłeś
niegdyś był to wiek złoty co w zapisach przodków pozostał
kiedy dobro jeszcze jak równy z równym walczyło ze złem

Dziś już tylko dęby baobaby to wiedzą
jedynie szamani zauważają w chwilach najwyższej ekstazy
czasami archeolog natrafia na uśmiech zastygły w kamieniu
jedynie oni są świadkami dziejów już przebrzmiałych

Jaka będziesz zatem przyszłości nasza
czy też jak karzeł mała i złośliwa
zaplątana w wojny w nienawiść narodów
gdy ostatni człowiek umrze na śmietniku
bo i oddychać nie będzie też czym
ty zaś już potem samotnie doczekasz
dnia apokalipsy
by sąd ostateczny odbył się nad tobą

2018

Dokąd gnasz Europo

Dokąd gnasz Europo w tym potwornym zamęć
jaki to byk porwał cię i uwodzi

najpiękniejszą kobietę świata
która spłodziłaś Dantego i Schillera
stworzyłaś Akropolis Louvre i wyspę Capri
któraś krzyż dźwigała aż do naszych czasów
by go obcy teraz zrzucali z pomników

To nie Zeus cię porwał
nie Zeus cię niesie w dal nieskończoną
a oni z półksiężycem
i wiarą wrogą wszystkim innym wiarom
to oni już dwukroć próbowali cię porwać
gdzie jesteś Karolu Młocie gdzieś Janie Sobieski
aby ustrzec cię by cię znów obronić

To ty sama ich zapraszasz
sama ich uwodzisz
ich statki do swych brzegów ciągniesz
chlebem solą ich częstujesz
by cię potem zbiorowo gwałcili
aby ich kultura twą kulturą była
byś i ty w burce chodziła

Już nie jesteś taka piękna
i taka ponętna
już na tobie ślady soclib prostytutki
a za lat ileś zgłiszczą po tobie
i swąd spalenizny zostanie
nad nimi zaś krążyć będzie orzeł
gniazda nie znajdując

Pali się Notre Dame

Pali się Notre Dame płonie Europa
w płomieniach czezną historia i krzyżę
a tłumy gapią się wokół bezradnie
i klękając w spóźnionej rozpacz
modlą się słowami zapomnianych pacierzy

ręce wznosząc do zarządzającego się Boga

A gdzie strażacy obrońcy dusz i sumień
oni już meczety wnoszą
bezpłciowe dzieci uczą co to gender
jak może zapładniać mężczyzna mężczyznę
aż lesbijki przystają zdziwione

Zaś półksiężyc na niebie
błyskawicą „Allah akbar” rysuje
ziemia drży w przerażeniu
i zalewa się deszczami wichurą szalejąc
Boże chociaż płoniesz
użycz nam swej siły

IV 2019

Co przyniesiesz wieku

Co przyniesiesz wieku
ty dwudziesty pierwszy
jakie niespodzianki gotujesz nam jeszcze
ziemia już teraz cała drży w posadach
wulkanami wybucha wysyła tajfuny
a na wszech kontynentach
 lasz płoną ogniami sprzeciwu
i oceany rzucają się wodami na lądy
 wściekle atakując i miasta i ludzi
zaś wirusy chińskiej zarazy niby chmury komarów
 klębią się wokół w powietrzu
 szczerząc zęby słońce przesłaniając
 pohukują kłając śmierć niosąc

Co przyniesiesz nam jeszcze
 wieku ty dwudziesty pierwszy
nowe wojny półksiężycu
z płonącym wraz z katedrą krzyżem
popłoch niesiesz ludy do ucieczki zmuszasz
suszę i głód rozsiewasz po azjach afrykach

by tłumnie tu wędrowali
uczepieni strzępiastych krańców Europy
popychani z tyłu gromadzili na Bałkanach
aż ziemia ugina się pod tym ciężarem
i dzwony w kościołach aż biją na trwogę

I co przyniesiesz jeszcze
 wieku ty dwudziesty pierwszy
jak cię zapamięta historia i ludzkość
co ostatek się z przerażenia z zamętu
czy znów jakiś Neron z lutnią
 bawiący się pożarem Rzymu
bądź Napoleon co świat chciał wziąć w posiadanie
 a zgłiszczą po sobie zostawił

Jak długo będziemy

Jak długo będziemy mogli stąpać po tobie
 Europo chrześcijan
jak długo rozbrzmiewać jeszcze będzie
 głos kościelnych dzwonów
do kiedy stać będą te święte miejsca
wznoszone wyobraźnią Buonarrotiego
a malowane ręką Michała Anioła

Jeszcze stoją po wsiach
przydrożne figurki zafrasowanego Chrystusa
zbołałej Matki trzymającej w ramionach
zmarłe ciało za nas jak często krzyżowanego
ono jeszcze tylko dzidą zostało przekłute
 lecz nie rozbite jest nie sprofanowane
 całe

Widziałem już jednak płonące katedry
mordowanych księży druzgotane ołtarze
widziałem jak obce duchem tłumy
plugawią pomnik nawet polskiego papieża

choć wiwatowały gdy niósł wolność światu
 teraz łuną przecinają gardło krwawiącemu się niebu
 za nic mają historię tej ziemi
 jej przeszłość wielkość i chwałę

Jeszcze my co poniektórzy
 chcemy klękać na niej
 żegnać się i modlić
 i strzec jej jak dawniej
 by nie stratowały jej tabuny
 obcych wiar i racic
 i nie pogrzebała nienawiść naszych
 zrodzonych na zachodzie braci

listopad 2020

Zaczęło się od ciszy

Zaczęło się od ciszy
 niesamowitej głuchej przenikliwej ciszy
 której nie można było wytrzymać
 poza tym pustka była i nicość
 Cisza ta potęgowała się pęczniała
 aż wreszcie pękła
 rozsypując się po niebie gwiazdami
 Bóg musiał schować się głęboko
 by go odłamki tych olbrzymów nie zatłukły

Tak powstał wszechświat
 z pustki i nicości
 z nich ukształtował się człowiek
 by w tej pustce i nicości
 nauczył się odróżniać dobro od zła
 i życia w świetle z dala od ciemności

Dlatego długo trzeba było czekać
 lat tysiące
 wszczynać wojny nie do wygrania

by zgłiszczą po nich i ruiny zostawały
upadki państw wędrówki ludów
aby ludzkość rozwinęła się wreszcie
w kłębowisko ras kultur i nędzy
a media w poprawność kłamstw
gdzie nikt już nie odróżnia dobra od zła

i tak nastała cywilizacja chaosu
gdzie pieniądz stał się największą potęgą
ziemia i wody musiały się mu podporządkować
i powietrze mu służyć
by on był jedynym strażnikiem chaosu
i ludzkiej nędzy

Kiedy już i cała ludzkość przejęła ideę chaosu
a chaos nadal potęgował się i pęczniał
pękł wreszcie z nadmiaru pychy
i rozpadł się w pustkę i nicość

Bóg uznał że owa pustka i nicość
doskonalsze są od chaosu
wyszedł wtedy z ukrycia
i z ulgą odetchnął

2020

Konrad Sutarski

Zofia Zarębianka

* * *

Trzy tygodnie
Nad morzem
Zapisują wspomnienia
Na przyszłość
Gdy staruszka
Unieruchomiona w fotelu
Wróci pamięcią
Do szerokiej plaży
Do wiatru na policzkach
Powiewu we włosach
Do jego dotyku na skórze
Zanim odejdzie

* * *

Łąkowo przydrożnie
Czerwcowo
Lecz trwożnie
Trwoga wysoka
Osika na wietrze
Bezsennie szeleszcze
I deszcze z obłokiem
W czereśni

* * *

A jednak czasem trafiają się
Ugory
Ziemie stwardniałe
Rolnika staraniom
Oporne

Kamieniste gleby
Gliną podbite
I błotem
Co wtedy?

* * *

Nie bez światła
Nadziei
Przecież
Choć mrocznie
I deszczowo
Błask na wodzie

* * *

Na ziemi
Znacę ślad
Pośród wysokich traw
Niezauważalny
Rozwiany przez wiatr
Przez deszcz rozmyty
Przez strumień zalany
Ku bramie
Porwany
W obłoku skłębiony
Znikniony

Na progu

Stałam na progu śmierci
Stałam już u jej bram
Na szczęście były
Zamknięte
A więc nie weszłam

Tam
Czy odzyskałam siebie?
Czy zmarnowałam czas?
Klepsydra przesypuje
Żółty wilgotny
Piach

Zofia Zarębianka

Janusz Andrzejczak

Ktoś

To jest miejsce zaledwie w pół mojej drogi: wystarczająco dalekie, ale jeszcze nie najdalsze. Prawie nigdy nie wyruszam rowerem po „dalekie”, zawsze po – „najdalsze”. Bywa tak, że z powodu wyczerpanych sił albo ograniczonego czasu zmuszony jestem do „dalekiego”, ale gdy tylko je osiągnę, ruszam dalej, zawsze kończąc w „najdalszym”.

Nie, nie mam na rowerze licznika przejechanych kilometrów, bo i po co? Co miałbym niby z tymi kilometrami zrobić? Wrócić do domu, spojrzeć, zadziwić się i przybrawszy pozę supermana pomyśleć o sobie, jaki to jestem dzielny?! Albo notować w kajecie, umieszczać w rubryce, robić bilanse – tygodniowe, miesięczne, roczne? Po co?! Co niby miałyby wynikać z – dajmy na to – przejechania tego a tego dnia trzydziestu kilku kilometrów, a w tygodniu dwustu? Jak zmierzyć i po co przebytą odległość po drogach, duktach, bezdrożach lasów? Czy w ogóle da się zmierzyć licznikiem omijane przeszkody, zmęczenie, zmaganie z wichurą, oślepienie słońcem, przystanki z oparciem o drzewo, dokuczliwość owadów, niemożność przejechania przez piachy, omijanie kałuż, i tak dalej, i tak dalej...?! Ale nawet gdyby dało się to zmierzyć jakimś chińskim instrumentem umocowanym opaską na przedramieniu, to co miałyby z tego wynikać?! Może warto byłoby spotykać się z kimś, by się porównać, tylko – po co?!

Jesteś po sześćdziesiątce, masz chore serce, masz bajpasy! Wyhamuj, skończ z udowadnianiem sobie, że potrafisz, że dasz radę!

Co za bzdury!

Niczego nie rozumiem, niczego, ni-cze-go!

Jadę, pędzę, bo tylko wtedy czuję się wolny, a najbardziej wolny wtedy, gdy jest najtrudniej.

Ale i tego nikt nie rozumie. Nikomu się zresztą z tego nie zwierzam, ale zdarza się, że ktoś widzi, obserwuje, pyta.

Dokąd tak Pan ciągle jeździ?

Bywa, że po zakupy, ale najczęściej – w lasy – odpowiadam.

Do lasu?! To w grudniu są jeszcze grzyby?! – dziwią się.

Na to już nie odpowiadam, bo i tak tego pytający nie pojmie. Wypowiedzenie choćby jednego słowa wyjaśnienia nie ma sensu. Szkoda na to nawet oddech brać. Szkoda na to nawet jednego słowa. Może być tak, że mamy w życiu określony limit słów do wypowiedzenia i zabraknie tego jednego, jedyne, na samym końcu. Mówię więc tylko:

Jadę!

I znikam.

Zawsze, gdy wyjeżdżam na tę leśną drogę, daleeeekko przed sobą widzę ludzką postać. Bywałem tam już nieskończoną ilość razy, a ona, ta postać, zawsze tam stoi.

Jadę w swoim tempie i widzę ją, widzę... Aż przestaję widzieć.

Gdzie jest ten ktoś?!

Pieszy? Rowerzysta?

Dojeżdżam do widzianych w oddali brzezin, do tych sosen, a tu... żadnego człowieka, żadnej postaci!

A może to było drzewo? Albo krzak jałowca?

Tylko że wzdłuż drogi jest poboczne mszyste i drzewa rosną w głąb, w pewnym oddaleniu.

Co zatem to jest?!

Albo – kto?!

Może to coś, albo ktoś, z lasu, z samej jego istoty?! Może pod mchem mieszka, może jest porostem, konarem, może jest drzewem, które wychodzi mi z lasu na spotkanie?

Dziwne to, przedziwne...

A może to... ja jestem tą postacią?!

Jeśli tak, to zbliżam się, zbliżam do samego siebie, by na końcu zniknąć. Nie sądzę, bym był schizofrenikiem, paranoikiem.

Jeśli jestem schizofrenikiem, paranoikiem, to cały las nim jest.

Tak, gadam z drzewami, a one gadają ze mną.

O sobie mi opowiadają, a ja im opowiadam o sobie. Bez słowa.

Opowiadają mi o tym, jak kiedyś rozmawiały z szyszką, aż do jej rozwarcia i jak wtedy osunęły się, by ulecieć skrzydłato, a w końcu – by opaść w runo. Już, już miały zmarnieć w skwarze lata, gdy wdeptał je w ściółkę jelen. Z poranną rosą napęczniały, wypuściły korzonki i kielki. No, a później, to już wspinały się do nieba. Przyrastały im słoje: jeden, drugi, pięćdziesiąty ósmy... Wiele widziały! Wszystko to miały zapisane w słojach:

zimy, wiosny, jesienie, lata, ulewę, śnieżyce, roztopy, dziada leśnego z wielkim tłumokiem na plecach, zbója czyhającego na karawany kupców, powstańca, partyzanta, samobójcę, który już przerzucił sznur przez konar...

Może jestem tym, który zapisany jest w słojach drzew.

Jestem zbójem, dziadem leśnym, partyzantem, może konarem, który złamie się pod ciężarem niedoszłego samobójcy.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Choiński

Przygoda kolejowa Stanisława Altmana

(fragment powieści *Polski los*)

Tego dnia sędzia Altman przyszedł do biura wcześniej, podpisał kilka pilnych dokumentów, wydał dyspozycje na czas swojej nieobecności związanej z podróżą służbową do Borysławia, po czym spakował niezbędne papiery. Zamknął skórzaną teczkę, rozejrzał się po gabinecie, stwierdził z zadowoleniem, że nie zostawia po sobie nawet cienia bałaganu i już miał wychodzić, gdy do sanktuarium zwierzchnika wpadł rozpromieniony zastępca, ledwie zapukawszy do drzwi.

– Dzień dobry, panie prezesie! – wykrzyknął od progu. – Przyszedłem panu podziękować!

Altman nie lubił wszelkich eksplozji uczuć, pozytywnych czy negatywnych, należał bowiem do ludzi ceniących sobie umiarkowanie i zrównoważenie. Zapytał z nieco kwaśną miną:

– A cóż to wprowadziło pana w taki entuzjazm?

– Czy pamięta pan tę ćwiartkę losu, którą pan mi odsprzedał?

Owszem, pamiętał. Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej szukał w obecności doktora Walskiego czegoś w szufladzie biurka i trafił na kupon Loterii Państwowej, który – jak to się mówi – „trzymał” od kilku lat, nie wygrywając z rzadka nic poza stawką, czyli równowartością wpłaconej za czwartą część biletu sumy. W odruchu niechęci, na pytanie podwładnego: „O, co to? Gra pan na loterii?”, odrzekł nieco opryskliwie:

– A tak, gram, gram i nic nie wygrywam, tylko stawkę co parę miesięcy. Zastanawiam się, czy taki wydatek ma sens, bo to tylko obciążenie budżetu domowego, rzecz niebagatelna przy dzisiejszych kłopotach kryzysowych.

Na co Walski zaproponował:

– To może ja odkupię od pana tę ćwiartkę?

A on zgodził się bez namysłu.

– No i co? – zapytał teraz.

– Niech pan sobie wyobrazi, że na ten los padła wczoraj główna wygrana! Stałem się właścicielem dwudziestu pięciu tysięcy złotych!

– Gratuluję, panie kolego – wycedził Altman przez zęby.

Od dawna nie był tak zły. Dwadzieścia pięć tysięcy, umieszczone na procent w PKO, zapewniłoby im w regularnych odstępach przyzwoite uzupełnienie budżetu, bez konieczności liczenia się z każdym groszem.

Pożegnali się oficjalnie, Walski był speszony (chyba po niewczasie zdał sobie sprawę ze swojego nietaktu), Altman jeszcze bardziej oschły i lakoniczny niż zwykle.

Wyszedł na zaśnieżoną ulicę, rozbrzmiewającą dźwiękiem janczarów zdobiących uprzęż koni dorożkarskich, i wdychając ostre powietrze uznał, że nie powie Zosi o niczym, żeby jej nie martwić. Trudno, stało się, cała sprawa to zwykły, nieprzyjemny figiel losu i tyle.

W domu czekała na niego spakowana walizka i obiad podany natychmiast, żeby nie opóźnić wyjazdu na dworzec. Tak, Zofia była wzorową żoną i panią domu – dokładną, systematyczną i dbającą o ład w ich wspólnym życiu. Gdybyż jeszcze nie to wielogodzinne „pichcenie się” przed każdym wyjściem... Stłumił westchnienie: nie ma ludzi bez wad, a ostatecznie czy i on sam był ich pozbawiony?

Zamienili kilka zdań o kłopotach Bronisława Korowskiego, brata Zofii, niesłusznie oskarżonego o spowodowanie strat finansowych i zagrożonego utratą pracy.

– Moja kochana, może nie powinienem tak mówić, bo to przesąd, ale jednak... Prawda jest jak oliwa, zawsze na wierzch wypływa – zakończył sędzia, wstając od stołu.

Miało to uspokoić Zofię, w głębi duszy nie był jednak pewien, jak rzeczy się potoczą. W tramwaju intensywnie rozmyślał nad wyjściem, które przecięłoby definitywnie węzeł podłości. Kiedy już coś mu zaświtało, musiał wsiąść i pochłonęły go problemy związane z podróżą.

Przyjechał dokładnie kwadrans wcześniej, jak zwykle. Kroczył spokojnie za numerowym niosącym jego bagaż w stronę peronu, z którego odchodził pociąg do Lwowa. Grupki osób, żegnających członków rodziny czy przyjaciół, tarasowały miejscami drogę, co wymagało kluczenia między nimi. Altman, uderzony atmosferą pewnej nerwowości, jaka panowała tu wyraźnie, pomyślał, że pasażerowie nowoczesnych środków lokomocji tkwią jeszcze w przyzwyczajeniach rodem z poprzedniego stulecia.

– To tu, wielmożny panie! – wysapał tragarz i otworzył drzwi wagonu.

Walizka nie była szczególnie ciężka, ale ten człowiek miał już swoje lata i nie wyglądał na Herkulesa. Zwisające smutno wąsy nasuwały myśl o bohaterach Sienkiewicza. „Podbipięta albo Charłamp”, przeleciało Altmanowi przez głowę.

Wagon pulmanowski świecił czystością, drzwi do przedziałów były porozsuwane. Nieliczni pasażerowie czytali gazety albo ziewając patrzyli przez okno na nudny pejzaż stacyjny. Bagażowy wstawił walizkę na siatkę.

– No to już wielmożny tak jakby w drodze – powiedział, ocierając pot z czoła.

– Proszę mnie nie tytułować wielmożnym panem, bo to już nie te czasy – Altman wyjął portmonetkę i zaczął w niej grzebać.

– A jak, przepraszam, mam się zwracać? – zafrasował się numerowy.

– Jeżeli wam już tak bardzo zależy, to może być „panie prezesie”, bo w istocie takie stanowisko zajmuję.

Wbrew swoim żelaznym zasadom oszczędności dał mu dwadzieścia procent ponad umówioną opłatę. Tragarz o mało się nie rozplakał.

– Dziękuję wiel... to jest, panu prezesowi! Na przyszłość będę wiedział, jak należy mówić. Dziękuję, dziękuję!

Skrępowany tą sceną Altman zamknął sprawę.

– Dobrze, dobrze! A ja zapamiętam wasz numer i będę się za wami rozglądał następnym razem.

Kiedy tamten wysiadł, sędzia zastanowił się: czemu mówi do tego ciężko i uczciwie pracującego człowieka „wy”, skoro sam przedtem stwierdził, że czasy się zmieniły? I jakby z lekkim wstydem przypomniał sobie, że szwagier ma zwyczaj zwracać się nawet do więźniów per „pan”.

Usiadł na swoim miejscu przy oknie i w oczekiwaniu na ostatnie gwizdki rozłożył „Kuriera”. Nie było mu jednak dane zabrać się spokojnie do lektury; z korytarza dobiegły zdyszane głosy, chichoty i sapnięcia. Zaraz też do przedziału wszedł następny numerowy, obarczony dwiema wielkimi walizami, a za nim zarumieniona młoda kobieta w przekrzywionym kapeluszu i drogim futrze, oraz młody oficer, na którego naramiennikach widniały dwie gwiazdki. Para ta zrobiła na Altmanie od razu niemiłe wrażenie, bo żadne z nich nie powiedziało „dzień dobry”, a zachowywali się tak, jakby byli w przedziale zupełnie sami.

– Mój dobry człowieku, połóżcie bagaże pani na tamtej siatce – polecił porucznik. – Nie, nie tam, trochę dalej. I proszę je dobrze upchnąć, żeby nie spadły.

Miał pucołowatą twarz, przypominającą buzię rozkapryszonego dziecka. Wręczył bagażowemu kilka monet, najwyraźniej bez napiwku, bo ten nie podziękował, tylko wzruszył ramionami i wyszedł. Altman wiedział, że gaże młodszych oficerów są skromne, a ich wartość zmalała ostatnio wskutek kryzysu, ale pomyślał, że w pewnych zawodach należy jednak

trzymać fason. Zaczął przeglądać gazetę, gdy nagle usłyszał tuż nad swoją głową:

– Proszę pana! Halo, panie! Ja do pana mówię!

Oficer stał nad nim, jakby chciał wcisnąć go w kąt przedziału. Altman złożył gazetę i powiedział zimno:

– „Halo” mówi się przez telefon. Słucham, czego pan sobie życzy?

– Czy mógłby pan zamienić się miejscami z panią?

Sędzia był człowiekiem, jak to się mówi, zgodnym i zapewne spełniłby prośbę, gdyby nie została wypowiedziana aroganckim tonem. Odrzekł zatem równie lodowato, jak przedtem:

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Mam do przejrzenia pewne dokumenty, a mój wzrok jest już nie najlepszy i potrzebuje dobrego oświetlenia.

– Chyba może pan postąpić jak dżentelmen i spełnić życzenie damy!

– Panie poruczniku, jestem urzędnikiem wymiaru sprawiedliwości w podróży służbowej, wykupiłem bilet i miejscówkę, a więc mam prawo do tego miejsca. Zaś co do statusu dżentelmena, moglibyśmy porozmawiać dłużej o tym, kto i dlaczego może do niego pretendować.

Altman założył nogę na nogę i na pozór przestał interesować się rozmową.

Porucznik poczerwieniał jak pomidor.

– Pan mnie obraża! Pan obraził kobietę! To powód do satysfakcji! Ja pana... Ja panu...

– Misiaczkule, może lepiej dajmy spokój – wtrąciła jego towarzyszka, wyraźnie zaniepokojona obrotem sprawy.

Było już jednak za późno. Młody adept sztuki Marsa wpadł w furję:

– To jest obraza munduru! Ja na to nie pozwolę! – wrzeszczał rozjuszony.

A dostrzegłszy za oknem przechodzący równym krokiem patrol z żółtymi otokami na czapkach, otworzył z rozmachem okno, wpuścił do przedziału falę mroźnego powietrza, po czym wychylił się, niemal opierając łokieć na głowie sędziego, i krzyknął:

– Plutonowy! Proszę tutaj! Zostałem obrażony przez cywila!

Altman złożył gazetę i czekał na dalszy ciąg. Kiedy w drzwiach przedziału ukazały się trzy barczyste sylwetki, spojrzał wymownie na dowódcę patrolu.

– Proszę wylegitymować tego pana! – miotał się oficer. – Odmówił spełnienia prośby wyrażonej przez damę i przy okazji obraził też mnie!

Dama była coraz bardziej speszona, z czego Altman wywnioskował, że nie ma do czynienia z młodym małżeństwem. Bez słowa podał legitymację służbową plutonowemu, który rzucił na nią okiem, po czym podniósł swoje błękitne spojrzenie na właściciela.

– Tak znaczy się, panowie są w konflikcie? – zapytał ze śpiewnym akcentem wileńskim.

Sędzia lekko zbaraniał. Plutonowy używający „uczonego” słowa? To coś nowego! Czyżby to był wynik reformy programów nauczania w szkołach podoficerskich? Spojrzał uważniej na żandarma i stwierdził, że jego pociągła twarz ma wyraz bardzo bystry, a na ustach igra mu ledwo dostrzegalny uśmiezek.

– Pan porucznik zażądał, żebym oddał moje miejsce tej pani, a ja odmówiłem – rzekł sucho.

– I obraził pan tę panią, a przy okazji mundur polskiego oficera!

– Nikogo nie obraziłem. Nawiasem mówiąc, jestem oficerem rezerwy.

Plutonowy poskrobał się w skroń i zdecydował:

– Znaczy się, ja mam wobec tego obowiązek spisać protokół.

– Bardzo dobrze! – warknął sprawca awantury.

– Tak ja mam obowiązek poprosić pana porucznika o dokument.

Nastąpiła cisza, w której zabrzmiał dźwięk, przypominający gulgotanie. Plutonowy trwał z wyciągniętą ręką.

– Ja, tego, wiecie, nie widzę potrzeby, żeby mnie legitymować – wykrztusił w końcu oficer. – Przecież to ten pan obraził mnie, a nie ja jego!

– Jednakowoż pan porucznik zażyczył sobie, żeby patrol interweniował. Znaczy się, ja mam obowiązek, tak nakazuje regulamin służby.

Altman nastawił uszu: sprawa przybrała obrót zastanawiający. Oficer sięgnął w końcu pod szynel i podał żandarmowi legitymację, ten zaś zajrzał do niej i zastygł niczym żona Lota.

Sędzia wstał, rzucił okiem przez ramię plutonowego i powiedział:

– A, pan porucznik Pierdzioch? No, panie poruczniku, radziłbym panu stanowczo unikać publicznych awantur.

W tej samej chwili za oknem zabrzmiały gwizdki i okrzyki „Proszę wsiadać! Drzwi zamykać!”. Skład drgnął i ruszył mozolnie. Plutonowy oddał legitymację, nie pytając nawet, czy jej właściciel nadal żąda spisania protokołu, po czym dosłownie wypchnął swoich podwładnych na korytarz.

Porucznik mruknął:

– Kochanie, zadzwonię do ciebie – i także opuścił przedział, ale biegiem i w kierunku przeciwnym do oddalających się żandarmów.

Gdzieś niedaleko trzasnęły zamykane z opóźnieniem drzwi wagonu, pociąg nabierał szybkości. Wychyliwszy się z okna, Altman zdążył zobaczyć, że trzech żandarmi pokładają się ze śmiechu. Za jego plecami zabrzmiał spazmatyczny szloch i jęk:

– Konduktor! Konduktor!

Resztę podróży spędził w komfortowej samotności, bowiem pocziwy funkcjonariusz kolei państwowych znalazł dla nieszczęsnej damy miejsce w innym przedziale.

Co też należało zrobić od razu, stwierdził Altman, otwierając teczkę z dokumentami.

Na dworcu we Lwowie wezwał bagażowego i kazał zanieść walizkę na peron, z którego odchodził pociąg do Borysławia. Szedł spacerkiem, rozglądając się dokoła z zaciekawieniem, bo ostatnią podróż w te strony odbył pięć lat temu. Wtem, gdy miał już zagłębić się w czelusć przejścia podziemnego, uwagę jego przyciągnęła para ludzi przechodząca obok. Mężczyzna, wyraźnie po pięćdziesiątce, wyglądał na solidnego, zamożnego przedsiębiorcę, jego pelisa z futrzanym kołnierzem mówiła o dobrze zaopatrzonym koncie w banku i o samochodzie, czekającym zapewne przed dworcem. Obejmując czule swoją towarzyszkę, darzył ją co chwila łapczywymi pocałunkami i szeptał jej coś do ucha. Altman rozpoznał w międlonej miłośnie osobie bohaterkę sceny wagonowej z Warszawy. Ona zauważyła go także, bo odwróciła głowę i przyspieszyła kroku, dosłownie wlokąc statecznego jegomościa za sobą. Tableau, pomyślał prezes trybunału górniczego, oto wyraźnie czekał tu na nią stęskniony mąż! Pani nie zdołała jednak opanować odruchu i obejrzała się na moment przez ramię, na co sędzia uchylił kapelusza, z trudem powstrzymując chichot.

Wchodząc do przedziału następnego pociągu roześmiał się głośno, na co obecny już wewnątrz młody człowiek podniósł głowę znad książki i popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Bardzo pana przepraszam. – rzekł Altman. – Po prostu przypomniała mi się w tej chwili pewna zabawna historyjka.

Krzysztof Choiński

Jacek Durski

Okno I

(fragment)

* * *

Koncert zespołu „Śląsk” w Katowicach. Śpiewa Urszula Porwoł, młodziutka Usia. Kochają się w niej wszystkie hanysy. Na podium wir kolorów, śląski tupot.

Siedzę w pierwszym rzędzie z matką, z Lepszą i z Eisenem. Załatwił nam miejsca Donajszczak. Garbus pracuje w „Śląsku”. Zdobywa dla zespołu kostiumy. Lubi pomagać tancerkom w przymierzaniu strojnych kabotków, kiecek i galand.

Słucham gorącego głosu Porwołki, a tu, sycząc, podnosi się matka z fotela. Staje przed estradą, rozpina parasol.

– Mam słuchać ludowych przyspiewek?! Ja?! Pani! – maszeruje do wyjścia. Za nią Eisen. Też z parasolem, ale zamkniętym. Wyszli.

Jak miło.

* * *

Wróciłem ze świadectwem do domu, z niebieskimi piątkami. Pokazuję matce.

– Będziesz wisiał w jakichś gablotach jako przodownik całej szkoły – odezwała się, pijąc przed lustrem. – Boże, mój syn przodownikiem, Markiejką.

Ogród Jordanowski. Bez drzew, tylko drewniana karczma. Można wypić piwo i zjeść kotlet schabowy albo mielonkę z kiszoną kapustą. Dla dzieci nie ma piwa bez mięsa. Wokół karczmy kilkanaście gablot z przodownikami szkół. W jednej i ja „wiszę”. „Zwisam” biało w białej koszuli z pozłacanymi spinkami w rękawach. *Co za wstyd.*

Matka z Eisenem codziennie prowadzą mnie pod gablotę: „stój tu do zmroku”. Wielmożna, średnio pijana, informuje spacerujących rodziców: „To

mój syn. Jacek Durski. Przodownik szkoły numer jeden. W Katowicach!”, podkreśla wykrzyknikiem, że „nie w Stalinogrodzie”. Gdy wracamy dorożką, zawsze ten sen: „Jestem w Szymonkach. Las iglasty, zieloność. Dziadek Błu galopuje na koniu. Określił słońce brzeszczotem. Nastrzępiona od promieni szabla. W kopytach gniadego wiatr, prędkość trawy. Odskoczył jelen, umknął cień”.

Podczas snu mój świat wyraźniejszy. Nie potrzebuję okularów.

* * *

Zagnały nas nauczycielki za Katowice. Witac Hindusa. Czekamy w upale. Czekamy. Naraz rząd samochodów. Premier Indii, Pandit Nehru, przejechał.

Furkot chorągiewek i z powrotem. Trzech chłopców zasłabło na trasie, a Orczyńska zemdląca.

– Po co szliście tyle kilometrów? W takim gorącu? – zapytał lekarz. – Trzeba było czekać na delegację w centrum Katowic. Stalinogrodu – zrelektował się, schodząc z traktora. – Przyjechałem na tym gównie, bo karetka pogotowia w pogotowiu. Dla tych „z góry”. Gdyby się coś działo.

– Chcieliśmy pierwsi powitać towarzyszy, wyjść przed nich chociaż piętnaście kilometrów – oznajmiła Bergelowa. Rozwinęła czerwony sztandar.

– Odwróćcie się, chłopcy. Muszę badać – wziął medyk do rąk zemdlone piersi.

– Ale się bawią – szepnął Półtoraczyk. – Ona udaje, że umarła, a on ją grzebie w asfalcie.

Długo wracamy piechotą z powitania. Czerwone płótno przydało się do niesienia nauczycielki.

Wreszcie pod szkołą. Krew w skarpetach. Księżyc przekroczył północ.

* * *

– Barbórka. Na Dzierżyńskiego między Urzędem Wojewódzkim a Komitetem samochód przy samochodzie, motocykl przy motocyklu. Same zastawy i eshaelki. Stoją równo blachą. Jak Wehrmacht! – woła z bramy dozorca Pućsamino. – Rozdają górnikom prezenty, żeby wybierali węgiel

pod Stalinogrodem. Nasze bogactwo dla Kraju Rad – woła coraz głośniejsze, stukając kijem w chodnik.

W pokoju szepta Donajski do kolan Lepszej:

– Masz tu na rower – całuje stylonowe pończochy. – Auto dostaniesz, jak tylko skona Donajska. Przestanie mi łażyć nago po całym mieszkaniu, jakby miała biust. Muszę ją posuwać raz w roku, na Dzień Kobiet. Tak ustaliła z Nieszporkiem – powarkuje w pończochy. Wszedł mu język w siatkę, w „oko” stylonu. Nie może wyrwać z sieci ozora. Wyrzucił z ust zęby i dalej nie może.

– Niech Donajszczak przestanie emablować moją służącą! – pogroził palec matki. – Niech ktoś go spoliczkuje! Zaczynam się nudzić. Coraz bardziej. Więcej niż „coraz”. I jeszcze więcej – westchnęła matka, ziewając.

* * *

Stół wigilijny. Pierwsza kolęda w radiu. Śpiewamy. Ja nad kompotem z suszonych śliwek, a oni nad „Przepalanką”. Donajska dyryguje Donajskiemu pięściami. Kokoroko płacze.

– „Gloria, Gloria” – wycharczał do ciotki Donajszczak.

– Przestań, pan, tak fałszować! Słuchamy kolęd! – zawołały z korytarza służące.

Eisen wysunął język z cząstkami karpia. Nie ma siły mówić, a co dopiero kolędować, tylko mamrocze o naukowcu Durskim nie wiadomo co. *A ojciec chyba u Steni. Może gra na skrzypcach?*

Na Mariackiej śpiewy od bramy do bramy. Kolędnicy-bimbrownicy. Z radiem na akumulator. Nie muszą sami śpiewać. Za godzinę przyjdą do nas. Gwiazda, wilk i śmierć. *Trochę się ich boję.*

Przyszli. Gwiazda położyła na stole bryłkę śniegu. Chłód w oczach.

Jacek Durski

Joanna Jagiełło

Żółte gruszki¹

– Pies tu nasrał albo ktoś – mówi Mamusia, a potem obrzuca wnętrze windy uważnym spojrzeniem, jakby szukając innych śladów, gładzi platynowy kucyk, sprawdzając, czy frotka jest na swoim miejscu, zamyka drzwi windy. Wodzę za nią wzrokiem jak zawsze, chyba po to, żeby nie patrzeć na Hienę.

– Może to Aston Martin – chichocze Hiena – narobił.

I wtedy postanawiam po raz któryś, że muszę ją zabić. Ale teraz nie ma czasu, zachrzaniamy na szóste z siatami pełnymi ziemniaków, cebuli, makaronu z promocji i mięsa. Ręce mnie bołą, bo najpierw szłyśmy przystanek od Biedronki, Mamusia w ten sposób oszczędza na biletach, bo i tak są drogie, mimo że ulgowe.

– Żeby zeta siedemdziesiąt bilet na jeden przystanek dla dzieciaka kosztował w tym zaszranym kraju! – oburza się i wcale się nie dziwi. Ona jeszcze jest na miesięcznym, jak jeździła sprzątać, to się opłacało miesięczny kupować. A i teraz, choć jest chora, toby sobie pojeździła, gdyby nie my. Przez to, że tyle nam zeszło, to boję się, że lody się roztopią, no, na pewno nawet, jak Mamusia będzie wchodziła tak wolno. Trochę leci na boki, ale uparcie idzie nogą za nogą. Ma chudy tyłek, jakby też była dzieckiem. We trzy wyglądamy z tyłu jak siostry, z trzema kucykami w różnych kolorach, ale z przodu to już zupełnie inna historia.



Hiena miesza swoją porcję lodów nerwowymi ruchami i z trzech smaków: truskawkowego, czekoladowego i śmietankowego powstaje breja w dziwnym kolorze, trochę jakby zepsutego mięsa. Taki los może spotkać schab, którego Mamusia chyba nie schowała do lodówki, bo siatki leżą przy drzwiach wyjściowych, zostawiła je tam i poszła się położyć. Martwię się

¹ Opowiadanie pochodzi ze zbioru Joanny Jagiełło pt. *Szklarnia*. Wydawnictwo Mons Admirabilis, 2020.

o nią, bo wygląda coraz gorzej i właściwie przestała jeść. Może oczekuje, że to my rozpakujemy zakupy, ale ja nie mam zamiaru. Hiena oczywiście nie tknie ich palcem, księżniczka. Zresztą pewnie zaraz zniknie, znowu umówiła się z ojcem. W sumie to nie musiała jeść tych lodów, bo on ją na pewno gdzieś zabierze i to na lepsze, więc ogarnia mnie złość, po cholerę je żarła. Odzywa się dzwonek domofonu, trzy krótkie brzęknięcia. To on. Nigdy nie zachodzi na górę. Podjeżdża tylko toyotą i czeka na nią. W sumie to nie ma się czym chwalić, Aston Martin ma lepszy wóz. To kabriolet z odsuwającym dachem, lśniąco czerwony.

– Idę – mówi Hiena i nawet talerzyka po sobie nie odstawia. Błyszczkuje tylko usta i rozpuszcza włosy. Ciemne, lekko kręcone, opadają na opalone ramiona. Cholera, Hiena jest ładna i dobrze o tym wie. Dostała od losu lepszą kartę. Lepszy plemnik.

– Haneczko – to Mamusia ją przyzywa cichym głosem ze swojego kąta.

– Muszę iść, mam – oznajmia Hiena głosem nie uznającym sprzeciwu i nawet do niej nie zagląda. Mamusia będzie smutna, ale niech ma za swoje, po co tak jest za nią? To my we dwie powinnyśmy się trzymać, bo mamy tylko siebie, a ona tylko to swoje „Haniu”, „Haneczko”, do mnie nigdy tak nie powie, tylko Anka. Czasem nawet wydaje mi się, że słyszę „Aniu”, ale jednak nie, jest tam to znienawidzone „H” na początku. H jak Hiena. Zresztą, kto nadaje dzieciom takie imiona? W jednym roku: Hanna, w drugim: Anna. Jakbym jakaś wybrakowana była, bez ręki, nogi, bez pomysłu.

Hiena wywala wszystko z szafy i szybko zmienia t-shirt na błękitną bluzeczkę, tę, którą ojciec jej kupił w zeszłą sobotę w Złotych Tarasach.

– Co się tak gapisz? – mówi do mnie.

– Posprzątaj – odpowiadam. – Już ci się te ciuchy w szafie nie mieszczą.

– Zazdrościsz? Jak tak, niech ci ten twój Aston Martin kupi.

Potem jeszcze raz uśmiecha się do lustra i wybiega.

Bo chodzi o to, że ona uważa, że ja wymyśliłam sobie Astona Martina, a to nie tak. Ja po prostu wiem, że on gdzieś jest i pewnego dnia go poznam. Dopóki nie przysniło mi się to, myślałam, że nigdy się stąd nie wyrwę. Teraz mam zupełnie inne podejście do życia. Po prostu czekam.

Sobota wlecze się. Mamusia śpi, raz do niej zaglądam, ale strasznie jęczy, więc zamykam drzwi, żeby jej nie przeszkadzać, i gram na kompie dla zabicia czasu.

Budzi się potem i mówi, że trzeba zrobić obiad i że ona nie ma siły. Wysyła mnie do sklepu po ibuprom, już trzeci raz w tym tygodniu. Potem obieram ziemniaki. Tłuczek do mięsa się zepsuł i walę w różowe plastry schabu zwykłym młotkiem. Jem przy stole, który jednocześnie pełni funkcję mojego biurka. Stertę książek odsuwam na krawędź, a waciki Hieny śmierdzące od zmywacza zrzucaam na podłogę i przesuwam nogą na jej stronę.

Nie mam swojego pokoju, wszystkie trzy mieszkamy w jednym. Mój ojciec też tu z nami mieszkał, zanim się przekreślił. Ale to akurat dobrze, że umarł. Wiem, że nie powinno się tak mówić o ojcu, ale tego nie szło wytrzymać. Można powiedzieć, że teraz jesteśmy bardziej szczęśliwe, chociaż jak patrzę na Mamusię, to myślę, że szczęśliwa to ona nigdy nie była i raczej nie będzie. Tylko Hiena ma jakiś potencjał do szczęścia, no i ja odkąd wiem, że wkrótce poznam Astona Martina.

Tej nocy Aston Martin śni mi się jeszcze raz. Idę przez osiedle w moich nowych balerinkach z haemu, co je sobie kupiłam za reszty. Jak matka nie ma siły iść do sklepu, to nas prosi i wtedy zostaje dla nas reszta. Albo dla mnie, Hiena zwykle nie chodzi, nie chce jej się. Woli sobie malować paznokcie i oglądać Top Model. No, ale ona nie musi zbierać na każdy ciuch, wystarczy, że poprosi ojca. W tym śnie wracam ze szkoły do domu, muszę powiedzieć Mamusi o tym, że z matmy mam pałę, więc ciągnę tak noga za nogą. Burczy mi w brzuchu, z pieniędzy na obiady musiałam zapłacić za jakąś tam wycieczkę do Zamku Królewskiego. Nagle widzę, że pod blokiem stoją te łebki z ósmej. Sebek, to jest brat Małego z mojej klasy, i reszta. Mam z nimi na pieńku i wiem, no po prostu wiem, że za chwilę normalnie mi wpięprzą. Bo chodzi o to, że jak ten Mały mnie ostatnio wkurzył, to go trochę pchnęłam. Nic mu się nie stało, poleciał tylko na regał, a na nim stały pisanki, które malowaliśmy na plastyce. Te wszystkie kolorowe jaja spadły mu na głowę i był niezły ubaw – choć muszę przyznać, że raczej nie dla niego. No i teraz starszy brat się zemści, już to widzę.

Uciekać nie ma sensu, bo i tak mnie dogonią, poza tym wstyd. I myślę, że może jak mnie pobiją, to Mamusia będzie mniej krzyczała o tę pałę. Że może choć raz w życiu mnie przytuli czy coś. I jak już te łebki się ozywiają i wychodzą mi na spotkanie, to z lewej strony, tam od MarcPola, idzie on. Aston Martin. Ma czarny t-shirt, džinsy na pewno oryginalne, bo to widać, wszystko niby takie proste, ale markowe. Patrzy na mnie i się

tak uśmiecha, jakby co najmniej brylant w trawie znalazł. Oni pierzchają na wszystkie strony.

– Aston – wyciąga rękę, a ja czuję zapach dobrych perfum. Jakiś Boss czy Klein, nie byle co. Nie musi nic mówić, ja po prostu idę za nim.

I potem jest wszystko tak, jak powinno. Pizza najpierw z podwójnym serem w eleganckiej pizzerii na Nowym Świecie, co mają tam całe półki obciętych książek, bo nie żalowali na wystroju. A potem zakupy w Żółtych Tarasach. Aston z naręczem wieszaków, a może to, a może tamto, coraz to nowe propozycje wiszą w powietrzu w pustych ramkach po uśmiechach. I nie to, że tylko haemy, badziewie, co to my je kupujemy, bo na to tylko nas stać, ale i te lepsze, chustki z Promoda za dwieście, torebki z Parfois za pięćset, buty z Veneciany za następne pięćset.

– Teraz jesteś piękna. – Pochyliła się nade mną Aston. – Teraz możesz przebierać w mężczyznach jak w żółtych gruszkach, a ja mam nadzieję, że wybierzesz mnie, ale nie musisz, bo to nie jest przymus żaden, tylko twoja wolna wola.

A ja mówię: „Aston, jaki przymus, żartujesz”.

– Ta, i to wszystko za darmo, na pewno. Ty to jednak głupia jesteś – drwi Hiena. – Zaraz byś nogi rozkładała, że aż by furczało, nie pierwsza i nie ostatnia zresztą.

– Przynajmniej nie daję gratisów na prawo i lewo jak ty bez sensu i składu. Co, myślisz, że nie wiem? – odcinam się. – Nawet tatuś cię nie upilnował. Jakby wiedział...

– Milcz – wrzeszczy Hiena, a mnie przychodzi do głowy myśl cudownie prosta, a jaka odkrywczą, że przecież mogę tę dziwkę szantażować.

– Jak tak, to ja rozpowiem, że ty jeszcze z nikim – mówi Hiena i podnosi do góry swój ciężki, okrągły łeb i to jest jej koniec, choć jeszcze o tym nie wie.

Hiena najbardziej ze wszystkiego boi się martwych zwierząt. Kiedyś zdechła nam morska świnka, jedyne zwierzątko, jakie kiedykolwiek miałyśmy. Była dziwna po zdechnięciu, sztywna, bardziej jak plastikowy model śpiącego gryzonia niż jak trup. Zawsze wyobrażałam sobie, że trup jest miękki i od razu zaczyna się rozkładać, różne robaki zjadają go od wewnątrz i może nawet dość szybko staje się pusty i przypomina zdjętą z nogi skarpetę. Popychałam zwierzątko linijką szkolną, a ono przewracało się na plecy

i w ogóle nie zmieniało wyrazu pyszczka. To było naprawdę ciekawe. Ale nie dla Hieny. Hiena wrzeszczała i w żaden sposób nie mogłam jej uspokoić. Może gdyby Aston tam był, dałby radę, ale nie ja.

Wiemy, że Mamusia umrze, a w każdym razie ja wiem. Jakoś potrafię rozpoznać, kiedy zbliża się koniec. Jest tak samo, jak z tą świnką. Może z tego względu powinienam zostać weterynarzem.

Mamusia nie idzie do szpitala, bo mówi, że przy braku ubezpieczenia kosztuje to tyle, że nigdy byśmy się nie wypłaciły, bo to parę stów dziennie co najmniej, więc ona woli umrzeć w domu i bez długów. Wiem również o tym, że Hiena pójdzie wtedy do ojca, a ja do jakiegoś przytułku, żeby całe życie się ze mnie śmiali. Oczywiście nadal wierzę, że przyjdzie Aston Martin, ale nie wiem, jak to jest, czy mógłby w sumie mnie zabrać, skoro jestem nieletnia, a poza tym nawet we śnie dawno mi się nie śnił.

Znów jest sobota i Hiena idzie do ojca, wyfiokowana zbiega po schodach, on ma ją zabrać do Tarasów i wszędzie, a ja zostaję z umierającą matką, która prosi Hienę, żeby pod żadnym pozorem nic ojcu nie mówiła, bo poza tym czuje się już lepiej, co oczywiście nie jest prawdą. Zdaje się, że to w ogóle są jej ostatnie słowa, bo jak potem do niej przychodzę, to już nawet nie ma siły gadać, leży tylko i tak wzdycha, jak zawsze wtedy, gdy nie ma z czego na czynsz, tylko jakby głośniejsze. Nie mogę tego słuchać i idę puścić jakąś muzykę, bo tak dyszeć w ciszy to naprawdę przygnębiające. Od razu robi się weselej, nawet matka robi się jakby bardziej rumiana, ale to raczej z gorączki. Idę po jakiś zimny kompres, ale nie mogę znaleźć żadnej czystej ściereczki, a te brudne śmierdzą takim rzygiem, że na pewno by jej nie było od nich lepiej, w końcu moczę w wodzie jakiś t-shirt.

No i jak wracam z tym mokrym, to ona już raczej nie żyje. Biorę lustro od puderniczki, bo słyszałam, że tak się sprawdza, ale chyba za bardzo mi się ręce trzęsą, bo cały puder wylatuje na jej twarz, a jak zaczynam to rozmazywać, to robi się jeszcze gorzej. Była biała, a teraz jest biała w żółte plamy, bo to był, niestety, puder Hieny do ciemnej karnacji.

A ja myślę, że może trzeba jej świeżego powietrza, że może jakby poleżała na leżaku, to jej się zrobi lepiej, mamy w sumie na balkonie leżak, co go sama kupiła w Leroju, to niech chociaż teraz skorzysta. A że chuda taka, to nie ma problemu, zaraz biorę ją pod ramiona i targam na ten balkon, leżak na szczęście nisko, udaje się. I znów kompres, i kocyk, trzeba czekać. Dopóki nie zeszytnie jak świnka, wszystko jest w końcu możliwe.

Idę do kuchni zobaczyć, czy jest coś do picia, Mamusia lubi piwo, więc nalewam całą szklankę i stawiam przed nią, ona nic, ale jak się obudzi, na pewno będzie szczęśliwa, że ktoś wreszcie o niej pomyślał. Postanawiam przeczekać, siadam w pokoju na bujanym fotelu, bo ułamała się jedna noga, i włączam MTV. Co pewien czas tylko patrzę, czy zmienił się poziom płynu w szklance, ale na razie nie.

A kiedy robi się ciemno i noc opada na bloki po drugiej stronie działek, jakby wgryzała się między wielkie, zepsute zęby, patrzę na nią, delikatnie podnosząc firankę i rozumiem, że ona już się nie napije ani piwa, ani niczego. A potem mi się przypomina, że zaraz wróci Hiena od ojca, z torbami pełnymi zakupów. I wpadam w panikę, bo nie wiem, co jej mam powiedzieć. Zaraz zacznę przecież gadać, że to moja wina. Poza tym czuję złość, że ona sobie teraz po sklepach łązi, a ja muszę to wszystko ogarniać. Że ona ma wszystko, a ja nic. I postanawiam, że zajmę się sobą. Pójdę poszukać Astona Martina i wreszcie zacznę żyć własnym życiem. Ale najpierw, najpierw na nią poczekam.

Siadam sobie na schodach piętro wyżej. Drzwi zamknęłam na dolny zamek, tak robię, gdy jestem w domu. Wyraźnie im zeszło, może nawet poszli do kina, czy coś, bo Hiena wraca późno. A wesoła! Na pewno w ogóle nie myśli, co się w domu dzieje i jak się Mamusia czuje. Przypatruję się z góry, jak wchodzi do środka, odczekuję chwilę, cicho podchodzę do drzwi i przekręcam zamek, ale tym razem górny i zostawiam w środku klucz. Nie ma mowy, żeby teraz wyszła z domu.

Cicho schodzę po schodach.

Nie oglądam się za siebie, a szczególnie staram się nie patrzeć na balkon, na którym siedzi Mamusia. Już się ściemnia i jest mi trochę zimno, nie wzięłam kurtki. Wiem, że Aston będzie na mnie czekał w Centrum, może przy rotundzie, bo tam się spotykają wszystkie te fajne pary, takie, że między chłopakiem a dziewczyną jest jakaś miłość. Więc jeśli gdzieś, to tam. Zdaję sobie sprawę, że nie mam biletu. Ile to może zająć na piechotę? Godzinę? Chyba nie więcej.

Mijam działki i nagle to widzę. Za ogrodzeniem budynku, a na nim srebrzysty znaczek i napis: *Aston Martin*. Serce mi bije jak oszalałe, myślę, że to znak, że jest gdzieś i czeka, tak jakby z poczerniałego nagle nieba zeszły gwiazdy i ułożyły się w ten napis, żeby wskazać mi drogę. Może tu pracuje, w tym ładnym, nowoczesnym budynku, jest jakimś dyrektorem i stąd ma kasę i w ogóle, może lepiej tu na niego poczekam, zamiast tam

iść? Aston, Aston, unoszę twarz do nieba i zaczynam płakać, a więc to już, nareszcie. Łzy płyną mi, jakby te gwiazdy zamieniały się w deszcz.

Obracam się i patrzę nad działkami na nasz blok i widzę, jak z naszego balkonu, z szóstego piętra coś wypada, jakby chochoł, albo strach na wróble, pakunek zawinięty w papier pocztowy, który unosi się potem w górę, rozsiewając gwiazdny pył. I widzę moją siostrę, jak leci do góry w nowych džinsach i tunice z Zary, a na sznurku od szlafroka ciągnie za sobą matkę. Za nimi leci nikt inny tylko Aston Martin i już przybliża się do Hieny i bierze ją za rękę, a potem sfruwają łagodnie przed rozświetlony budynek, wchodzą do środka i zaraz gaszą wszystkie światła.

Joanna Jagiełło

Jerzy Marciniak

Wzgórze białych brzóz

Wstęp

Profesor z Profesorem wyszli na spacer. W dolinie widać było błękit rzeki, która za zakolem tworzyła wodospad i bałwaniąc się białą, spadała w dół. Profesor poprawił okulary i powiedział.

– Nurt łamie się tak miękko jak wąż nocą na krawędzi studzienki w przykościelnym ogrodzie.

Profesor był prawdopodobnie podobnego zdania, bo przytaknął kiedzie.

Za zakrętem drogi stały na poboczu dwie dziewczyny. Jedna miała blond włosy, a druga czarną perukę. Obie były w krótkich spódnickach i miały mocno uszminowane usta.

Profesor mrugnął porozumiewawczo do Profesora i podeszli do nich. Zagadał ten od węża na krawędzi studzienki.

– Panie są kobietami lekkich obyczajów?

Blondyna popatrzyła na nich i wyjęła papierosa z ust.

– Tak, ale koleżanka pracuje tylko na pół etatu, bo niedawno wyszła za mąż.

Ta druga przytaknęła głową.

Zza zakrętu wyjechał samochód osobowy. Profesor z Profesorem przeszli przez przydrożny rów i pobiegli truchtem w głąb lasu.

Akcja

Profesor z Profesorem postanowili zapoznać się z Blondyną, a po akceptacji z jej strony, spędzić z nią wieczór. I ewentualnie podzielić się nią horyzontalnie. Tak, żeby jeden zajmował się górą, a drugi mógł szukać rozkoszy w dolnych częściach ciała.

Słońce w dalekim horyzoncie układało się do snu. Połowę głowy zsunęło poniżej wierzchołków drzew dalekiego lasu, a drugą połowę upiększało niebo zorzami. Obie dziewczyny stały na stanowiskach pracy organicznej

vel wyższej użyteczności publicznej. Profesor z Profesorem podeszli bliżej. Ten dotychczas milczący zaczął wyłuszczać istotę rzeczy.

– Ja interesuję się zagadnieniami z zakresu nauk filozoficznych i historią religii muzułmańskich, gdzie oddawanie własnego ciała za pieniądze prawie nie występuje, a przez lata interesowały mnie również podziały w religii rzymskokatolickiej, gdzie to zagadnienie ma się tak, jak się ma, czyli są domniemania na jego istnienie w tych czy innych odłamach.

Czarna przytaknęła głową.

– Koptowie po dzień dzisiejszy nie posługują się pismami drukowanymi, tylko czytają nadal to, co jest napisane odręcznie, często w czasach przed narodzeniem Chrystusa.

Urwał, bo na poboczu przystanął samochód i Czarna wsiadła do niego. Samochód ujechał kilkanaście metrów i skręcił w las.

– Urzekała mnie zawsze Armenia i rytę odprawianych tam mszy, które trwają z reguły trzy godziny i wszystko się śpiewa, tak że nie ma tam w ogóle słowa mówionego.

Blondyna przytaknęła głową i na podeszwie buta zgasiła papierosa. Podjechał ciężarowy samochód i ona zgrabnie wdrapała się do wysoko zawieszanej kabiny.

Wyglądało na to, że Czarna miała w lesie Opiekuna albo Pomocnika w interesach, bo samochód szybko wyjechał z lasu, a kierowca miał mocno zakrwawiony nos.

Słońce rozpoczęło drzemkę i pastelowe zorze, rozciągnięte długim pasmem na skrawku nieba, szybko ciemniały. Czuć też było nadchodzący chłód wieczoru. Po chwili w szczelinie między odchodzącym dniem a zbliżającą się nocą widniał jedynie nikły cień pogasłych barw. Cichł też śpiew ptaków. Drugi Profesor musiał mieć coś wspólnego z kulturą Skandynawii.

– W językach skandynawskich odróżnia się działania człowieka od innych dokonań, mówi się, że człowiek *sjunger*, czyli śpiewa a ptak *kvittrar*, czyli też śpiewa, że ekonomia *bromsar in*, to znaczy hamuje, ale człowiek *bromsar upp*, co znaczy, że biegnący drastycznie zwalnia.

Profesor popatrzył na Profesora i po chwili kontemplacji przytaknął mu głową.

Opiekun czy Pomocnik wyszedł z lasu i podszedł cicho pod kabinę ciężarówki. W zawodzie musiał być długo, bo imponował wprawą. Przytaknął ucho do drzwi i zamarł na chwilę w bezruchu. Po chwili przytaknął sobie głową, cicho przeskoczył przydrożny rów i zniknął pomiędzy sosnami.

Profesor zerknął na Profesora i odezwał się dyskretnie.

– Motywacją dla nich jest najczęściej brak nadziei i nie tylko tej co winna być przed nami, ale i nadziei w dniach, które już minęły.

Ten drugi widocznie był podobnego zdania, bo kiwnął głową. Po chwili obaj przeszli na drugą stronę jezdni i ruszyli w stronę wsi.

Akcja druga

Profesor z Profesorem podeszli do dziewczyn. One uśmiechnęły się i pogasiły papierosy. Profesor odszedł z Czarną na stronę i zaczął cicho coś mówić. Ona nie była kłopotliwym partnerem negocjacyjnym, bo przytaknęła i wskazała wzrokiem świerkowy zagajnik. Profesor wyjął portmonetkę, odliczył to, co miał odliczyć i wręczył dziewczynie to, co miał wręczyć. Ona wskazała ręką wydeptaną w trawie ścieżkę i oboje zniknęli między drzewami.

Opiekun czy Pomocnik musiał załatwiać sprawy szybko, bo Profesor wyszedł niezwłocznie z lasu. Szedł krokiem chwiejnym, niepewnym i przy twarzy trzymał garstkę trawy. Nisko zawieszone słońce kłuło ostro w oczy, więc nie było dobrze widać, czy Profesor nabawił się kataru, czy trzymał trawę przy twarzy, bo akurat nie miał nic innego do roboty. Czekający na poboczu Profesor podeszedł do Profesora, syknął ze złością przez zaciśnięte zęby i obaj zaczęli odchodzić poboczem drogi.

Akcja trzecia

Z Czarną nie było do końca nic pewnego. Mówiła:

– Mąż nie dba dobrze o dom, ma niechętny stosunek do pracy, więc muszę pracować troszkę więcej niż na połowę etatu.

I wyglądało na to, że nie do końca opisywała rzeczywistość tak, jak ona opowiedziana winna być, bo Czarna stała na stanowisku pracy dużo dłużej, niż oficjalnie twierdziła.

Profesor podeszedł do niej i ona od razu wiedziała, o co chodzi. Wzięła go pod rękę, podprowadziła na skraj lasu i on jej zapłacił, Opiekun czy Pomocnik wałnął go szybko w twarz i było praktycznie po wszystkim.

Profesor podeszedł do Profesora, ten drugi pokręcił dezaprobująco głową i obaj zaczęli iść w stronę przystanku autobusowego. Słońce zmagало się z mrokiem i walczyło, walczyło, bo wisiało i wisiało nad dalekim

horyzontem, mimo że zgodnie z prognozą pogody powinno już zająć kilka minut temu.

Usiedli na ławce i Profesor odsunął róg chusteczki, splunął śliną wymieszaną z krwią i zaczął cicho mówić.

– Ormianie zgodzili się podporządkować zwierzchnikowi religijnemu w Konstantynopolu, bo byli słabsi militarnie, żeby jednak to podporządkowanie nie było zbyt upokarzające, to utrzymywali przewagę ekonomiczną nad Turkami, gdyż mieli smykałkę do handlu, ale w odpowiedzi Turcy urządzili im kilka pogromów, bo mieli duże zdolności w tym kierunku i wtedy dopuszczano się przemocy wobec kobiet na dosyć szeroką skalę.

Urwał, bo podszedł do nich Wichrzyciel. Miał zwichrzoną fryzurę i zwichrzoną brodę. Przysiadł z brzegu i włączył się do rozmowy.

– Ojciec studiował medycynę w Kijowie, bo tam rosyjscy oficerowie grali w karty na duże sumy, co on lubił, ale wybuchła I wojna światowa i przerwał naukę, gdyż dostał powołanie na front, po wojnie pracował jako dentysta, ale leczył głównie zęby trzonowe, bo najczęściej i tak ich nie widzieć.

Zaśmiał się nieśmiało, ukazując dwa czy trzy zęby z przodu.

– Przepisywał nam nieraz lekarstwa, których nie kazał zażywać, ale jak matka patrzyła na opakowania stojące na półce, to od razu było z nią lepiej. Rano była prawie w agonii, gdyż światło w sypialni było zgaszone i nie widziała pudełek, a po południu, jak zobaczyła medykamenty, to wstawiała i zaczynała zmywać podłogę na mokro, żeby było czysto, gdy sąsiedzi zaczęli przychodzić pożegnać się z nią.

Zaśmiał się skromnie.

– Wyznania katolickie na Bliskim Wschodzie podporządkowały się dobrowolnie Watykanowi i papieżowi w zamian zapewniali im całkowitą niezależność, tak że podporządkowani patriarchowie jak mieli, tak nadal mają władzę absolutną nad swoimi diecezjami.

Z daleka nadjeżdżał samochód na sygnale. Wibrujące dźwięki przybliżały się szybko. Po chwili osiągnęły apogeum, pogotowie ratunkowe minęło ich i syrena cichła i cichła.

Wichrzyciel podrapał swoją długą, siwą brodę.

– Naukowiec w ogóle nie szanuje mojego starczego wieku, mimo iż jestem od niego młodszy tylko o kilka lat. Jak zasnę twardym snem, to zdejmuję ze mnie spodnie i rano budzę się zziębnięty, a on jest spocony, bo ma na sobie dwie albo trzy pary, lub jedno na sobie, a dwie zapasowe pary w torbie, co go też prawdopodobnie grzeje.

Zatrząś się w sobie.

– Wczoraj rozpiął mi spodnie wierzchnie i spod wewnętrznych wyjął kalesony, że do teraz czuję dreszcze.

Wyglądało na to, że mówił prawdę, bo usiadł pomiędzy Profesorem a Profesorem i obu przyciągnął ku sobie.

Po północy chrapanie Wichrzyciela zaczęła się nasilać i nasilać. Profesor delikatnie zdjął jego dłoń z ramienia i wstał. Drugi Profesor zrobił tak samo i obaj zaczęli odchodzić w stronę ruin kościoła.

Nad ranem nadszedł Naukowiec. Pod pachą trzymał stos książek. Wyglądał na starszego od Wichrzyciela, ale w tym mroku trudno było określić różnicę wieku. Mogły to być dni, mogły być miesiące, a nawet lata. Naukowiec szybko zdjął z Wichrzyciela wojskowy płaszcz, którym był przykryty, zsunął gumowe buty z nóg i nałożył mu spodnie. Potem przewertował książki w podręcznej biblioteczce i kilka z nich podłożył mu pod głowę.

– Teraz ci będzie wygodniej.

Popatrzył na śpiącego i cicho dodał: – Jak przeczytasz, to mi zwrócisz, bo ja bez książek rozwijam się intelektualnie nieco wolniej.

Poprawił Wichrzycielowi głowę, potem przeszedł przez rów i poszedł w głąb lasu.

Zakończenie

Poranek był pochmurny. Wichrzyciel wstał i zaczął się przeciągać. Jego spocona twarz wskazywała, że Naukowiec uszanował jego starczy wiek i nic nie wyciągnął mu spod spodni zewnętrznych ani spod wewnętrznych.

Profesor spojrział w zachmurzone niebo i odezwał się refleksyjnie.

– Jakby biskup posłuchał dzisiaj moich wypowiedzi na ten czy inny temat, to z pewnością by żałował, że usunął mnie kiedyś z seminarium.

Profesor z Wichrzycielem przytaknęli mu głowami.

– Z tym listem nigdy nie mogłem się rozstać.

Poszperał w wewnętrznej kieszeni marynarki i westchnął rozkosznie.

Powody usunięcia Profesora z seminarium nie były do końca znane. Wiadomo było, że otrzymał od dziewczyny ze swojej wsi list miłosny, który czytał i czytał, gdyż treść ujmowała i ujmowała go za serce. Po jakimś czasie zwierzył się biskupowi, ale ten nie chciał poznać treści, tylko kazał mu zdjąć sutannę i wyprowadził go za bramę.

– Ja prosto pojechałem do wsi. Wysiadam z autobusu, patrzę, a dziewczyna idzie pod rękę z chłopakiem, a do tego co kilka kroków patrzy

na niego błogo, a co kilkanaście całują się, to ja w autobus i szybko do seminarium. Jednak brat furtian nie chciał bramy otworzyć, tylko przez judasza powiedział, odejść stąd rozpustniku.

Na krawędzi oka zaskrzyła mu się łza, którą szybko zerwał z twarzy podmuch przejeżdżającego samochodu ciężarowego.

– Szkoda emerytury, ale jednocześnie nie jest mi jej żal, bo patrzyłem na ciało Blondyny kilka pełnych chwil i jak opowiedziałem o tym księdzu, to niedzielne kazanie o Jawnogrzezownicy stanowiły praktycznie moje słowa. Nie zaistniałem jako ksiądz, ale i tak moje przemyślenia są pociechą i nauką dla wiernych.

Pomacał się delikatnie po twarzy.

Mąż Czarnej był wysokim, barczystym mężczyzną. I oboje wyglądali na zakochanych, bo ona trzymała się mocno jego ramienia, a on od czasu do czasu odgarniał jej włosy na boki i całował w policzki.

Po pochmurnym poranku zaczęło wypogadzać się. Oni podeszli na jej stałe miejsce i ona nałożyła perukę. Później przejrzała się w lusterku i zapaliła papierosa. Mąż zgrabnie przeskoczył rów i po chwili zniknął pomiędzy pierwszymi drzewami lasu.

Profesor spojrzał na Profesora, a potem wzrokiem wskazał Czarną.

– Jak on jest silny, to może byłoby dobrze, gdybyśmy poszukali sobie innych dziewczyn.

Profesor przytaknął Profesorowi i spojrzał w stronę wzgórza za wsią, gdzie szosa biegła obok białych brzoź.

Obaj zerknęli jeszcze raz na Blondynę i Czarną, po czym zaczęli wolno odchodzić w stronę wzgórza.

Jerzy Marciniak

Wiesława Oramus

Ocalenie przyjaci

Miało to być spotkanie przyjacielskie, chociaż z perspektywy komunikacji pionowej.

Zasygnalizowała to Marlena – stając na progu, rozkładając ramiona, aby zamknąć ją w serdecznym, ciepłym uścisku. Niestety, potknęła się, straciła równowagę, zatoczyła się i wylądowała na wieszaku z ubraniami, z głową między płaszczem a apaszką, co całkowicie zniszczyło pierwszy punkt planu powitania.

Inka i Bożena były już ostrożniejsze, więc z wyższego niż przeciętny próg, co zresztą było zwykłą fuszerką fachowca, zstępowały ostrożnie i ramiona rozwarły dopiero po postawieniu stóp na podłodze.

Zaprowadziła je do pokoju przeznaczonego dla gości, a więc wyposażonego w okrągły stół, kanapę, kredens z naczyniami – tak jak to tylko było możliwe – odpersonalizowanego.

Po ostatnich doświadczeniach związanych z przypisywaniem jej jakiegś przynależności partyjnej z powodu książek na półkach, usunęła wszystkie, nawet te czytane na kanapie tuż przed ich przyjściem.

Opróżniła też szuflady w komodzie, zostawiając tylko po kilka niezapisanych kartek w każdej z nich.

– Proszę, proszę – zachęcała je do zajęcia miejsc przy stole, wyciągając ręce przed siebie a następnie rozkładając szeroko ramiona; co miało oznaczać otwarcie dla nich całej przestrzeni.

Zaznaczyła jednak, że zajmie miejsce, jako gospodyni, najbliżej drzwi, żeby mieć ułatwiony dostęp do kuchni. Marlena i Inka pospieszyły do tych umożliwiających utrzymanie z nią kontaktu wzrokowego, Bożenka skrzywiła się mocno, zaciśnęła usta, zmrużyła oczy, ale usiadła obok niej, z lewej strony.

– Tak to jest z tym mitem o okrągłym stole – powiedziała z lekkim sarkazmem.

– Okrągły stół to coś, co jest w nas, co... Inka postanowiła pociągnąć temat, ale zabrakło jej słów, więc wyprostowała się, uśmiechnęła – tak bez otwierania ust.

– To po prostu pewna idea – dokończyła jej myśl Marlena.

– Nie ujęłabym tego lepiej – Ilona powiedziała to takim urzędowym tonem, nie odrywając wzroku od paprotki, co oznaczało odcięcie się od wszelkich zawirowań w komunikacji interpersonalnej.

Zresztą, po tej chwili chaosu, dezorganizacji, okazało się, że każde miejsce jest wspaniałe, a nawet, każde jest po prostu najwspanialsze, podkreślające ważność i niezwykłość zajmującej go osoby; czyli po prostu zostało spersonalizowane.

Jednak nadal wszystko to było komunikacją pionową, ona... w pewnym momencie poczuła się usytuowana niżej niż wszystkie zaproszone, jak gdyby ktoś obciął nogi jej krzesła o kilka centymetrów, Marlena dotknęła jej ramienia, nacisnęła mocno, tak żeby uniemożliwić wyprostowanie się, a jej przyjęcie pozycji lidera, i znowu, po głębokim wdechu i wydechu przemówiła.

– Idee, tak, idee i wartości, to nas... stawia wyżej niż...

Nie skończyła myśli, bo ktoś zadzwonił.

– Częstujcie się, przepraszam, nie wiem kto to – zachęciła je, zanim wyszła z pokoju.

– Czy chodzą do tyłu? – usłyszała po otwarciu drzwi od niskiego, siwego mężczyzny.

– Kto?

– Liczniki.

– Nie wiem, ale domyślam się, że przyszedł pan skontrolować stan liczników?

– No.

To oglądanie liczników, odczyt, zapis, podpis na dokumentach zabrał trochę czasu, okazało się, że tyle, ile potrzebowały, żeby poczuć się naprawdę swobodnie, jak u siebie, spersonalizować nie tylko krzesła, ale całą przestrzeń pokoju.

Z szuflady, chyba zbyt pośpiesznie zamykanej, wystawał róg białej kartki. Udała, że tego nie widzi, chociaż wystarczył rzut oka.

– Niczego nie brakuje? – zapytała uśmiechając się szeroko i demonstrując przy okazji idealny stan uzębienia.

Odpowiedzią był odgłos chrupania sezamek, wafelków, paluszków, potem brzęk łyżeczek, uderzających o wnętrze filiżanek.

– Ależ skąd, wszystko mamy, może nawet w nadmiarze – Bożenka pierwsza wyszła z tego stanu zaskoczenia i jednak przemówiła po długiej chwili.

To był fakt. Zadbała o bufet. I o zastawę. Kupiła nawet czajniczki z podstawką umożliwiającą utrzymanie wody w stanie wrzenia dzięki

umieszczeniu tam zapalonej świeczki, co stwarzało też nastrój, pożądany w czasie kameralnych spotkań.

– Ale laska, ale laska... Nie to, co my. Usiądź lepiej, bo nas po prostu... wkurzasz – powiedziała Marlena.

Proporcje zostały przywrócone.

– Jesteśmy, znikamy, kruchość naszej egzystencji może przerażać... – Marlenka, mówiąc to, marszczyła czoło, brwi, co miało obrazować smutek.

– Na frasunek dobry trunek. Wiśnióweczki? – zaproponowała.

– Dziękuję – odpowiedziały chórem.

– I tylko wartości... – ciągnęła Marlenka temat. Oparte o... instytucje...

Naciągała uszy, bo powolutku, jak z mgły zaczął się wyłaniać, mglisty bo mglisty, ale zawsze jakiś cel ich przyjacielskiej wizyty. Słuchała uważnie, podsuwając talerzyk z pierniczkami.

Dało się słyszeć głośnie chrupanie. Marlenka umilkła.

– Trzeba było dodać spulchniacza – powiedziała Ilona.

– To nie ja je piekłam.

– Aha, ktoś ci je podarował?

– Nie, nie, nikt – powiedziała rzeczowym tonem, jak urzędniczka, pozabawiając je przez to informacji o tym, kto bywa w tym domu.

A już były na to przygotowane. Odłożyły pierniczki, rozluźniły mięśnie karku, Ilonka położyła swobodnie ręce na stole, Marlena zwiniętą prawą dłonią podparła podbródek, Bożena lekko, ledwo, ledwo rozwarła usta. To był podręcznikowy obraz zasłuchania.

Jej odpowiedź trochę je zdeorganizowała. Słyszeć było szuranie butów po parkiecie, odgłosy przesuwania pośladek, chrząknięcie Iwonki, nerwowy chichot Bożeny; naturalny, nie wyćwiczony na szkoleniach.

– Drobne słabostki, któż ich nie ma? To może jednak spróbujemy tej wiśnióweczki? – zaproponowała Marlena, tworząc znowu jakiś nowy porządek.

Podeszła do barku, stała tyłem do nich; dzięki temu widziała ich odbicie w szybie. Poruszały ustami, ale komunikatów, jakie sobie przekazały ruchem warg, nie była w stanie odczytać.

Kiedy już napełniła ich kieliszki, ktoś zadzwonił.

Na korytarzu stało dwóch mężczyzn, z jakimiś walizeczkami – chyba na narzędzia.

– To u pani piszczy? – zapytał ten starszy.

– Nie, u mnie nic nie piszczy.

– A tak, to piętro wyżej.

W pokoju panowała atmosfera rozluźnienia; nóżka na nóżkę, kolanko od kolanka, stopy niekoniecznie jedna obok drugiej, jak u prawdziwej damy wysiadającej z samochodu.

– Karniak, karniak dla gospodyni – krzyknęły chórem.

Marlenka nałała jej do pełna i wróciła do przerwanych dywagacji na tematy egzystencjalne. Znowu takie ogólne, bardzo szeroko potraktowane, by przejść stopniowo do szczegółów. Był powrót do idei, wartości, w tym ogólnospołecznych, instytucjonalnych, ich roli w życiu każdego człowieka, obowiązku dbania o dobre imię, wizerunek i indywidualne losy. Kończyła to refleksja, pytanie retoryczne: – Co w tym wszystkim jest najważniejsze, co po nas pozostanie?

Padło słowo: „rodzina”. Wyskandowane.

I się zaczęło! Od czulego szeptu po wręcz erotyczne rzężenie, pisk wydobywający się z krtani, oczy jak w ekstazie, zmrużone, jakby zamglone, łezki ocierane ukradkiem, pociąganie nosem, ręce złożone jak do modlitwy, albo błagania, czy okazania uległości wobec czegoś nadludzkiego.

Pantomima!

A potem nastąpiło otwieranie torebek, wyciąganie kopert, zdjęć luzem, rozkładanie ich na stole jak talie kart i pojedynczo, i cały zestaw słów dla ekspresji najwyższego uznania: cudowny, przepiękna, nadzwyczajny(a), wybitnie uzdolniony, wrażliwy, nadzieja i widoki na przyszłość...

Ten pokaz zdjęć dzieci przerwał dopiero telefon. Chwiejnym krokiem, oszołomiona po tej eksplozji uczuć, podeszła do szafki, podniosła słuchawkę.

Pani, głosem wyćwiczonym na ekspresję szczerej radości, poinformowała ją, że znalazła się w grupie szczęśliwców i wylosowała garnek.

– Dziękuję, interesuje mnie tylko helikopter – odpowiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zdjęcia wróciły już do torebek.

– A ty, ty nie pokażesz nam żadnych zdjęć?

– Nie.

Były trochę speszzone – może z powodu wielkiej plamy na obrusie – martwej natury z przewróconym kieliszkiem, filiżanką z malinową herbatką i rozmokłymi pierniczkami na zalanym talerzyku.

Przyjaciółki rodziny ratowały sytuację serwetami, chusteczkami.

– Szkoda energii – machnęła ręką, zmienimy.

– Pokój? – zapytała czy raczej zasugerowała Ilona.

Nie, miejsca w tym pokoju, zapraszam na fotele.

Plan się nie udał, a każda z nich, pomagając jej wynieść do kuchni to, co trzeba było wynieść, zerknęła na drzwi tamtego pokoju. Ilona niby przez pomyłkę dotarła do nich, nacisnęła na klamkę. Były zamknięte na klucz.

– Do tamtego pokoju nie wpuszcza się obcych.

– Nawet przyjaciółek?

– Nawet.

Okłapyły na chwilę, nie wiedziały co zrobić z rękami, nogami, sztykami. Sytuacja zaskoczyła je. Na fotelach, które wskazała im ruchem ręki, powoli odzyskiwały pewność siebie i powróciły do wyniosłej, posągowej postawy.

– Ty masz dobrze, nie musisz już walczyć o byt. Mąż... mimo wszystko zadbał o ciebie, dziecko.

– Dziecko samo już o siebie dba.

– No właśnie, a my?

Pytaniu towarzyszył zestaw min wyrażających rozgoryczenie, żal, opuszczenie, lęk.

– Ułatwił wam kariery, awans, lepsze stanowiska – powiedziała spokojnie. Każdej po kolei, sprawiedliwie, według wieku i kolejności.

– Co? Co ty mówisz? Insynuacje, posadzenia, a gdzie dowody, jakie dowody?

Lawina pytań i zero komunikatów niewerbalnych z ich strony. Za to ona zaczęła się śmiać, chichotać, parsknąć śmiechem. Długo.

– Nie ma, nie ma, nie ma. A może jest? Nic, nic... I nic nie przerobicie na dowody waszej krzywdy. W razie czego. I musicie dbać o swoją przyjaźń. Nowy szef mógłby was potraktować jak resztki starego porządku. I chcieć usunąć. Musicie więc dbać o swoją przyjaźń, ocalić ją. Każda każdą musi otoczyć przyjacielską opieką. No i najwyższe wartości. Trzymać się tak razem, razem, pilnować, kontrolować. Tak jak tu – moje wykochane przyjaciółki!... Chyba wam w tym pomogłam. Ocaliłam przyjaźń!

Przypomniła sobie, zademonstrowała wszystkie komunikaty niewerbalne wyrażające przyjaźń – branie w objęcia, przytulanie takie, że wręcz ciało w ciało wchodziło, czułe gładzenie głowy, zamykanie w tym uścisku, gładzenie po plecach i ramionach.

Poznane, ćwiczone na szkoleniach, na które wysyłał je szef – jej mąż.

Opuszczone głowy, przygarbione plecy, spuszczone wzrok, chód na ugiętych kolanach był ostatnią sceną przyjacielskiego spotkania.

Zatrzasnęła drzwi.

KONIEC

Wiesława Oramus

Maria Jolanta Piasecka

Ragnarök¹*motto: jutrzenska**światło – tylko światło**patrz*

Niebo na południu płonęło. W Asgardzie wybuchła trwoga. Odyn obsadzał mury najdzielniejszymi wojami. Przed główną bramą stał jednoręki Tyr na czele wojsk gotowych do walki. Chcąc się upewnić, czy nie zaszła pomyłka, Odyn wysłał na zwiady potężnego Thora, by zlustrował wszelkie zakątki Asgardu.

Wieści były przerażające. Olbrzym Surt uwolnił się z Muspell, krainy wiecznego ognia, i ciągnie na Asgard z olbrzymami, potworami i demonami zła. Wydostał się na wolność także wilk Fenrir, który niegdyś urwał rękę Tyrowi. Odyn wiedział, co to oznacza. Nadszedł Ragnarök, koniec świata bogów i wszystkiego, co żyje.

Pod stopami okrutnego Surta kruszyły się skały. Ziemia pomału osuwała się w morze, które zaczęło płonąć, wrzeć i zamieniać się w parę. Dym zasnuwał świat. Ciemniało słońce. Gwiazdy gasły jedna po drugiej i spadały z nieba. Władca Muspell niósł śmierć i pożogę. Nawet potężny Thor uległ siłom zagłady.

Odyn nie tracił nadziei, choć znał przepowiednie wieszczki Wölwy o narodzinach olbrzymów, karłów, potworów i ludzi oraz o kresie tego świata po kosmicznej, ostatecznej rozgrywce. Zadzźwięczały mu w głowie ostatnie, skierowane do niego, słowa wiedźmy:

*Jedź do dom, Odín, i ciesz się swą sławą!
Nikt więcej do mnie nie przyjdzie,
Dopiero gdy Loki spuszczone z łańcuchów
I niszczyciele na Ragnarök pociągną.*

Długo cieszył się Odyn sławą. Lecz co teraz? Skoro teraz nadchodzi kres, musiał go zrodzić początek – rozważał bóg – ale może nie zawsze

1 Z tomu opowiadań Marii Jolanty Piaseckiej pt. *Przypowieści z Ziemi Run*, doM wydawniczy tCHu, Warszawa 2016.

początek zmierza do kresu? Odyn prowadził wojnę w sobie i poza sobą, bił się z myślami i jednocześnie rzucał w wir walki. Zbierał z walkiriami najdzielniejszych poległych wojowników, by w Walhalli ćwiczyli swe umiejętności na kolejne zmagania. Używał całej swej magicznej mocy, by powstrzymać zastępy Surta, lecz jego wysiłki jedynie na krótko odwlekały zbliżającą się zagładę.

Strach było patrzeć na mury Asgardu zmienione w ruinę. Rozpaczą przejmowała płonąca korona Jesionu Yggdrasillu, rosnącego na osi świata. Mimo oczywistej zagłady Odyn wciąż nie chciał się poddać. Przecież wyrocznia mówi, że świat się odrodzi, że zmartwychwstanie dobry Baldr, zapoczątkuje nowe pokolenia i nastanie szczęśliwy świat, wolny od zła. Jakże nowy świat mógłby powstać z niczego? Coś musi pozostać, coś trzeba ocalić, o coś należy walczyć... Ale o co?

Odyn postanowił szukać ratunku u Norn, nieustannie przędących nici przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wśród bitewnego zgiełku i gęstego dymu dostał się w pobliże korzeni świętego Jesionu, gdzie mieszkały trzy panie losu.

Werdandi, prządka teraźniejszości, przywitała Odyna dostojnie. Była tak spokojna, jakby nie obchodziło ją to, co się dzieje. Odyn nie pojmował jej zachowania. Świat ginął, a Werdandi najspokojniej w świecie snuła swoją nić. Bóg prosił ją i błagał, by zatrzymała bieg wydarzeń, lecz Norna patrzyła na niego zdziwiona i upierała się, że nie jest w stanie tego uczynić.

– Czyż nie ty jesteś Werdandi? Prządka teraźniejszości?

– Byłam – odpowiedziała – teraz istnieje dla mnie tylko przeszłość.

Odyn pomyślał, że od ognia i dymu Nornie pomieszał się rozum. Skłonił się przed nią i zwrócił się do Skuld, pani przyszłości, która nie mniej go zaskoczyła niż Werdandi. Spytał ją:

– Czy mocą swego panowania nad losem mogłabyś zmienić przyszłość?

Lecz Skuld odpowiedziała mu, że nie interesuje jej przyszłość, gdyż od tej chwili żyje już w teraźniejszości i nie może mu pomóc. Odyn z odrobiną nadziei pomyślał o Urd, lecz w istocie przeczuwał, jakie



słowa usłyszysz z ust ostatniej Norny. Nie mylił się. Urd powiedziała beznamiętnie:

– To, czego nie było w przeszłości, nie będzie w przyszłości. Lub odwrotnie.

Przygnębiony Odyn obserwował bezradnie nadchodzący koniec wszystkiego, co istniało i triumfalny pochód największego wroga życia. Wydawało się, że nie ma już niczego prócz płomieni. Surt z zastępami złych mocy kończył dzieło spustoszenia. Choć dotkliwa była gorycz przegranej, Odyn nie mógł uwierzyć, że to, co widzi, istnieje naprawdę. Bogowie, ludzie, karły, elfy, zwierzęta i rośliny, niebo i ziemia – czyżby wszystko to obróciło się w popiół?

Ale jeśli Surt zniszczy także popiół, gdzie znajdzie oparcie dla dalszego niszczenia? Po czym będzie stąpał w pochodzie zagłady, jeśli nie będzie już ani skrawka niczego? Każde działanie na czymś się wspiera, a zniszczenie nie może przecież trwać w nieskończoność.

Zostało już niewiele czasu. Ogień był coraz bliżej Odyna. Dym wyciskał mu łzy z oczu. W przypływie olśnienia wyszarpnął zza pasa woreczek z Runami. Co powiedzą magiczne znaki, które zawarły w sobie wszelką mądrość? Bóg rozwiązał rzemień i wysypał Runy. Spadły między korzenie Jesionu – tam, skąd się niegdyś wyłoniły, gdy przebił sam siebie mieczem i wisiał na Yggdrasillu dziewięć dni i nocy bez jedzenia i picia, smagany wichrem. Pochylił się, chcąc zobaczyć układ Run, lecz one utkwily głęboko w płataninie korzeni drzewa. Pospieszenie zaczął wyszukiwać swoje święte znaki, ale te jakby zapadły się w nicość. Wreszcie udało mu się znaleźć jeden z kamieni. Widniały na nim dwa trójkąty połączone ze sobą wierzchołkami. Była to Runa Dagaz.

Dagaz zwiastowała jutrzeńkę, światło dnia, radosną jasność. A przecież świat pogrążał się w ciemności. Odyn nie wiedział, co o tym myśleć. Zasepiiony usłyszał spod Jesionu głos wszystkich trzech Norn, śpiewających chórem:

*Nic nigdy nie trwa wiecznie,
choć wszystko wiecznie trwa.
Zabrzmi to niedorzecznie,
trzy nici płaszcz twój ma.
Bogowie umierają,
choć nie przestają żyć,
ruch i przemiana w czasie*

*to płaszcza twego nić.
 Myślisz, że wokół przepaść,
 a to fundament jest.
 Gdy idziesz światem naprzód,
 świat idzie tobą wstecz.*

– Co to ma znaczyć? – spytał zaskoczony.

– Wszystko się zmienia w gruzy, lecz to tylko przejście na drugą stronę – rzekła Werdandi.

– Ze światem jest tak, jak z twym okryciem. Kiedy założysz płaszcza wierzchem do spodu, nic się w tobie nie zmieni. Twoi poddani stwierdzą, że jesteś roztargniony – dodała Skuld.

Zaś ostatnie słowa należały do Urd:

– Świat jest myślany i doświadczany. To ruch i przemiana, bez których nie byłoby Asgardu, Muspell, jasności ani ciemności. Przemiana wymaga czasu, w czasie spełnia się prawda... Podobnie jest z Runą Dagaz: gdy skreślisz oba jej trójkąty tam, gdzie się stykają wierzchołkami, ich linie zmieniają swoje położenie, nie naruszając pierwotnego kształtu. Kiedy ogień Surta spali cały świat, nastanie mrok, lecz i on może się ostać tylko wtedy, gdy znajdzie w czymś podporę. Nadchodzi dzień, ale by go doświadczyć, trzeba pograć się w nocy.

Odyn, słuchając Norn, patrzył na Runę. Oba trójkąty znaku Dagaz traciły powoli ostre kontury i zaczynały falować. Przypominały wstęgę poruszaną delikatnym wiatrem. Bóg widział, jak wędrują po niej Asowie, ludzie, karły i olbrzymy, jest tam Thor ze swym młotem, bogini Freya, wal-kirie z rycerzami oraz, na końcu, Baldr. Wstęga była tak zawiązana, że maszerowali raz po jej stronie wewnętrznej, raz po zewnętrznej. Gdy znikali na zewnątrz wstęgi, pojawiali się wewnątrz, a gdy znikali wewnątrz, widać ich było na zewnątrz. Bóg nie wiedział, czy jest to złudzenie wywołane dymem, czy mącą mu się zmysły.

Norny nadal coś szeptały i nuciły swą tajemniczą pieśń, lecz Odyn niczego już nie słyszał. Zapadał się w ciemność. Zdążył jeszcze spojrzeć na Runę.

Dagaz promieniowała światłem.

Maria Jolanta Piasecka

Jerzy Seipp

Miniatury optymistyczne 2021

Legitymacja

I

Po różnych trudnych przejściach, kilka miesięcy mojego pracowitego życia spędziłem pod opieką kolegów, którzy na rozmaite sposoby starali mi się okazać troskę i życzliwość. Między innymi dostałem na zimę żółtą kurtkę z odbłaskami – taką, jakich używają motocykliści – abym „w razie czego był widoczny”. Mimo że kurtka ma naszyte srebrne skrzydła, trupią czachę z mieczem i napis „CHOPPERS”, niektórym kojarzy się z władzą: usłyszałem od pań odruchowo szukających na mój widok dowodu osobistego, że w tej kurtce wyglądam jak policjant. Osobiście nigdy nie widziałem policjanta w takiej kurtce, ale może to moje czyste sumienie nie odczuwa potrzeby przetwarzania skojarzeń kolorystycznych z groźnymi stróżami prawa.

II

Nie odczuwam też potrzeby noszenia dowodu osobistego. Połowę swojego pracowitego życia przeżyłem pod butem sowieckiego okupanta, a wtedy nawet wychodząc w szlafroku wyrzucić śmieci, należało pamiętać o zabraniu dokumentu. Kiedy w 1989 roku zaświeciło nam słońce wolności i demokracji, przysiągłem sobie, że już nigdy więcej nie będę potwierdzał na ulicach mojego istnienia zdaniem: „mam dowód, chwileczkę, gdzieś tu był, musi być”. Działo do --- no właśnie. Znowu w polskich miastach srożą się policjanci/milicjanci, którzy najlepszą zabawę mają, kiedy ktoś powie: nie mam dowodu.

III

Odkąd żoliborski Gomułka wyprowadził na ulice młodocianych osiłków, dopingując ich do bicia kobiet – dla chuliganów starej daty, wychowanych, jak ja, w kindersztubie, jest to po prostu nie do pojęcia – uruchomił też feerię porównań i wspomnień. Pozostając przy temacie dowodu osobistego, trzeba podkreślić, że w wersji socjalistycznej ta kilkukartkowa książeczka miała jedną stronę ważniejszą nawet od tej z imionami rodziców – najważniejsza była strona z pieczętką potwierdzającą zatrudnienie. Jeżeli była pusta – artysta miał kłopoty.

Różni niedorośli poeci, malarze, muzycy chodziliśmy po ulicach, ryzykując, że podczas milicyjnej kontroli będziemy musieli gęsto się tłumaczyć, dlaczego strona o zatrudnieniu świeci pustką. Mój kolega, Jacek Werbanowski, na pytanie milicjanta: „gdzie pracujecie?”, odpowiedział: „jestem poetą” i dostał na miejscu pałą za żarty z organów władzy.

A jednak milicjant milicjantowi nierówny. Mnie też przydarzyła się kontrola, w nocy, pod Domami Towarowymi Centrum, i też odpowiedziałem: „jestem poetą” – niech się dzieje co chce.

– Taaak? No to powiedzcie jakiś swój wiersz!

Mając osiemnaście lat, znałem je na pamięć, więc mogłem deklamować. Milicjanci słuchali, jeden z klasycznym stukaniem moim dowodem w paznokieć swojego kciuka. Po skończonej prezentacji oddał mi dowód bez słowa i odeszli. Chwaliłem się tym latami, że jestem jedynym poetą, który się do tego przyznał i nie został za to pobity przez milicję.

IV

Czterdzieści siedem lat później, w zeszłym tygodniu, towarzyszyłem koleżance podczas demonstracji. Trochę z boku i całkiem z tyłu, nie pchałem się z tłumem. Ale i tak, to właśnie do mnie – ubranego w żółtą kurtkę! – podeszło dwóch policjantów/milicjantów i zażądało dowodu.

– Przykro mi, ale nie noszę ze sobą dowodu.

– No to będziemy musieli pojechać na komendę, żeby ustalić pana tożsamość.

– Ale mam legitymację! – przypominałem sobie, że policjanci/milicjanci kochają wszelkie legitymacje, wolą je nawet od dowodu. Wyjąłem z kieszonki legitymację Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Noszę ją razem z legitymacją emeryta, która jest jednak niewiele warta, bo bez zdjęcia

– dopiero razem tworzą siłę pozwalającą mi kupować bułki przed południem. Policjant/milicjant bardzo długo studiował treść pisarskiej legitymacji, wreszcie orzekł.

– Ta legitymacja jest nieważna!

– No wie pan – uśmiechnąłem się. – Pisarzem się jest, albo nie jest...

– Ta legitymacja jest nieważna – powtórzył. – Proszę ją podstemplować.

Tym słowem „proszę” – pamiętajcie, że jest wielkie zamieszanie i ludzie dokoła nas się zbierają – tak mnie rozbroił, że nie pozostało mi nic innego, jak powiedzieć:

– Tak, oczywiście. Jutro natychmiast ją podstempluję.

W ten sposób udało mi się wrócić do domu bez przejażdżki budą, słóczonym między uczciwie protestującymi kobietami.

Wielki powrót

Minął miesiąc, odkąd powodowany utratą węchu i smaku pojechałem zrobić test na covid i okazał się pozytywny. W ciągu dwudziestu czterech godzin było po mnie – całkowity krach na ciele i umyśle. Po dwóch tygodniach mogłem już wyjść legalnie z domu, ale nawet dziś nie czuję się zdrowy – wciąż muszę odpoczywać po czytaniu książki, stukaniu w komputer czy siedzeniu na kanapie. Naprawdę! Po obejrzeniu odcinka serialu muszę się położyć i odpocząć.

Udało mi się przejść przez najgorsze w domu, z inhalatorami, więc nie konkuruję z tymi, którzy w szpitalach mają wpychane do gardeł respiratory. Z drugiej strony komentarze typu „a włosy cię nie bołą? ha, ha, ha, ha, ha”, albo „też się tak czuję i nie potrzebuję do tego wirusa” podbijały mój strach, odrzucenie i samotność. Dowiedziałem się, że znajoma znajomej „już myślała, że jest zdrowa, wróciła do pracy, przewróciła się i umarła”. A inny znajomy znajomego „też wyzdrowiał w domu, a potem musieli go z ulicy zabrać do szpitala i do dzisiaj tam leży”. Przerazenie jest nieodłącznym objawem covidu i o tym wielu znajomych zapomina. Ale mam też dobre wieści. To będzie historia Wielkiego Powrotu.

Dziura w płucach, nogi jak ze szkła, stawy bolące tak, że przyćpiesz wszystko, co ci ktoś doniesie, całkowity zanik głodu, wysypki rozdrapywane i znikające – to covidowa codzienność. Ale trafiło mnie też z najmniej

– zdawałoby się – związanej z pandemią strony. A mianowicie zniknął mi chuj, potocznie zwany penisem. Został mi pusty rękaw.

Jak wiemy, chuj jest zobowiązany przez ewolucję do radzenia sobie w życiu z dwiema funkcjami – ta druga to sikanie. Nie wszystkie Panie muszą wiedzieć, że aby sikać celując, facet musi swój rękaw lekko podciągnąć, tak by chuj, zwany penisem, miał czyste pole widzenia. Mając oko zasłonięte, będzie lał po desce, ścianach i podłodze naokoło.

Byłem poważnie chory, bardzo słaby, więc i tak do sikania musiałem usiąść. Ale poczuć, jak mi coś ciepłego bulgocze w fałdach skóry, żeby wykapać nie wiadomo skąd – mimo wszystkich wirusów świata, tego już było dla mnie za wiele. Pracując obiema rękami i wykorzystując długość palców, wyluskiwałem z głębin ciała przerażony łepiek, każąc mu szczać otwarcie i po męsku. Musiałem go trzymać za gardło przez cały czas, bo w momencie, w którym uznałem, że już wystarczy i go puszczałem – zniknął gdzieś w środku mojej osoby.

Mijały tygodnie, różne covidowe bóle słabły, a ja wciąż byłem bezchujaszczy. Przyzwyczailem się do tych rytuałów na kiblu, bo miałem ważniejsze problemy – z chodzeniem, z oddychaniem. Po trzech tygodniach obudziłem się, czując, że wlaż mi pod kołdrę ktoś obcy – potrzebowałem paru sekund i ruchów ciałem, żeby zorientować się, że obudziłem się ze stojącym chujem! Po dwudziestu dniach, jakby nic się nie stało, pełną długością zuchwały, twardy i sprężysty domagał się uwagi! Tak po prostu.

– Gdzieś ty był, jak cię nie było, łobuzie jeden? – zawołałem.

Od tego momentu znowu dynda mi się między nogami jak przez ostatnie sześćdziesiąt pięć lat. A ja, macając się od czasu do czasu po spodniach, buduję w sobie trudną wiarę, że może też w końcu wyzdrowieję.

Jerzy Seipp

Joanna Sendłak

Vivo

Powojenne dni Grażyny Bacewicz

(fragment)

Wieczne pióro energicznie sunęło po kartce kraciastego zeszytiku. Drobny ścieg kaligraficznie wysmakowanych liter opisywał bieżące zdarzenia. Maria obserwowała życie z perspektywy teatralnego widza. Ludzie przychodzili na świat i umierali. Podczas swojego życia widziała już dwie wojny światowe, doświadczyła biedy i rozpadu dawnej rzeczywistości. Teraz otaczały ją dekoracje monumentalnego komunizmu.

Na szczęście przyjaciele muzycy i znajomi codziennie odwiedzający ich dom sprawiali, że zapominała o tym choć na chwilę.

„Tylko muzyka jest niezmienna, trwalsza od kamienia, ważniejsza od posiadania czegokolwiek” – myślała Maria, kreśląc zawijas aktualnej daty na papierze pakowym, którym obłożyła niewielki bloczek kupiony za kilka groszy w kiosku na Krupówkach. „Piękno doskonalili dusze!”.

Drobna, siwowłosa pani odłożyła pióro. Za oknem, cicho szeleszcząc, sypał miękki śnieg. Droga prowadząca na Bystre biała się, skrzyła w blasku żółtego światła padającego z okna jej pokoju. W oddali brzęczał dzwonek sań, koń dziarsko zmierzał do stajni na podwórzu willi „Jaśka”. Dom, w którym trzy panie wynajęły pokój, należał do góralskiej rodziny państwa Łuszczków. Zwykle w Zakopanem rodzina Bacewiczów spędzała święta Bożego Narodzenia, a często letnie wakacje.

Maria pochyliła się nad kartką i zanotowała:

6 Stycznia 1951. Zakopane. Express od Grażynki [...]. Ukończyła już I, II i pół III części II Symfonii. Spieszy się bardzo kończyć III część i napisać IV część, bo już czekają i w PWM muszą rozpisywać głosy. Po ukończeniu zaraz przyjedzie do nas i będzie przepisywać partyturę, chociaż bez fortepianu niewygodnie.

Ala i Wan z tutejszą Basią saneczkują. Pogoda, ciepło.

Przez kilka następnych dni Maria Modlińska, jej córka Wanda i wnuczka Alina oddawały się zimowym rozrywkom. Jeździły na wynajętych sanckach szwedzkich, chodziły na ślizgawkę, wieczorami grały w karty. A co

najważniejsze, pisały kartki do znajomych i rodziny. Rytuał pocztowy stał się wakacyjnym obowiązkiem, czynnością wygładzającą dzień. Wreszcie jedenastego stycznia Maria odebrała depeszę od Grażyny, która pisała, że w trzy tygodnie skończyła komponować *II Symfonię*.

– Wandziu, Grażynka przyjedzie! – wołała Maria, powiewając depeszą, kiedy córka i wnuczka zablocone, zaczerwienione od wysiłku wróciły na obiad.

– Oderwie się od komponowania? – nie dowierzała Wanda.

– Napisała całą symfonię tak szybko, wprost nie do wiary!

Wanda nie zdziwiła się, znała możliwości siostry. Grażyna potrafiła szybko komponować i zawsze ciężko pracowała. Przez to nadwężała zdrowie, ale trudno. Nikogo nie słuchała. Komponowała także podczas wojny. Napisała wtedy *Sonatę na skrzypce solo*, *Trzy preludia* na fortepian, *III Sonatę fortepianową*¹, *Suitę na dwoje skrzypiec*, *II Kwartet smyczkowy* i *Uwerturę* na orkiestrę. Tylko że *Uwerturę* zapomniała zabrać z pulpitu fortepianu, gdy 2 października 1944 roku z całą rodziną uciekali z Warszawy. Z walizkami, z dzieckiem, mamusią i Wandą postrzeloną w obydwie nogi niesioną na noszach przedzierali się przez usypane z gruzów barykady. Od strony płonących budynków buchał żar, duszący dym utrudniał oddychanie. Gruzy zwalonych domów i spiętrzone barykady sięgały drugiego piętra kamienic. Krzyże powstańczych mogił pośpiesznie wbite w ziemię dotykały się ramionami...

– Ale się cieszyliśmy, kiedy wyzwolili Warszawę! – uśmiechnęła się mamusia.

Tamtego dnia Maria czytała na głos dodatek nadzwyczajny do „Życia Warszawy”. Jeden z fragmentów głosił:

Warszawa wolna! W środę dnia 17 stycznia 1945 r. o godz. 10 Armia Czerwona i Wojska Polskie wkroczyły od południa i północy do Warszawy. Na tyły wojsk niemieckich od zachodu uderzyły brygady pancerne. W mieście trwają walki zmierzające do zniszczenia odosobnionych grup nieprzyjaciela. Przecięta została linia kolejowa Warszawa-Łódź. Według niepotwierdzonych wiadomości, dziś również zajęty został Kraków. Szczegóły w następnym wydaniu².

W lutym 1945 roku na konferencji w Jalcie z udziałem „Wielkiej Trójki” USA i Wielka Brytania przymknęły oko na agresywną politykę Stalina, pozwalając, by wschodnie granice Polski zostały przesunięte zgodnie z biegiem linii Curzona. Blisko połowę przedwojennych terenów Polski włączono

1 Później Grażyna Bacewicz wycofała z katalogu swoich dzieł *III Sonatę fortepianową*.

2 Dodatek Nadzwyczajny do „Życia Warszawy”, Warszawa-Praga, środa, 17.01.1945 r.

do ZSRR. Władza Stalina nad Polską stała się faktem. Zgodnie z jego wolą utworzono w kraju uzurpatorski Rząd Tymczasowy, który ochoczo podpisał układ o wzajemnej przyjaźni, pomocy i współpracy między Polską a ZSRR. Tym samym Stalin miał w garści dokument o współpracy między Polską Ludową a ZSRR oparty, jak twierdził, „na zasadach równouprawnienia i poszanowania suwerenności”. Powiewał nim przed nosem całego świata.

W kwietniu 1945 roku Tadeusz Ochlewski założył w Krakowie Polskie Wydawnictwo Muzyczne, a latem odbył się Ogólnopolski Zjazd Kompozytorów, na którym powołano do życia Związek Kompozytorów Polskich.

Kiedy Niemcy dostali po łbie, jak mawiała Grażynka, całą rodziną pojechali do Lublina. Wanda zaczęła pisać reportaż miejski dla „Gazety Lubelskiej”, a Grażyna z bratem Kiejstutem wrócili do publicznych występów. Cóż to za radość po okresie tajnych koncertów zakonspirowanych³. Tylko w październiku 1945 roku Grażyna z bratem wystąpili niemal szesnaście razy!

Wanda spojrzała na matkę i się uśmiechnęła.

– Pamięta mamusia, jak ciężko pracowali Grażynka z Kiejstutem tuż po wojnie? – spytała.

– Wtedy z małą Alinką byliśmy w Maryninie – przypomniła Maria. Od tamtego czasu co miesiąc wysyłali starzejącej się ciotce paczki z prowiantem i ubraniami. Dawny dom rodziny Biernackich został sprzedany w 1947 roku, obecnie ciotka wynajmowała od nowych właścicieli dwa pokoje na parterze. Mieszkał z nią stary pies Neptun, który podczas wojny, jako niesforny szczeniak, gonił za rowerem Wandy. Przez tego psa pewnego dnia w 1939 roku z impetem wjechała w krzewy ulubionych róż matki Andrzeja. Było tyle śmiechu!

– A ja w „Gazecie Lubelskiej” dostawałam osiemdziesiąt złotych pensji, miałam obiady i za wierszówki płacili dodatek – wspominała Wanda.

– Nie mogłam się doczekać powrotu do mojej ukochanej Warszawy!

– Tylko że nie było do czego wracać. Warszawa cała w gruzach, nic dziwnego, że Grażyna z Kiejstutem ruszyli do Łodzi. – Wanda zerknęła na Alinkę. Dziewczynka miała już dziesięć lat. Krąglą buzię otulały jasne włosy, niebieskie oczy patrzyły poważnie.

– Opowiedz o podróży Grażyny do Łodzi – poprosiła.

– Znasz to na pamięć, kochanie – oponowała Wanda, ale chwilę później Maria z Alinką słuchały, po raz nie wiadomo który, znanej opowieści.

3 Okres wojenny życia i twórczości Grażyny Bacewicz został opisany w powieści J. Sen-dłak *Ostinato – wojenne dni Grażyny Bacewicz*, Kolekcja Literacka, Tom XI, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Warszawa 2020.

Głos Wandy iskrzył się wesoło. Opowiadała o tym, jak w 1945 roku Grażynka z Kiejstutem autem wojewódzkim wybrali się do Łodzi. Na parkingu przy ulicy Bernardyńskiej, obok komendy Milicji Obywatelskiej, zwykle stało kilka ciężarówek przykrytych brezentowymi plandekami. Po drodze do Łodzi trwała pół dnia i całą noc. Kiedy doteleпали się na miejsce, nie mogli znaleźć wolnego pokoju do wynajęcia. Zatrzymali się w hotelu przy Piotrkowskiej 26. W łódzkim konserwatorium spotkali mnóstwo znajomych muzyków: profesorów Antoniego Dobkiewicza i Kazimierza Sikorskiego, Eugenię Umińską, Sygietyńskiego... Zapisali się na listę oczekujących na mieszkanie w budowanym właśnie nowoczesnym domu dla muzyków. Grażyna prowadziła klasę skrzypiec i teorii muzyki, a Kiejstut dodatkowego fortepianu. Początkowo nie płacono pensji, a za koncert, który zagrali z Kiejstutem 22 kwietnia w ramach cyklu „Koncerty Konserwatorium”, otrzymali wynagrodzenie w naturze!

– Pamiętam nasz pokój w Łodzi – wtrąciła Alinka.

– Naprawdę? – zdziwiła się Maria. – Obok nas mieszkali Kiejstutowie.

– Pamiętam, że obydwoje wstąpili do Związku Muzyków, Grażynę nawet wybrano do sądu koleżeńkiego – dodała Wanda.

– Na szczęście w czerwcu Andrzej został docentem i otrzymał posadę w Warszawie.

Rozmowę przerwał metaliczny dźwięk gongu wzywający na kolację. Panie energicznie wyszły z pokoju. Na korytarzu unosił się smakowity zapach pierogów domowej roboty. Na deser schrupały kilka ciasteczek, a całość popiły herbatą.

Joanna Sendłak



Książka powstała w 2020 r. w ramach Stypendium Twórczego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Patrick Cotter

O'Sullivan

Człowiek ze starą Leicą robił zdjęcia tylko na jeden temat:
lewe oczy – nie prawe oczy, nie całe twarze;
lewe oczy zmrużone, lewe oczy mrugające

lewe oczy błyszczące, lewe oczy wgapione
lewe oczy zezujące i zerkające, roześmiane
i płaczące. Fotografował ludzkie oczy

psie oczy, kocie oczy, krowie oczy, owcze oczy,
wronie oczy. Kupił mikroskop
ze specjalną przystawką z soczewek i fotografował

pajęczne oczy – zawsze to najbardziej lewe z ośmiu.
Najpierw fotografował całe twarze
i wycinał z kadru wszystko z wyjątkiem lewego oka

ale potem nabrał pewności siebie i skupił się wyłącznie na oku,
pod każdym kątem, we wszystkich odcieniach
światła, nawet w ciemności, rejestrując odbłask księżyca

Jeśli chodzi o oczy umarłych,
nie miał dostępu do pól bitewnych i kostnic
więc wkładał się do domów pogrzebowych, podchodził

do samotnego ciała leżącego w otwartej trumnie odwijał powiekę
I pstrykał. Potem siedł na targowisko
i tam robił zdjęcia oczu odciętych świńskich głów

Przemykał się obok rybnych straganów chwytając obiektywem łososia,
rekina, tuńczyka, makrelę, żabnicę i płastugę
Wywołał i zrobił samodzielnie odbitki negatywów

na specjalnym świecącym kartonie, zawiesił je
na swoim suficie, aby co noc dać się unosić snom
wpatrując się w konstelacje oczu. Lewych.

*Z języka angielskiego za zgodą autora
przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

NOTA

Tytuł wiersza może kojarzyć się z pionierem fotografii, Timothy O’Sullivanem (1840-1882), z pochodzenia Irlandczykiem, znanym z dokumentowania amerykańskiej wojny secesyjnej i fotografowania krajobrazów Ameryki Północnej (domysł tłumaczki). Interpunkcja oryginalna.

Patrick Cotter, ur. 1963 w Cork, Irlandia. Poeta, pisarz, wydawca, tłumacz poezji, animator i redaktor międzynarodowych antologii i serii poetyckich. Autor zbiorów wierszy, sztuk i artykułów. Laureat nagród literackich. Dyrektor Munster Literature Centre, placówki kultury w Cork, zajmującej się popularyzacją literatury irlandzkiej i międzynarodowej.

Tadeusz NOWAK

Psalm o wodach czystych

Wody są czyste Piórko po nich płynie
bielsze od żalu po straconym maju
Przez jego witki drobniejsze niż sen
oczy nie widząc patrzą i kochają

piasek od piórka bielszy i od żalu
księgę rodzaju na piasku spisaną
pismem o którym mówi się tajemnie
że jest odwiecznie jęczącą się raną

Wody są czyste Gaśnie w nich planeta
i gasną pod nią poczęte zwierzęta
i wiary gasną jako ten dmuchawiec
i o nich tylko ślepy kret pamięta

ślepy jak chłopiec co ubiegłej wiosny
nie wiedząc o tym odszedł w traw litanie
Wody są czyste Modlą się za chłopca
A my o zmierzchu pomódlmy się za nie

BRAMY CZUŁOŚCI

Tadeusz Nowak

Skan z tomu *Bramy czułości*, str. 8-9, red. J. Ruszar
Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej GAUDIUM, Lublin 2006